



Dom pod bocianem

Grażyna zwana Piętaszkiem

Wojtek Wolański

Natangia
2017

DOM POD BOCIANEM

Dom pod bocianem
KRONIKI DOMOWE
MMXVI

Grażyna zwana Piętaszkiem
Wojtek Wolański

Natangia
2017

Redakcja techniczna i przygotowanie do druku
Joanna Dyszczyk

Fotografie w tekście i na okładce
Grażyna zwana Piętaszkiem, Wojtek Wolański

Wydane nakładem autorów

© by Grażyna zwana Piętaszkiem, Wojtek Wolański

ISBN 978-83-947499-0-3

Życie składa się z setek tysięcy ulotnych chwil, z których część pozostaje w pamięci, ale znacznie większa ginie bezpowrotnie. Dobrze, że dawno, dawno temu nauczyliśmy się pisać. Piszący jest niczym alchemik mieszający tajemne składniki w mózdzierzu. To co ulotne zaczarowuje w słowa, przelewa na papier bądź rzeźbi w bitach. Będzie co czytać po latach, wspominać. A kiedy nas już nie będzie, to może ktoś (synowie, wnuki, nieznany czytelnik) zaduma się nad tym, czym kiedyś żyliśmy, co grało nam w sercach.

Niniejsza książka nie pretenduje do bycia dziełem literackim, żadni z nas pisarze, jedynie skromni blogerzy z paroletnim doświadczeniem. Na książkę składają się nasze notowane na bieżąco, w dużej części publikowane w Internecie, teksty. Kiedy skończył się remont i mieliśmy okazję odpocząć, набrać dystansu, postanowiliśmy zebrać to wszystko razem, przejrzeć, wygładzić, uzupełnić, tak aby powstało coś trwalszego niż ulotne zapisy w wirtualnej przestrzeni.

To nie jest praktyczny poradnik jak przeprowadzić się z miasta na wieś. To nie jest poradnik jak szukać domu na wsi, i jak go wyremontować. To nie jest zbiór praktycznych rad jak urządzić ogród, stworzyć warzywniak, z czego żyć na wsi itp. Od tego są dziesiątki innych książek, a także i blogów, forów internetowych, portali, grup dyskusyjnych na Facebooku. Niemniej jednak lektura pozwoli czytelnikowi na zapoznanie się naszymi doświadczeniami i wyciągnięcie własnych wniosków.

Życzymy wam zatem miłej lektury :-)

Grażyna i Wojtek



Na początku jest marzenie

Od lat piszę do szuflady własny dziennik. Zacząłem to robić pod koniec zeszłego wieku, obecnie składa się na niego ponad pół tysiąca stron. Pierwsza wzmianka o siedlisku jest z dnia 22 sierpnia 2011 roku, ale na pewno marzyłem o tym znacznie wcześniej. Podczas studiów, prawie trzydzieści lat temu, żartowałem że kiedyś, gdy już będę stary, kupię sto hektarów i stworzę sektę. Z długą siwą brodą, odziany w lniane giezło, z sękatym kijem w dłoni, będę siedział pod starym dębem i dumał jak Budda, albo nauczał. Lata mijały, spłodziłem syna, posadziłem trochę drzew, zamieszkałem w domu na wsi, na obrzeżach Gdańska.

Niestety, szybko okoliczne pola zostały podzielone na działki, pobudowano domy, ulice, i wieś stała się podmiejską dzielnicą mieszkaniową. Stałem więc w korkach jadąc z domu do pracy, a potem wracając, tracąc czasami nawet dwie godziny z życia. Przytłaczał mnie coraz bardziej panujący wszechobecny pośpiech, atakujący ze wszystkich stron hałas, wzajemna obcość, a nawet wrogość. Czułem się coraz bardziej zaszczuty życiem w rozbudowującym się na gwałt mrowisku. Nie chciałem tak żyć, nie nadaje się do wyścigu szczurów, wolę żyć powoli, we własnym tempie, stojąc z boku, mając czas dla siebie i bliskich.

Przez ostatnie lata marzenie o zamieszkaniu we własnym siedlisku na skraju świata stawało się z każdym dniem coraz mocniejsze. W listopadzie 2014 roku napisałem na moim blogu:

Marzy mi się siedlisko na końcu świata, i wiem gdzie jest ten mój koniec świata, to Warmia, okolice Pieniężna, Ornety, Górowa Iławeckiego. Kraina pagórkowata, z ukrytymi wśród lasów i pól małymi jeziorami. Często oglądam ją z góry okiem satelity, każę się wozić googlowozem. Przemierzyłem ją

kilkanaście razy moim kamperem. Zakochałem się w niej. To ziemia opustoszała, wyludniona, odcywilizowana. Prawdziwa Terra Incognita. Dawne Prusy Wschodnie.

Oczami wyobraźni widzę ów stary warmiński dom. Zbudowany z solidnej czerwonej cegły, pokryty upstrzoną kępami porostów i mchów, szerniałą od słońca ciemnoczerwoną dachówką. Dom wzniesiony przed stu laty przez bogatego pruskiego chłopą, ze starannością, tak aby przetrwał lata. Dom, który pod ciężarem mijającego czasu zagłębił się w ziemię, niczym statek wyrzucony na mieliznę. Oparł się setkom tysięcy wichrów, nawałnic, burz. Dom ostoja, w którym pachnie pieczonym chlebem. W którym czas płynie normalnie, odmierzany miarowym tik-tak starego zegara.

Do tego kawałek ziemi, nie więcej niż hektar. Tyle wystarczy, aby się samodzielnie wyżywić. Stworzyć ogród warzywny, posadzić ziemniaki, buraki, trochę kukurydzy. Do tego sad owocowy, a w nim pasieka. Kawałek lasu na opał. Woda ze studni, i może jakiś strumień, aby wykopać mały staw. Wpuścić parę ryb.

Ja technokrata, inżynier informatyk, webmaster i hacker, swego czasu miłośnik wszelkich gadżetów, niewolnik telewizji i Internetu, chcę to wszystko rzucić w diabły. Zmęczyłem się XXI wiekiem i chcę wrócić do XIX. No, może nie tak do końca. Prąd wysmaży słońce, albo da go wiatrak.

Już stoję z boku. Nie oglądam TV, nie słucham radia, nie czytam portali informacyjnych. Nie biorę udziału w wyścigu szczurów. Wpadam w coraz większy minimalizm. Mniej znaczy więcej. Nie muszę mieć tego czy tamtego, wypasionej auta, wczasów w zagranicznym SPA, dwustucalowego telewizora czy super-/hiperkomórki. Powiem szczerze: pieprzę to wszystko. To nie jest chwilowy kaprys. To narasta we mnie od lat, powoli dojrzewam do tego.

Często myślałem o tym siedlisku, zwłaszcza podczas pracy w moim pięknym, przestronnym, wynajmowanym biurze. Ci, którzy mnie tam odwiedzali mówili: o jak tutaj cicho i spokojnie. Tymczasem ja dostawałem piany na ustach od trzaskających co chwila piętro niżej drzwi, szalejących po pobliskim placu manewrowym koparek, jazgoczących przez cały dzień kosiarek czy nawet lądujących na pobliskim lotnisku samolotów, o bawiących się w pobliskiej piaskownicy dzieciakach nie wspominając.

Gdy już nie mogłem wytrzymać, rzucałem pracę w diabły, padałem na podłogę koło stołu konferencyjnego (aby dać odpocząć plecom), brałem komórkę w dłoń i przeglądałem ogłoszenia

sprzedaży siedlisk na olx i innych portalach. I za każdym razem wpadałem w jeszcze większą depresję, bo nawet największa ruina, z płachetkiem ziemi, była poza moimi możliwościami finansowymi. Ale nie porzucałem marzenia, czułem że nadejdzie kiedyś dzień, w którym się ono spełni. Dwa lata później zapisałem w moim dzienniku:

Wiem, że on tam gdzieś jest. Może na Warmii, a może trochę dalej lub zupełnie gdzieś indziej. Zamykam oczy i próbuję go sobie wyobrazić. Stary, z duszą, drewniany albo z cegły. Pokryty gontem bądź ceramiczną dachówką. Stojący na wzgórzu. Z jego okien rozpościera się przepiękny widok na pagórki (góry?) i lasy. W dali być może błyszczący tafla jeziora, albo wiję się rzeka.

On o nas jeszcze nic nie wie. Może ktoś tam mieszka, a może stoi pusty, tęskniąc po nocach za ludźmi, którzy będą zapalać i gasić światła, otwierać i zamykać okna. Tęskni za skrzypieniem drzewi od szaf, za ciepłem rozchodzącym się po kuchni od pieca. Nastuchuje skrzypienia podłogowych desek. Czeką w ciszy na nas.

Wiem, że ta chwila nastąpi. Przekroczymy jego próg, rozejrzymy się, spojrzymy bez słowa na siebie, a w oczach będziemy mieli wypisane: tak, to to miejsce. A potem wszystko stanie się tak szybko. Rozpaczliwe liczenie finansów, chodzenie po prośbie do lichwiarzy, aż w końcu wizyta u notariusza.

I dopiero potem zauważymy piękny stary sad, chylący się stary płot i stodołę, i zarośnięty chwastami po pas ogród warzywny. Będzie też mały staw, albo miejsce na jego wykopanie. Parę starych lip, brzoź, świerków, sosen, a jak ich nie będzie to posadzimy, aby pozostały po nas.

Droga jeszcze jest daleka. Igłę kompasu przyciąga bardzo mocne marzenie. Długo nie wytrzymamy tam gdzie jesteście. Przytłacza nas ludzkie mrowisko. Dusi i drażni ściśnięta, współdzielona i hałaśliwa przestrzeń. Dobija mialkość, śmieciowość spraw i zdarzeń. Rozrywa szalony pęd czasu, zwłaszcza gdy ma się świadomość, że każda uciekająca sekunda tracona jest bezpowrotnie.

Gdy boli mnie dusza (tak z Piętaszkiem nazywamy nostalgiczny stan) oglądam stare domy na sprzedaż. Ceny dobijają, ale znajdę go, choćbym miał zaprzedać duszę diabłu. Za dwa, trzy, a może ciut więcej lat.

Być może to pragnienie przekazano mi w genach. Nie wiem kto był jego autorem – czy ojciec mojego ojca, dziadek Mieczysław,

czy też może jego ojciec a mój pradziadek Feliks, ziemianin, właściciel pięćsethektarowego majątku w okolicach Kamieńca Podolskiego. 15 kwietnia roku 2016, wracając od pani notariusz w Lidzbarku Warmińskim, u której podpisałem akt notarialny kupna siedliska, zadzwoniłem do ojca i powiedziałem, że oto historia zatoczyła wielkie koło i rodzina Wolańskich wróciła po prawie stu latach do ziemi. Siedlisko ma niecały hektar, gdzie mu tam do majątku pradziadka Feliksa, ale od czegoś trzeba zacząć.



A jak to było z Piętaszkiem?

Każde lato spędzaliśmy u rodziców mojej mamy. Wieczornym pociągami do Łodzi Kaliskiej telepaliliśmy się na wieś. Wtedy większość podróżowała pociągami. Mało kogo było stać na własne auto. Bagaże i mniejsze dzieci wrzucało się przez okna, zażarcie walczono o miejsca w przedziałach. Pechowcy, ściśnięci jak sardynki, okupowali korytarze, a nierzadko i ubikacje. Kiedy byliśmy starsi, mój brat jechał do Gdyni, zajmował cały przedział, a my dosiadaliśmy się w Gdańsku. W środku nocy mama z trójką zaspanych maluchów wysiadała na pustym o tej porze peronie w Sierpcu. Krótka, letnia noc pachniała sianem, dźwięczała świerszczami. Na wschodzie widać już było zapowiedź dnia. Przechodziliśmy przez pusty budynek dworca, a tam czekał na nas dziadek Czesław, który wiozł nas do Borkowa wozem zaprzęgniętym w konia. Nie spałam. To dopiero była podróż.

Dom dziadków stał na końcu wsi, pod lasem. Drewniany, pobielony wapnem, pokryty złotą strzechą. Okna wychodziły na niewielki ogród, w którym rosły malwy. Prosto z podwórza wchodziło się do kuchni, w której stał kredens, stół i piec etażowy. Żeby napić się rano herbaty, najpierw trzeba było rozpalić. Latem paliło się drzewem z lasu. Z kuchni wchodziło się do pokoju. Na jego środku stał okrągły, drewniany stół, przykryty białym obrusem zrobionym z kordonka. Pod ścianą duże łóżko, na które babcia składała wszystkie pierzyny i poduszki. Okrywała to na dzień przykryciem. Nigdy się do tego nie przyznałam, ale uwielbiałam wskakiwać na ten kopiec i mościć się w powstałym pod moim ciężarem leju.

Na środku podwórka stała ogromna drewniana stodoła, a nieopodal wychodek. W jego drzwiach było wycięte serduszko. Nieśamowitą atrakcją była studnia. Obok niej, na płycie betonowej, stało metalowe wiadro przymocowane łańcuchem do korby. Mie-

liśmy zakaz zbliżania się, lecz niesforni, nigdy tego zakazu nie przestrzegaliśmy. Babcia wpadała w panikę, aż w końcu zamykano otwór studni. Dom moich dziadków już nie istnieje – spalił się.

To była typowa polska wieś. Z drogą polną, jednym sklepem na początku wsi i okazałym domem sołtysa. Sklep otwierano wtedy, kiedy przychodzili ludzie. Chleb był jak koło młyńskie i niesamowicie pachniał. Nie raz przykładalam grubą pajdę do nosa i wachałam ten zapach wsi. O piątkę toczono boje. Posmarowana grubo masłem i przyprószona cukrem smakowała niczym ambrozja. Byłam oczkiem w głowie babci Wiktorii. Pamiętam ją jako dobrotliwą kobietę o spracowanych dłoniach. Pochylona nad tarką, w fartuszkach w małe niebieskie kwiatki, tarła ziemniaki na ulubione placki ziemniaczane.

Dziadek był zwolennikiem Piłsudskiego. Zamęczał dzieciarnię opowieściami o wojnie, tylko że my wtedy nie chcieliśmy go słuchać. Dla nas ważniejsze było to co na podwórku, kaczki, kury i cały ten wiejski inwentarz. Pamiętam jak podglądałam babcię jak doi krowy. Wieczorem wchodziła do obory, siadała na małym krzesełku, ciągnęła krowę za cycki (bo tak to kiedyś rozumiałam), a mleko wpadało do wiadra. Mleko nie z butelki, ciepłe z pianą, która tworzyła się podczas dojenia.

Czy beztrioskie wakacje spędzane na wsi miały wpływ na moją decyzję? Zapewne tak, ale o tym przekonałam się wiele lat później. Moje dorosłe życie i pierwsza praca zawodowa zbiegły się ze śmiercią dziadków. Przestałam jeździć na wieś.

Przez dwadzieścia pięć lat pracowałam w największym przedsiębiorstwie w Polsce. Nigdy nie lubiłam statystyki, wydawało mi się zawsze, że cyferki są takie bezduszne. W Polsce właśnie zaczął się kryzys, nagle okazało się, że jest za dużo rąk do pracy. Kiedy rozpada się ogromna firma, zatrudniająca tysiące osób, wtedy poznaje się ludzi. Doskonale pamiętam te kobiety w garsonkach idące ze spuszczoną głową długim korytarzem, jak na ścieżce. Padnie na nie, czy uda im się wybronić? Kto ma lepsze plecy u szefa, poparcie w związkach. Prawdziwy wyścig szczurów, uciekających z tonącego statku. Tamten świat, tamten zapamiętany obraz bardzo mnie rozczarował. Straciłam pracę. W czerwcu 2009 roku zarejestrowałam się jako bezrobotna.

Długo nie mogłam znaleźć pracy, oszczędności skończyły się, aby mieć za co żyć, utrzymać siebie i syna, zaczęłam sprzątać domy i apartamenty. Było mi ciężko nie tylko fizycznie. Osoby do sprzątania domów przeważnie szuka się wśród znajomych. Ludzie obawiają się wpuścić do mieszkania kogoś kogo nie znają. Pracę znajduje się przeważnie z polecenia.

Gdy wracam pamięcią do tamtych wydarzeń, dochodzę do wniosku, że nie żałuję ani jednej minuty przepracowanej przy sprzątaniu. Bo wszystko jest po coś. Tamten czas uświadomił mi, że pieniądze nie dają szczęścia, że bogaci ludzie, pozamykani w złotych klatkach, żyją w wielkim stresie, bardzo często są zmęczeni i nieszczęśliwi. Mimo że brakowało mi pieniędzy, zrozumiałam iż nie one są wykładnią szczęścia. Zadawałam więc sobie nieustannie pytanie – co to jest szczęście i gdzie ono jest?

W naszym kraju nie liczy się człowiek, a raczej to, jaki zawód wykonuje, jakie dzierży stanowisko. Inaczej rozmawiamy z prezesem, inaczej z panią ekspedientką. Tak jakby pani sprzątająca, pani ekspedientka, pani pracująca na poczcie za śmieszne pieniądze były kimś gorszym. Szacunek im się nie należy. Ludzi dzielimy na lepszych i tych gorszego sortu, na bogatych i biednych, na tych po studiach i tych bez. A gdzie w tym wszystkim jest sam człowiek?

Kiedy wyrobiłam już sobie dobrą markę i miałam dużo zleceń, mogłam sobie pozwolić na wybieranie domów gdzie dobrze się czułam. Gdzie byłam traktowana jak człowiek. Myślę, że wielu osobom przydałaby się taka lekcja pokory. Taka zamiana życia, może wtedy zrozumieliby, że w każdym człowieku jest jakaś ludzka historia, bez względu na wykształcenie i zasobność portfela.

W tamtym czasie zmęczenie fizyczne zmywałam w wannie, a psychiczne? Uciekałam w marzenia do świata idealnego. W 2011 roku powstał pierwszy list do spoczywającego od dawna na cmentarzu Oruńskim taty.

Drogi Tato, chciałam Ci powiedzieć, że dzisiaj byłam po raz pierwszy w pracy po dwutygodniowym urlopie. Ta praca nie jest szczytem moich marzeń, ale pracuję, zarabiam, nie siedzę w domu. Tak bardzo chcę być niezależna finansowo. Na pewno kiedyś mi się uda. Znajdę inną, lepszą pracę. Ta nie daje mi satysfakcji, ale sprawia, że mogę spokojnie iść do sklepu i zrobić

zakupy. Czasami nawet pozwalałam sobie na małą rozpustę i kupuję coś ekstra. Tym czymś ekstra są owoce, ale tego Ci już nie muszę mówić, bo wiesz, że je uwielbiam.

A urlop? Zaszalałam. Pierwszy urlop od lat. Był pełen emocji, miłych doznań. Dlatego tak trudno pozbierać mi się, wrócić do rzeczywistości, obowiązków dnia codziennego. Doskonale wiesz jaka jestem, zamiast się cieszyć, że udało mi się przeżyć cudowne chwile, ja rozpaczam jak mała dziewczynka, że już minęły bezpowrotnie. Na domiar złego, wczoraj pod moimi oknami pięciu panów złapało za kosiarki, a jeszcze przedwczoraj budziły mnie ptaki i plusk jeziora. Przywiozłam ze sobą małego aniołka. Na razie położyłam go na parapecie w kuchni. Jeszcze nie znalazłam dla niego miejsca. Leży pomiędzy strachami na wróble. A te strachy to taka namiastka wsi. Coraz częściej o niej myślę. Zaczynam marzyć. To chyba dobrze, jak myślisz?

Tylko to moje marzenie jest takie nierealne. Chciałabym zamieszkać na wsi w starym drewnianym domu pokrytym strzechą, z okiennicami, a w ogrodzie rosłyby malwy i słoneczniki. Pamiętasz u babci też rosły malwy, i na naszym podwórku, koło garażu. Stary drewniany dom. Nie murowany, piętrowy, z tarasami, ale taki ze skrzypiącymi deskami w podłodze. Z ogrodem, w którym rosną jabłonie, a strach na wróble odstrasza ptaszyska. Czy to realne? Marzenia nie spełniają się same, trzeba im w tym pomóc i czekać, czekać, czekać. To oczekiwanie chyba jest najprzyjemniejszym stanem ducha. Bez marzeń życie staje się puste, bez celu i szare. Może do tego swojego marzenia powinnam podejść jak do św. Mikołaja, nikt w niego nie wierzy, a jednak on pojawia się i zostawia prezent pod choinką. Oczekiwanie na jego przybycie też daje taki miły niepokój.

Marzy mi się wiejski dom, z którego emanuje ciepło, ale nie to z kominka. Dom, w którym nikt na nikogo nie krzyczy, z kawą pitą o poranku, a wieczorem herbatą z hibiskusa. Na podwórku dwa psy w zgodzie żyjące z kotem. Czy to dużo? Czy moje marzenia są wygórowane? Absurdalne? Wiesz, i nawet jeśli to moje marzenie jest nierealne, to jednak myślenie o nim sprawia mi przyjemność. A to chyba dobrze? Jak myślisz? Może kiedyś za pięć, dziesięć lat. Kto wie co człowieka spotka jeszcze w życiu.

W roku 2012, po wielu latach biedy, moja karta życia odwróciła się. Zaczęłam pracować w prywatnej przychodni. Z upływem lat stałam się silną kobietą. Zarabiającą, spełniającą się zawodowo, niezależną finansowo. Wychodziłam rano z domu i wraca-

łam późnym wieczorem do swojego mieszkania jak do pokoju hotelowego. Przespać się, bo jutro kolejny dzień pracy. Po latach biedy, pustej lodówki zachłysnęłam się pieniędzmi. Pracować więcej, żeby więcej zarobić, taki efekt śnieżnej kuli. Tylko czasami, gdy kładłam się do łóżka, a sen nie przychodził, wracałam do tamtej piaszczystej drogi z dziecięcych lat. Miałam pieniądze, ale czy byłam szczęśliwa? Jaki to wszystko ma związek z porzuceniem miasta dla wsi? Miłość do wsi zaszczepili mi moi dziadkowie, ale spotykani ludzie po drodze sprawili, że wybrałam wieś. Spokojne i także inne życie.

Czym człowiek staje się starszy tym bardziej przytłacza go bagaż doświadczeń. To tak jak z kamieniami zbieranymi z pola podczas spaceru. Im więcej włożysz ich do kieszeni tym trudniej iść. W końcu jest ci tak ciężko, że nie masz siły ich dźwigać. Wtedy zaczynasz zastanawiać się i albo godzisz się na życie, które ci ciąży, albo wyrzucasz kamienie i zaczynasz kroczyć nową ścieżką życia. Kiedy staniesz pod ścianą i pytasz co dalej, nie słuchaj rozumu, bo on zawsze będzie się starał cię przekonać, że wszystko jest w porządku, że tak musi być, że nie może być inaczej, że w gruncie rzeczy jest dobrze, nakłaniać do porzucenia marzeń, schylenia głowy w dół, padnięcia na kolana. Bo tak lepiej, bo nie wyśmieją, nie wytkną palcami, nie wezmą na języki, nie oplują. A gdybyś odważył się nie posłuchać i wzniósł w niebo, niechybnie zacznie szeptać ci do ucha, że nie masz prawa latać, że jesteś cięższy od powietrza, przecyzysz prawom fizyki. Podetnie ci skrzydła, spadniesz jak kamień w dół i ponownie będziesz pełzać jak robak.

Więc usiądź wygodnie, w ciszy, z dala od zgiełku, zamknij oczy i zadaj sercu pytanie czego tak naprawdę chcesz od życia. Jaki jest cel twego istnienia, twoje przeznaczenie? A gdy już zajrzysz w głąb swego serca i zakneblujesz rozum, powstań niczym Guliwer, zerwij wszystkie nitki, sznurki, linki, łańcuszki, którymi się sam skrupowałeś. Odrzuć wszystko, zostaw za sobą i idź przed siebie, tam dokąd serce każe ci iść. Bo tak naprawdę życie jest bardzo proste, to my sami je komplikujemy, bojąc się wyjść ze swojej strefy komfortu.





Rozum czy serce?

Domu szuka się rozumem i sercem. Na początku serce współgra z rozumem. Serce jest matką, to w nim zrodziło się marzenie, które rozum, ojciec, przez pewien czas odrzuca, odpycha, stara się zbagatelizować, bo po co rzucać się na coś, co jest nie do zrealizowania. Gdy jednak rozum uświadomi sobie, że przegrał, bo w gruncie rzeczy zawsze przegrywa, przystępuje do działania. Tak było w moim przypadku.

Na początku stycznia odezwałem się do przyjaciela Sławka. Poznaliśmy się na wrocławskim podwórku, lat ponad czterdzieści temu. Łobuzowaliśmy wtedy co niemiara, naszą ulubioną zabawą było łożenie po dachach wieżowców naszego osiedla i... podglądanie opalających się dziewczyn. Mając prawie piąty krzyżyk na karku ustatkowaliśmy się (nieco?) i wspólne łożenie po dachach w niecnym celu raczej nas już nie pociągało, za to porzucenie miasta, zamieszkanie na krańcu świata, tak.

Postanowiliśmy połączyć nasze siły i kupić wspólnie siedlisko z domem bliźniakiem, lub wystarczająco dużym, aby dało się go bezkonfliktowo podzielić. Do tego odpowiednia ilość ziemi, minimum hektar, a najlepiej kilka, z małym lasem, stawami, tak by osiągnąć pełną samowystarczalność.

Czasu było niewiele, pod koniec kwietnia miała zacząć obowiązywać uchwalona przez PiS ustawa o kształtowaniu ustroju rolnego, która miała uniemożliwić nam, mieszkańcom, kupno siedliska większego niż 5000 m².

Do szukania przystąpiliśmy metodycznie. Podczas dłuższej dyskusji opracowaliśmy warunki, jakie musi spełniać szukane siedlisko, zebraliśmy je w tabelce, przypisując każdemu parametrowi stosowną wagę (od 0 do 1). Oczywiście najważniejszym kryterium była maksymalna kwota, którą jesteśmy w stanie wydać, ustaliliśmy ją na 300 tysięcy złotych.

waga	parametr	optimum
1	odległość	do 200 km
0,9	powierzchnia	1 ha
1	położenie	na kolonii
1	woda	2–4
0,8	Internet	4
0,6	stan	ujdzie (4)
0,5	okolica	

Drugim w kolejności parametrem była odległość. Ja zamierzałem zamieszkać w siedlisku na stałe, Sławek planował przez parę lat pobytu weekendowe oraz dłuższe w wakacje. Mój zawód pozwala na pracę zdalną, pod warunkiem, że będę miał dobry dostęp do Internetu. Niemniej co pewien czas muszę przyjechać do miasta, aby spotkać się z moimi klientami.

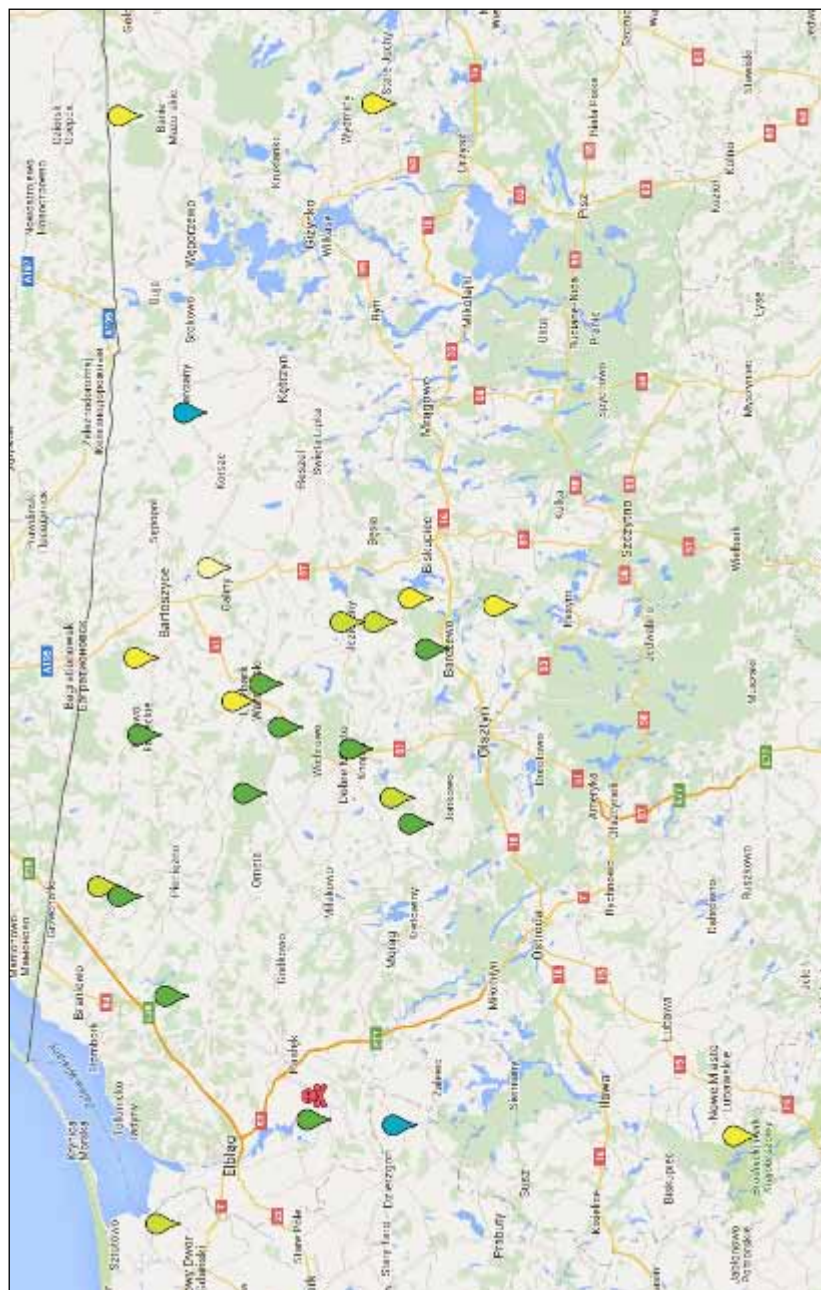
Uznaliśmy, że siedlisko powinno znajdować się nie dalej niż dwie godziny jazdy od Gdańska, najlepiej w pobliżu (do 30 km) dobrej drogi, autostrady, bądź drogi szybkiego ruchu. Z Gdańska prowadzą dwie takie trasy – autostrada A1 oraz S6 na Warszawę, z odnogą S22 na Kaliningrad. Wyznaczyły nam one obszar poszukiwań zawierający Warmię, Żuławy, Kociewie i część Kaszub.

Minimalna powierzchnia miała wynosić hektar, aczkolwiek braliśmy też pod uwagę działki nieco mniejsze, ale nie mniej niż 5000 m². Równie ważne co odległość było położenie, przecież nie po to uciekaliśmy z miasta, od panującego w nim zgiełku i hałasu, aby mieć pod bokiem uciążliwego sąsiada. Siedliska położone w centrum wsi czy nawet na obrzeżach odpadały. Najlepsze byłoby położone na kolonii albo na – przepraszam za kolokwializm – całkowitym zadupiu.

Kolejnym równie ważnym parametrem była dostępność wody. Planowaliśmy rozkręcenie z czasem własnych upraw permakulturowych, pozwalających na samowystarczalność żywieniową, a do tego trzeba dużo wody, zwłaszcza że wraz z ociepleniem klimatu coraz częściej panują długotrwałe susze. Sam wodociąg nie wchodził w rachubę, bo zbankrutowalibyśmy chcąc podlewać nasze hektary. Konieczna była niewysychająca studnia i najlepiej własny staw lub nawet stawy.

Bez wody w ostateczności można by sobie jakoś poradzić, wożąc ją w baniakach, ale Internetu w wiadrach nie da się dostarczać. Dzięki sieciom GSM dostępny jest on praktycznie wszędzie (choć są i białe plamy), aczkolwiek szybkość transmisji może być różna. Zakładaliśmy następujące sytuacje: 1 – brak, 2 – dociągnięcie przez nas, 3 – dociągnięcie przez operatora, 4 – LTE, 5 – drut. Pierwsze trzy nie wchodziły w rachubę. Satysfakcjonującym nas stanem byłaby dobra dostępność sieci LTE, plus stałe łącze miedziane np. Neostrada lub coś podobnego.

Wymagany stan budynku określiliśmy na 4, czyli ujdzie. Nie chcieliśmy się pakować w budowanie od nowa albo w poważny remont. Na tak zwaną nówkę „sztukę nieśmiganą”, gdzie nic nie puka i nie stuka, za dostępną nam kwotę nie liczyliśmy. Trochę mniej ważna była okolica, aczkolwiek fajnie jest mieć ładny widok na pagórki, lasy i jeziora. Wiedząc czego szukamy, zarzuciłem sieci po rozlicznych portalach z ofertami nieruchomości. Poustawiałem filtry zgodnie z naszymi kryteriami, pozakładałem powiadomienia. Wyszukiwanie trwało miesiąc. Wszystkie znalezione siedliska umieszczałem w arkuszu kalkulacyjnym (zdjęcie na następnej stronie) Zawierał on informacje, jakie udało mi się wyczytać w ogłoszeniu, oraz zdobyć podczas rozmowy z oferentem, miniaturkę zdjęcia oraz link. Bardzo pomocna była miniaturka zdjęć, bo pomagała szybko identyfikować, o którym ogłoszeniu mówimy (dom z Maryjką, czerwony ganek, wiosenna rudera itd.). W wyniku ostrej selekcji zostało się ponad trzydzieści siedlisk, arkusz rozrósł się i zrobił niewygodny w użyciu, postanowiłem skorzystać z pomocy wujka Googla i zbudować własną mapę. Trochę pracy to wymagało, ale ułatwiło nam – i to znacznie – planowanie wypraw poszukiwawczych. Szpilki były różnych kolorów, czego niestety na czarno-białym obrazku nie widać. Niebieski – koniecznie do zobaczenia, zielony – warto zobaczyć, żółty – niekoniecznie, o ile będzie po drodze, białe na samym końcu. Jeśli jakieś siedlisko odpadało, oznaczałem je czerwoną szpilką. Na początku marca rozpoczęliśmy nasze poszukiwania. I tu zaczyna się nasza relacja z szukania, remontowania i zasiedlenia.





SZUKANIE



Luty-marzec

1 lutego

Wojna atomowa

Przedwczoraj pojechaliśmy we trójkę zobaczyć siedlisko na sprzedaż w okolicach Bartoszcyc. Droga w tamtą stronę sami nie wiemy kiedy nam zleciała, rozmawialiśmy, pośmialiśmy się, popodziwialiśmy Warmię. W Bartoszczach wypiliśmy kawę na stacji benzynowej, ja spałaszowałem przednią jajecznicę na boczku. Po dwóch i pół godziny byliśmy na miejscu.

Siedlisko jest prawdziwym siedliskiem, to nie jest działka w centrum wsi, nawet na kolonii. Do najbliższego sąsiada 400 metrów w linii prostej, do wioski kilometr. Dojazd w miarę dobry, auto terenowe nie jest niezbędne. Do Bartoszcyc 18 kilometrów. Dwieście kilometrów od Gdańska.

Stanęliśmy więc przed tym starym domem. Wkoło pola, lasy i cisza. Niesamowita dzwoniąca w uszach cisza. Szaro, bezśnieżnie, wiosną i latem musi być tu przepięknie. Siedlisko osłania z dwóch stron młody brzozowo-świerkowy las. Dom stoi pośrodku działki, która jest naprawdę duża – 1,6 ha, lub jak wolą mieszczuchy 16 000 m². Jest co zagospodarowywać. Działka w pełni budowlana, nie rolna.

Cena przystępna, osiągalna bez większych wygibasów kredytowych, biorąc pod uwagę fakt, że mój przyjaciel Sławek kupiłby połowę. Dom stary, przedwojenny, nie za duży. Wymaga remontu, ale nie jest to bardzo pilna sprawa. Cały czas zamieszkaný, ogrzewany. Internet po drucie. Połowa domu to wielki garaż, który z łatwością można przerobić na loft (ceglane ściany, wielkie belki stropowe). Okna wymienione na nowe, ogrzewanie centralne nie pierwszej młodości, ale sprawne. Jednym słowem same plusy (a może ja

chcę widzieć same plusy ???), jedynym minusem odległość, równe dwieście kilometrów. Dużo to czy mało? Jezuniu miłosierny! Co zrobić? Co czynić? Serce walczy z rozumem. Wojna atomowa...

Nie kupiliśmy tamtego domu. Kiedy wróciliśmy do wynajmowanego mieszkania w domu pod niebieskim aniołem, zasiedliśmy do oglądania zdjęć. Było tam za płasko, a może to jeszcze strach nas paraliżował.

6 lutego

Coś drgnęło

Życie zaczęło powracać w sflaczałe ciało. Słońce jakby ciut mocniejsze. Zaczyna przygrzewać. Dzień jakby dłuższy, trudno zapaść w drzemkę poobiednią, no bo jakże to, skoro lampa niebiańska wysoko jeszcze na nieboskłonie? Wiosna idzie, rzekłem do Piętaszka i uśmiech od ucha do ucha rozjarzył nam miski. I zaczęło się po sieci buszowanie, z początku nieśmiałe, z czasem coraz odważniejsze. Blogów oszołomskich permakulturalnych przemierzanie, linków odkurzanie. To posadzimy, i to, i jeszcze to, i tamto. Niczym pacholę stojące przed witryną sklepu z zabawkami, z roziskrzonymi oczyma, paluszkami wodzę po ekranie.

Opamiętaj się Wojtusiu, Piętaszek na to, opamiętaj miły! Gdzie my to wszystko posadzimy? Jeszcze nie mamy siedliska, kawałka ziemi, a ty już kupujesz nasionka.

Rozmarzyliśmy się obydwój. Pozieleniliśmy, ukwieciliśmy, zwarzywnikowaliśmy się. I dalej-że, hola do wirtualnego sklepu nasionka kupować. Napchaliśmy do kosza samych niezwykłości, ogrodniczych dziwności, smakości. Niech no tylko słonko mocniej przypiecze, skowronek dzióbek rozedrze, pochylimy się nad ziemią skąd nasz ród i powierzmy jej łonu życie nowe. Rośnijcie dobrze, kochane warzywka, w was cała nadzieja, do zobaczenia za parę miesięcy, powiem. Aha! dopowie Piętaszek. Matka Natura jest po naszej stronie, trzymajcie się warzywka. Prawo natury musi zwyciężyć! Aha!

3 marca

Zdjęcie rodziców

Patrzę na zdjęcie rodziców ustawione na parapecie okna w wynajętym mieszkaniu zwanym „domem pod niebieskim aniołem”. Mama tak pięknie się na nim uśmiecha. Czasami wydaje mi się, że uśmiecha się do mnie, a nie do siedzącego obok niej taty. Po-
stanowiłam napisać do niej list:

Kochana Mamo

Codziennie wieczorem Wójtęk sprawdzał ogłoszenia. Każde ciekawe siedlisko umieszczał na mapie. Wyszło tego nawet sporo – 26 miejsc. Wczoraj z kubkiem czarnej kawy zasiedliśmy do opracowania szczegółów. Braliśmy pod uwagę okolicę, wodę, Internet, stan budynku i wielkość siedliska, oraz – a może przede wszystkim – cenę. Miejsca na mapie oznaczyliśmy trzema kolorami. Niebieski – koniecznie do zobaczenia, zielony – warto zobaczyć, żółty – niekoniecznie, o ile będzie po drodze.

Dzisiaj rano dostałam od Wójtkę kartkę z tabelką i bojowe zadanie – obdzwonić biura nieruchomości i dowiedzieć się, czy ogłoszenia są aktualne. Jeśli tak, to umówić nas na zbliżającą się sobotę. Z siedmiu wybranych, jedno zostało sprzedane. Na pierwszą trasę wybraliśmy trzy. Ruszamy o 7.20 rano. Pierwszy dom będziemy oglądać około dziewiątej.

Patrzę na rubryczki wypisane moim charakterem pisma i jeszcze w to nie wierzę. Czy pośród tych miejsc jest to wymarzone? To, na którym staniemy i powiemy – tak, tu chcemy żyć.

Marzenie o drewnianym domu, który nie będzie drewniany, ale za to na wsi, jest tuż na wyciągnięcie ręki. Wójtęk zawsze powtarzał „jeszcze nie wiesz co w życiu ciebie spotka” i miał rację.

Wiesz Mamo, myślę sobie, że gdybym teraz pojechała do Ciebie, nie usłyszałabym „dziecko, jak ty teraz sobie poradzisz?”. Czuję się bezpiecznie, wszystko zaczyna się powoli układać. W końcu stworzę dom gdzie nikt na nikogo nie będzie krzyczał. Trochę to na pewno potrwa, ale czy mi się gdzieś śpieszy?

A może tylko tak mi się wydaje, może po prostu taka byłaś, że musiałas się o mnie martwić. Teraz zapewne martwiłabyś się, że będę daleko od Ciebie. To zamartwianie zapewne odziedziczyłam po Tobie. Teraz ja zamartwiam się o swoje dziecko.



7 marca

Wielki gar zupy

5 marca, w sobotni poranek pomknęliśmy F16 mojego przyjaciela Sławka w kierunku krainy magicznej, wyśnionej, dawnej ziemi tajemniczych plemion pruskich – Warmii. Królestwa Smętka, ziemi po dziś dzień lekko dzikiej, nieujarzmionej, pagórkowatej, z przepastnymi kniejami skrywającymi niejednego krzyżackiego i polskiego grób. Elbląg minęliśmy z prędkością nadświatła, i tylko groźba zabrudzenia tapicerki przez pasażerów zmusiła, wpatrzonego w yanosika pilota, do zwolnienia. Pierwsze domostwo, sprzedawane przez polsko-holenderskie starsze małżeństwo, z którego odwiedzenia mieliśmy pierwotnie zrezygnować, bo okazało się, że w sąsiedztwie jest wielka wiejska dyskoteka, nawet się nam spodobało. Obejrzeliśmy je dokładnie, udając zachwyt nad ciężkimi burżuazyjnymi meblami w holenderskim stylu. Dyplomatycznie przemilczeliśmy fakt wyłożenia sufitów plastikowymi panelami, w kolorze, który Francuzi określają jako „Caca d’oie” lub skrótowo „merdoie”.

Kolejne, koło Zalewa, cudownie na zdjęciach, w rzeczywistości okazało się mało atrakcyjne. Zamiast trawnika było zryte traktorem błotnisko. W dolnej części ogrodu, ukryte za świerkami i brzożami, biło źródło, które rozciągało woń bynajmniej nie perfumerii. Piętaszek uparł się poznać historię właścicielki, matki szóstki dzieci (2500 zł miesięcznie), my zaś ze Sławkiem zabarykadowali się w aucie, a wkoło krążył właściciel w nieodłącznych gumofilcach i zakrwawioną siekierą. Jakoś udało się nam wymknąć.

Trzy kwadransy na dwunastą, tak się to tutaj dawniej mówiło, dotarliśmy do domu Arków, ludzi szczęśliwych i przesympatycznych.

nych. Uraczyli nas kawą, słodyczami i opowieściami jak to się tutaj żyje, na krańcu cywilizowanego świata. Też tak chcemy! – zakrzyknęliśmy jak jeden mąż i pognaliśmy bezdrożami do Pupek (tak, tak nazywa się ta wieś!) podziwiać remontowane siedlisko Arka, do którego zamierzają się wprowadzić jeszcze w maju.

Zazdrość nas skrzyła. To było to miejsce wymarzone. Piękny warmiński dom z klimatem (ten sufit ze starych desek!). Wkoło pagórki i lasy, dzwoniąca w uszach cisza, przerywana jedynie przez latające wuwuzele lub klekot bociana. Sławek próbował namówić Arka, żeby sprzedał nam swój nowy dom, ale ten pozostał nieugięty, nawet wtedy gdy padła niebotyczna kwota, bo odnalezione własne miejsce na ziemi jest bezcenne. Pojechaliśmy więc wraz z naszymi gospodarzami penetrować leśnymi duktami okoliczne knieje. W międzyczasie dołączył do nas miejscowy mistrz budowlany, który remontował dom Arka.

Niestety, nie znaleźliśmy nic ciekawego, choć jedna działka nad jeziorem wydała się wielce zacna, aczkolwiek z domem letniskowym. Na deser obejrzelśmy samotne siedlisko należące do pewnej warszawianki, stary wyremontowany dom z czerwonej cegły, leżący na wzgórku, skąd rozciągał się niesamowity widok na 8-hektarową posesję. Cudo ale – jak się potem okazało – nieosiągalne, no, chyba że Sławek ożeniłby się z właścicielką.

Wymarznięci i wytrzęsieni zacumowaliśmy ponownie w domu Arków. Usiedliśmy przy kuchennym stole i pani domu postawiła przed nami wielki gar rosołu. Boże drogi, jakie to było pyszne! Wiosłowaliśmy łyżkami aż trzęsły nam się uszy. A potem podano Ambrozię, wino domowe, i dalsze opowieści o krainie ludzi wolnych, szczęśliwych, nigdzie się nie śpieszących, bezinteresownie sobie pomagających. Żał było opuszczać domostwo Arków i Warmię. Jeszcze tu wrócimy, jak dobrze pójdzie w najbliższy czwartek. Tymczasem postanowiliśmy kupić wielki gar, 11-litrowy, i zrobiłem w nim dzisiaj zupę z topinambura. Palce lizać!

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

W Pupkach

Wojtek opowiadał mi o krainie, gdzie ludzie się uśmiechają, pomagają sobie nawzajem, a pieniądze są rzeczą podrzędną. Słuchałam, ale podchodziłam do tego bardzo sceptycznie. Czyżby mój idealny świat, bez bufonów, zgiełku, wyścigu szczurów, napinających się ludzi istniał? Nie wierzyłam. Po obejrzeniu dwóch domów pojechaliśmy dalej na Warmię, do Beaty i Arka, znajomych Wojtka. Jedyna wiedza na temat tamtych terenów, jaką zdołałam sobie przyswoić, pochodziła z książki Joanny Posoch „Lawendowe Pole, czyli jak opuścić miasto na dobre”. Książka mnie nie urzekła, wprost rozczarowała. Zabrakło mi tego czegoś ulotnego, tak bardzo trudnego do ubrania w słowa – uczuć.

Z szeroko otwartymi oczyma, popijając zacną kawę z ekspresu, słuchałam historii naszych gospodarzy. To dwójka wykształconych, z ogromną wiedzą ludzi, którzy mieszkali w różnych miejscach w Polsce, aż w końcu znaleźli swoje miejsce na ziemi. Trafili na Warmię, zamieszkali niedaleko wsi Pupki. Takich ludzi, wykształconych a zarazem mądrych, z duszą artystyczną jest tam więcej. Tworzą różne rzeczy, malują, prowadzą teatr Węgajty. Jest tam też pracownia ceramiczna i koronek, ośrodek Rozwoju Osobistego i duchowego. Naszym rozmowom nie byłoby końca, czas niestety płynął nieubłaganie, trzeba było ruszać szukać miejsca na nasz dom. Niestety tym razem się nie udało, ale los wynagrodził nas ludźmi, których poznałam.

Kiedy zmęczeniu i zziębnięci otrzymaliśmy zaproszenie na rosół, bardzo się ucieszyliśmy. Usiadłam w kuchni przy piecu z zielonych kafli. W realnym życiu rzadko kiedy opowiadałam o sobie, spisywanie własnych doznań w dzienniczku wystarcza mi w zupełności. Tym razem zapytana, opowiedziałam prawie całą historię swojego życia. Ta realna szczerość bardzo mnie zaskoczyła, bo przeważnie to ja słucham. Ja opowiadałam, a gospodyni kręciła się po kuchni. Ze starego pięknego kredensu wyciągnęła talerze i nie była to porcelana z Rosenthala. Każdy z talerzy przecierała lnianą ściereczką i stawiała na owalny stół. Na środku stołu położyła okrągłą dREW-

nianą deskę. Postawiła na nim ogromny gar z gorącym rosołem. Mimo iż ja nie przepadam za rosołem, tym razem skusiłam się. Był wyjątkowy. Przez chwilę pomyślałam o moich obiadach dla gości, gdzie musi być kilka potraw z killkoma przystawkami, z nieustającym stresem czy aby wystarczy.

Ja dłużej nie chcę tak żyć! Chcę otaczać się ludźmi takimi jak oni, empatycznymi, bezinteresownymi. Ludźmi, którzy dbają nie tylko o siebie, ale również o zwierzęta i ziemię!

Jedna z opowieści Beaty zapadła mi w pamięć. Ich znajomy, mieszkaniec innej wioski, miał za dużo warzyw. Wystawił je przed swój dom wraz z puszką. Ten kto przechodził mógł zabrać ze sobą parę pomidorów i wrzucić do puszki tyle, ile uważał. Tam tacy ludzie mieszkają. Ja wiem, że z tymi ludźmi jest mi po drodze, tak samo jak z Agatą, którą poznaliśmy na Podlasiu. Tak à propos, to w marcu spotykamy się z nią na święta. W tej samej agroturystyce. Usiądziemy wszyscy przy drewnianym stole w domu nad Narwią.

Jeszcze nie wiem gdzie jest mój dom, ale wiem, że na pewno będzie tam ogromny stół, przy którym będą zasiadali wszyscy chętni odwiedzenia nas. Będziemy jedli rosół, a warzywa będą z naszego ogrodu. Nie będzie tam luksusu, ale czas na rozmowy z lampką swojskiego wina. Czego nauczyła mnie ta podróż? Większość ludzi na małych wioskach dotację na dziecko w wysokości 500 złotych traktuje jak sposób na życie. Będą się rodziły kolejne, i znowu kolejne dzieci. I druga rzecz – nie wszystko można kupić za pieniądze. Są jeszcze ludzie wyznający inne wartości.



10 marca

Przepijemy naszej babci domek śliczny

Tym razem jedziemy moim volvo, stanowczo się przy tym uparłem. Nie ukrywam, kiedyś lubiłem szybko jeździć, ale z wiekiem spokorniałem, złośliwie się. Audi Sławka jest fajne, wygodne, ale stanowczo za szybkie. Za kwadrans siódma podjeżdżamy pod dom Sławka, wstające słońce świeci w oczy.

O wpół do dziewiątej zajeżdżamy pod pierwsze siedlisko. Dom to duży budynek po starej szkole, w dużym stopniu odnowiony. Działka też fajna, ale otoczenie marne, zwłaszcza widoczna i brzydko pachnąca rozpierducha za płotem. Widok można jeszcze czymś zasłonić, ale zapachu wybijającego szamba już nie.

O dziesiątej docieramy do małej, leżącej koło Lidzbarka Warmińskiego wsi. To dom, który nazywaliśmy dom z Maryjką, bo przy wejściu na posesję stoi kapliczka. Oprowadza nas wesolutki jak szczygieł właściciel. Mówi, że dom odziedziczył po babci. Babcia i dziadek lubili wypić lub – jak to stwierdził – śpiewać. A i on sprawiał wrażenie, że nie marzy o niczym innym jak o przepiciu swojej babci domku ślicznego.

Godzinę i kwadrans później docieramy do Barcikowa. Miejscówka przednia, stara chata warmińska leżąca na leśnej polanie. Cena nawet przystępna, ale dlaczego ten dom jest podstemplowany na strychu i dokładnie w tym samym miejscu w piwnicy, czyżby się rozpadał? Pani z biura nieruchomości mówi, że ma jeszcze jedno siedlisko, z drugiej strony Lidzbarka, w bardzo dobrym stanie, ale stosunkowo drogie. – Nic tam nie trzeba robić, tylko zamieszkać – kusi. Jedziemy zobaczyć.

Fakt, dom duży aczkolwiek o dziwnej bryle, w środku jak w labiryncie, pokój obok pokoju pokojem pogania. Działka ładnie zagospodarowana, jeden niedaleki sąsiad. Cena tylko, niestety, wysoka. Wahamy się.

12 marca

Rozterki i nadzieje

Pierwszy dom z listy był piękny. Budynek po dawnej szkole. Białe z dużymi oknami i dwoma wejściami, co w naszym przypadku ma ogromne znaczenie. Starszy zmęczony życiem pan przywitał nas na podwórku. Weszliśmy do środka. Korytarz, mała kuchnia i ogromny pokój, który kiedyś był salą gimnastyczną.

– Miało być inaczej – powiedział właściciel – syn portrecista miał otworzyć tutaj swoją galerię, nie otrzymał dotacji, musimy sprzedać dom, bo jest dla nas za duży. Żona zmarła, syn się wyprowadził, sam nie dam rady.

Smutna historia, zakopane, niezrealizowane marzenia. Tak, tamten dom podobał mi się z uwagi na przestrzeń. Kupując z przyjaciелеm Wojtką dom na spółkę zmniejszylibyśmy koszty – myślałam spacerując po dawnej sali gimnastycznej. I może byśmy się skusili, gdyby nie otoczenie. Za płotem typowa polsko-wiejska rozpie rducha – błoto, porozrzucany obornik, rdzewiejące, popsute maszyny rolnicze. Tego nie dałoby się zasłonić żadnym ogrodzeniem. No i ten swojski zapaszek. Jednak widok za oknem ma dla mnie ogromne znaczenie.

Krążąc po warmińskich malutkich wioseczkach, zastanawiałam się z czego wynika ten bałagan w obejściach. Zaniedbane, brudne krowy, stojące po kolana we własnych odchodach. Porozrzucane bele słomy i pordzewiałe niepotrzebne już sprzęty. Z biedy? Z niemocy? Z braku siły? O ile potrafię zrozumieć biedę, i doskonale wiem jak ona smakuje, tak nie potrafię zrozumieć tej polskiej rozpie rduchy. Nie trzeba być bogatym, żeby posprzątać wokół siebie. Poskładać maszyny w jednym miejscu, zrobić porządek na podwórku.

Kolejny dom i kolejne rozczarowanie. Stale jest coś nie tak. Oboje z Wojtką tak mamy, że wiemy od razu, bez zastanowienia, że to jest to miejsce. Tak było z wynajęciem mieszkania. Tego

ekscytującego dreszczyku nie poczuliśmy w żadnym odwiedzanym miejscu. No może w ostatnim. Zauroczyła mnie obora i ogród, który był niesamowity – ze starymi jabłoniąmi, z zagajnikiem brzozywym i oczkiem wodnym.

Niestety, aby to kupić, musielibyśmy zaciągnąć ogromny kredyt. Dwa dni debatowaliśmy czy warto, czy za wszelką cenę? Kupić dom i przez 15–20 lat martwić się jak go spłacić? Denerwować się czy dwóch przyjaciół współwłaścicieli się nie poróżni i spółkę szlag trafi? Jak wtedy podzielić dom i działkę, żeby nie wchodzić sobie w drogę? Podjęliśmy w końcu ostateczną decyzję. W sobotni poranek ponownie usiedliśmy do komputera aby przejrzeć ogłoszenia tańszych domów. I nawet pojechalibyśmy w pewne miejsce w niedzielę, ale właściciele nie mogli nas przyjąć bo wyjeżdżali. Jedziemy tam w poniedziałek lub wtorek. Coś mi mówi, że to jest to miejsce. Mały, niepozorny, na lekkim wzniesieniu, do remontu, ale z własnym z kawałkiem ziemi pod uprawę ogórków.

14 marca

Dru ga miłość

Kiedy patrzyłam na zdjęcia małego, szarego domu, wszystko wydawało się idealnie pasować. Jest mały, usytuowany na górcie, ma dwuspadowy, złamany nad tarasem dach, który zawsze mi się podobał. Wieczorem usiadłam w wojtkowym fotelu i snułam wizje. – Ten wąski pasek na wzniesieniu jest idealny do zrobienia mini-winnicy, a to duże okno na pewno wychodzi na ten staw, a za domem będzie ogród – przekonywałam Wojtka, a może bardziej samą siebie. – Nie nakręcaj się tak – strofował.

Wiedział o czym mówi, bo kiedyś zapałał miłością do innego domu, 250 km od nas. Jechaliśmy tam paskudną drogą, ale jeszcze szybciej wracaliśmy. Tak bardzo się nakręciłam, że o trzeciej rano moje oczy były wielkości 5-złotówek. Po drodze wszystko mi się podobało, mijane wioski, górki i pagórki.

Zobaczyłam mały dom z daleka. Piaszczystą krętą drogą, wijącą się jak wstążka, dojechaliliśmy do celu. Ogromny staw przed domem. Właściciel oprowadzał nas po domu opowiadając historię

swojego życia, a we mnie umierały marzenia o domu na górze. Dom jest po ojcu. Mała wioska bez perspektyw na pracę, im brakuje pieniędzy. Nie mają też dzieci, a bardzo by chcieli. Smutno mi się zrobiło, że nie będę mogła urealnić jego marzeń, i moich. Tym razem rozum zwyciężył nad sercem. Samo kupno tego domu pochłonęłoby wszystkie nasze środki. Domu już nie da się reanimować, trzeba go po prostu zburzyć, a na jego miejscu zbudować nowy. Na to niestety nas nie stać.

Wybierając dom nie patrzę na wnętrza, bo to wszystko powoli latami można doprowadzić do świetności, ale mury muszą być zdrowe. Ten dom pękał z każdej strony, od ziemi aż po dach. Przeciekały kominy, połowa krokwi na dachu wymagała wymiany. Ten młody człowiek bez perspektyw nie remontuje domu, on go łąta. Dziura robi się jeszcze większa, a on dalej ją łąta. Szczerze szkoda mi tego człowieka.

Wpadłam w tak ogromną czarną rozpacz, że kolejny dom, który oglądaliśmy, spisałam całkowicie na straty. Nie podobało mi się tutaj. W obejściu skansen z pordzewiałymi maszynami rolniczymi. Osiemdziesięcioletnia kobieta, dzieci daleko, zrozumiałe jest, że nie ma już siły na sprzątanie obejścia. Wojtek to mądry człowiek, obejrzał dom spokojnie i zapalał doń miłością.

– Zrobię co zechcesz, pomalujemy go na biało, powiesimy niebieskie okiennice, popatrz tylko spokojnie na zdjęcia.

– No a gdyby tak rozebrać stodołę i oborę zrobiłaby się przestrzeń. Gdybyśmy tak zburzyli ścianę wewnątrz – pomyślałam.

Tak, może nie zapalałam pierwszą miłością, ale tą drugą dojrzałą, bo rozsądniejszą. Jesteśmy w trakcie rozmów. Ja spokojna piszę tekst, a Wojtek już w myślach buduje.



Landsberg

Nie dojeżdżając do Landsbergu (Górowo Iławeckie), na wysokości ostatniego zakrętu, trochę ponad kilometr nim droga z Mehlsack (Pieniężno) przecina tory kolejowe, należy skręcić na wysokości majątku Schultzen w prawo, na Papperten (Paprocina) Tysiąc i dwieście metrów dalej, po minięciu paru majątków, gdy po lewej stronie będzie już widać Großer Teich (Wielki Staw) trzeba skręcić w lewo, w pełną odnogę. Drugie zabudowania po lewej, dom na wzgórzu, oto cel naszej podróży. Kto tam mieszkał, tego nie wiem. Niewiele udało mi się odczytać z czarno-białej, starej niemieckiej mapy Messtischblätter, w skali 1 : 25 000. Anonimowy kartograf oznaczył na niej z niemiecką precyzją każdy szczegół terenu, lecz w pajęczynie poziomicy nie mógł – no bo jakże – zawrzeć losów tych, co tu mieszkali przed laty.

Może dowiemy się czegoś od starszej pani, ostatniej mieszkanki warmińskiego domu, która rok temu pożegnała męża. A może czerwcową nocą, nie mogąc zasnąć, usłyszymy jak dom szepcze nam historię tych, którzy go zbudowali, żyli tu szczęśliwie, aż musieli odejść. Odwdzięczy się nam za drugą młodość, którą chcemy mu dać. Pośród 23 wybranych siedlisk to był cel rezerwowy, taki do odwiedzenia w drugiej kolejności, przy okazji, jak starczy czasu i będzie po drodze. Tego zimnego dnia u progu wiosny mieliśmy zobaczyć inne siedlisko, które miało być tym miejscem, ale tak się nie stało.

Niewiele brakowało abyśmy tu nie trafili. Po odwiedzeniu pierwszego miejsca, stanąłem w centrum wsi pod sklepem i zacząłem szukać w nawigacji nowego miejsca docelowego. Nie mogąc znaleźć, zrezygnowany odłożyłem nawigację i już mieliśmy machnąć ręką i ruszyć w trasę powrotną, gdy właściciel poprzedniego siedliska, mijając nas zatrzymał się, otworzył okno i spytał czy może trzeba pomóc. Gdy podałem mu nowy adres, uśmiechnął się i powiedział, że zna to miejsce i nas poprowadzi, bo to prawie po drodze. Opatrzność widocznie tak chciała. Zajechaliśmy więc tu przypadkiem. Dla mnie to było to miejsce, ten dom. Dla Piętaszka

jeszcze nie, musiała otrząsnąć się z zawodu, chodziła i oglądała, ale oczy miała zamknięte.

Tymczasem ja zakochałem się. Dom w dość dobrym stanie, prawie hektar ziemi, trochę świerków, parę dużych drzew na wjeździe, pagórkowata okolica, która pomalowana za miesiąc na zielono będzie wyglądać cudnie. Niestety z wielkiego stawu pozostało niewiele, ale nam to wystarczy. Do Górowa niedaleko, trzy kilometry w linii prostej, najbliższy sąsiad w odległości 350 metrów. I to co najważniejsze: dzwoniąca w uszach cisza, przetykana wczesnowiosennym świergotem ptasiego radia, a za niedługo szeptem pieszczonych przez wiatr brzoź z pobliskiego brzożowiska.

18 marca

Czego się boisz głupi?

Wczoraj byliśmy w Dwórznie razem ze Sławkiem, był też Arek z Adamem budowląncem. Adam ocenił dom na 6 w skali do 10. Powiedział brać. I taką daliśmy odpowiedź właścicielom. Mieli podać numer konta do przelewu zadatku, a tu cisza. Dla mnie to jest to miejsce, ale może nie jest ono nam pisane? Czuję niepokój. Ciężko wdycham, ale z drugiej strony mam obawy czy ja tego naprawdę chcę. Mieć to wszystko za sobą, te wszystkie emocje i dylematy. Mieć święty spokój. Żyć na wsi, we własnym siedlisku. Pisać książki. Uprawiać warzywa. Jaka jest alternatywa? Wynajęte mieszkanie do końca życia? Nie! Nie! Czego się boję? Stałem tam na samej górcie i widziałem to opadające w dół siedlisko z domem (1 ha!) i myślałem: to będzie moje miejsce. Więc czego się boisz, głupi?

19 marca

Uważaj o czym marzysz bo...

Czuję się niepewnie i jestem pełna rozterek związanych z przeprowadzką na wieś. Muszę przelać je na papier, może wtedy bardziej je zrozumiem. Przecież życie nie składa się tylko z samych radości i sukcesów. Dom na wsi to nie jest moja (kolejna?) fani-beria. Marzyłam o nim od lat, i może właśnie to, współdzielone z Wojtkiem marzenie, spowodowało że postanowiliśmy kroczyć przez życie razem.

Jest takie powiedzenie: „uważaj o czym marzysz, bo marzenia mogą się spełnić”. Podobnie było ze mną. Przez długie lata marzyłam, a teraz kiedy realizacja jest na wyciągnięcie ręki, to zaczynam się bać. Choć bać to słabo powiedziane, wpadłam wprost w panikę. Wojtek zauważył to jako pierwszy, kiedy wracaliśmy z ostatniej wycieczki na Warmię. Powoli próbuję sobie wytłumaczyć co mnie tak sparaliżowało?

Brak tam pracy? Nie, przecież od listopada nie pracuję i zupełnie za pracę nie tęsknię. Brak rodziny? Nie, widujemy się sporadycznie, bo ich praca, bo inne obowiązki. Utrata przyjaciół? Nie, większość moich kontaktów bazuje na FB. Nie pamiętam już kiedy ostatnio widziałam kogoś kogo poznałam przed epoką sieciową. Brak miasta? Na pewno nie! Ostatnio, kiedy byłam z synem na zakupach, zażartował, że się starzeję. Kiedyś mogłabym godzinami łązić po sklepach. Teraz mnie to drażni, kupuję to co jest potrzebne i ewakuuję się czym prędzej. Brak kina i teatru? Nie, bo nie chodzimy, a mimo to oglądamy więcej filmów i teatrów TV aniżeli statystyczny mieszczuch. Mamy kino domowe, ściana w salonie robi za wielki ekran.

Pozostawienie syna? Tak, martwię się czy poradzi sobie sam, beze mnie. Nie ukrywam, że jestem z nim bardzo mocno związana emocjonalnie. Jego pensja nie wystarczy mu na samodzielne wynajęcie mieszkania i utrzymanie. Nie należę do matek, które dla

własnego dobra potrafią zostawić, czy też wyrzucić z gniazda swoje piskłę. To mnie martwi i nic na to nie poradzę. Finanse? Tak, to główny i zasadniczy powód moich nieprzespanych nocy. Siedlisko kupujemy sami, bez udziału Sławka. Tym samym mniej możemy przeznaczyć na niezbędny remont.

W czwartek rano pojechaliśmy na Warmię spotkać się z majstrem poleconym przez Arka. Decyzja jeszcze wtedy nie zapadła. Dom został dokładnie obejrzany przez budowlanica. Oceniał go na 6 w skali 1–10. Niemniej asystując im, wpadałam w coraz większą panikę, czy my damy radę podołać temu finansowo. Jakiś czas temu oglądałam filmik z Agroturystki Blanki. Właściciele stali radośnie na pomoście, w tle widać było przepięknie wyremontowany dom. Łatwo się remontuje kiedy ma się zasobne konto w banku. Niestety, tak nie jest w naszym przypadku.

Całe moje dotychczasowe życie to w mniejszym czy większym stopniu remonty. Najpierw remont mieszkania rodziców po dramatycznej powodzi w Gdańsku. Robiliśmy go sami, czyli ja i mój siostrzeniec, w porywach mój szwagier. Potem pierwsze własne mieszkanie w Pruszczu. Tam już byli fachowcy, ale zakup materiałów był na mojej głowie. Kolejny remont był w wynajętym mieszkaniu na Grunwaldzkiej, a ostatni związany ze wspólną przeprowadzką do wynajętego mieszkania w domu pod niebieskim aniołem. Cały tydzień spędzałam w pracy, a w weekendy remont. Ponieważ to wszystko przerabiałam na własnej skórze, znam ból kręgosłupa i barku. Ogromne zmęczenie, które powoduje, że łyzy same napływają do oczu.

Posmakowałam też biedy. Zaznałam braku podstawowych urządzeń takich jak żelazko czy pralka. Pierze się wtedy ręcznie w wannie i chodzi w niewyprasowanych rzeczach. Wiem jak smakuje pusta lodówka – odsmażanym czerstwym chlebem, bo nie ma nic innego do jedzenia, albo ziemniakami na śniadanie, obiad i kolację. W ciągu ostatnich lat moja sytuacja radykalnie odmieniła się na lepsze. Mieszkam w pięknym, co prawda wynajętym mieszkaniu, nasza lodówka nie świeci pustkami i teraz mam poukładane życie. Rzucić strefę komfortu? Zacząć ponownie oszczędzać, aby móc remontować? Czy starczy mi na to siły i silnej woli? Czy nie jesteśmy już za starzy na takie zmiany?

Moje rozterki trwały dwa dni. Teraz wszystko powoli wraca do normy. Mimo tych wszystkich przeciwności postanowiliśmy z Wojtkiem – po wielu godzinach rozmów – że to ostatni dzwonek aby zrealizować własne marzenia. Zapewne jeszcze niejedną łzę uronię, i nie raz zwątpię. Podjęliśmy ogromne wyzwanie i nie ma odwrotu. Zaliczka została wpłacona.

20 marca

Głowa pełna planów

Jeszcze nie znamy terminu wizyty u notariusza, nie wiemy też kiedy zacznie się remont. Mam nadzieję, że wszystko to wyjaśni się po naszym powrocie z Podlasia. Mam ambiwalentne uczucia co do tego wyjazdu. Zaplanowany został już dużo wcześniej, przed decyzją o kupnie domu. Cieszyłam się bardzo, ale teraz szkoda jest mi pieniędzy na luksus świąt w agroturystyce. Już przeliczam ile mogłabym kupić sadzonek do ogrodu. Wojtek jednak twierdzi, że to nam dobrze zrobi. No i Agata, jej nie mogłabym tego zrobić. Najprawdopodobniej z remontem ruszymy dopiero w czerwcu. Syn starszej pani obiecał, że postara się jak najszybciej przeprowadzić mamę, ale to do końca nie jest zależne od nich. Muszą kupić jej mieszkanie.

Jaki jest plan? Ano taki, że dziesięć najbliższych lat zajmie nam remontowanie domu i tworzenie ogrodu. Zachwycona jestem ogrodem Gorzkiej Jagody, który oglądałam u „Mai w Ogrodzie”. Jego stworzenie zajęło Jagodzie kupę lat.

Dom – jego plusem jest to (o matko, nie wierzę, że sama to napisałam), że jest w takim stanie, iż spokojnie możemy tam zamieszkać, remontując go powoli na ile sił i środków wystarczy. Pierwszą rzeczą, która zostanie wykonana, jest naprawa dachu. I tu będziemy posiłkowali się ekipą budowlaną. Dachówka zostanie zdjęta wraz z deskami. Dach będzie przygotowany pod jego przyszłe ocieplenie, tak aby wykorzystać w pełni poddasze. Ponieważ u mnie nic nie może się zmarnować, deski z dachu zostaną wykorzystane na sufity w pokojach. To nie jest mój pomysł. Takie sufity zobaczyłam u Beaty i Arka w Pupkach. Ma być sielsko anielsko i rustykalnie.

Kolejną rzeczą będzie osuszenie piwnic. Wojtek twierdzi, że to ważne, a ja mu wierzę. Czekamy z niecierpliwością na kosztorys od pana budowlanca. I na tym etapie kończymy remont w tym roku.

Ceglana obora z białej i stajnia z czerwonej cegły zostają. Marzą mi się zwierzęta, ale to odległa przyszłość. Do częściowej rozbiórki jest drewniana stodoła. Nie konsultowałam jeszcze tego z budowlancem, ale tak sobie wymyśliłam, że powstanie tam otwarta (tylko pod zadaszeniem) letnia kuchnia. Stary babciny kredens znalazłam już w oborze. Będą hamaki, kanapy i stół do biesiadowania w letnie wieczory. Jeszcze w tym roku jesienią mam zamiar posadzić tam pnącza.

Dom składa się z trzech pokoi, kuchni i łazienki. Wchodzi się przez ganek do sieni, gdzie leżą na podłodze jeszcze poniemieckie kafelki. Nie wiem w jakim stanie, ale nie chciałabym ich ruszać, i nie z uwagi na koszt, ale z uwagi na miłość do starych rzeczy. W sieni są schody na strych. Po prawej stronie jest pokój, który – jak powiedziała córka właścicielki – był używany tylko od święta, odbywały się w nim rodzinne spotkania. Tu będzie kiedyś nasza sypialnia. Kolejny pokój za kilka lat będzie salonem, połączonym z kuchnią dużymi przeszkłonymi starymi drzwiami. Tak, serial *Siedlisko* mocno zaległ mi w sercu. Oni też mieli ogromne drzwi pomiędzy salonem a jadalnią. Łazienka wymaga kapitalnego remontu, ale i w takiej człowiek może się umyć. Strych, który za kilka lat będzie pięknym loftem :-)





UKORZENIANIE



Kwiecień–czerwiec

2 kwietnia

Bo człowiek ma przewrotną duszę

Czekamy naprężeni jak cięciwa łuku. Piłka jest po tamtej stronie siatki. Córnka właścicielki załatwia papiery wymagane przez notariusza. Te, które miała, okazały się przeterminowane. My musimy mieć tylko dowód (jest, sztuk raz) i pieniądze (w życiu nie miałem tyle kasy na koncie). To czekanie męczy. Nerwowość przeplata się z obawami czy aby zdążymy przed 1 maja, kiedy to rządzący zamierzają przywrócić w Polsce ustrój feudalny. Słońce przygrzewa coraz mocniej, dni stają się coraz dłuższe, chciałoby się już działać, budować, porządkować, kopać, sadzić, ogarniać. Snujemy plany, analizujemy zdjęcia, konferujemy, szperamy po sieci szukając inspiracji. Ileż tak można trwać na stendbaju? Szarpać się na kotwicy, łomotać w boksie startowym. No niech już starter wystrzeli, niech podniosą szlabany, spuszcza z łańcucha. Ruszymy z kopyta, ze śpiewem na ustach, przed siebie, do boju, przez góry, przez most...

A potem, gdy już pogrążymy się po uszy w bagnie budowy, zamęczymy tym zagospodarowywaniem przestrzeni, upapramy ręce po łokcie, naklniemy na brak pieniędzy i zbyt wygórowane marzenia, czy zateścimy za czasem spokojnym, takim jak teraz?

– Bo człowiek ma taką przewrotną duszę – skwitował Piętaszek moje powyższe pisanie.

10 kwietnia

Czekamy i czekamy

Czekamy na listonosza, który ma dostarczyć starszej pani ostatni brakujący dokument ze skarbówki. Jak dobrze pójdzie to w nadchodzącym tygodniu złożymy podpis u notariusza w Lidzbarku Warmińskim i rozpoczniemy nowy etap w naszym życiu – remontowanie i urządzenie siedliska „pod bocianim gniazdem”. To przeciągające się oczekiwanie, ta beczynność strasznie nas męczy. Już byśmy sprząтали, remontowali, sadzili, budowali nasz nowy wymarzony świat. Piętaszek całe dni spędza na wertowaniu blogów ogrodniczych. Coś tam skrzętnie notuje w zeszyku, zmusza mnie do oglądania „Mai w ogrodzie”. Świat za oknem pozieleniał, ptaki strasznie się drą, słonko mocno przygrzewa, a my jak te dwa kołki czekamy, czekamy, i czekamy.

17 kwietnia

Zmienimy oblicze ziemi, tej ziemi

Ten dzień powinniśmy zapamiętać na zawsze. Po dziesiątej, wraz ze złożeniem przeze mnie podpisu na akcie notarialnym, zaczął się zupełnie nowy etap w naszym życiu. Staliśmy się wieśniakami, lub jak to się kiedyś ładnie nazywało – ziemianami. A ziemi tej jest ci dostatek i planujemy zmienić jej oblicze.

Po dopełnieniu wszelkich formalności u pani notariusz w Lidzbarku Warmińskim, zostaliśmy zaproszeni już do naszego domu na mały poczęstunek. Siedlisko prezentowało się zupełnie inaczej niż jeszcze miesiąc temu, gdy zobaczyliśmy je po raz pierwszy, czternastego marca. Wtedy było szarobure, bezlistne, zabłocone, zmoczone mgłą, wprost brzydkie. Teraz eksplodowało młodą zielenią, rozstłonecniło się, rozćwierkało, rozklekotało bocianami. Chodziliśmy wkoło oszołomieni jego pięknem.

Gdy stanęliśmy na granicy działki, w najwyższym punkcie, z którego widać całość, z domem i zabudowaniami pośrodku, szpalerem drzew, ogrodem, starym sadem i polem owsa, spojrzeliśmy na siebie i zaczęliśmy się głupkowato śmiać.

– Ja p*! – wymsknęło mi się, choć człowiek ze mnie kulturalny – ile tu ziemi do obrobienia!

– O matko i córko – zawtórował Piętaszek – w życiu nie damy rady tego zagospodarować.

A potem było śniadanie z pysznymi gołąbkami i kotletami mielonymi. Przełamaliśmy lody. Starsza pani się rozpogodziła. My nabraliśmy pewności, że okres przejściowy (do 2 lipca) minie nam bez większych tarć. Będziemy więc tam jeździć, na razie w każdy weekend, choć to kawałek drogi – dwie godziny jazdy, 160 kilometrów. Dostaniemy do własnej dyspozycji jeden opróżniony pokój. Jak zacznie się budowa, Piętaszek przeniesie się na stałe, a ja dołączę do niej gdy tylko uda mi się tam uruchomić połowe biuro.

Na razie trwa mobilizacja, logistyczne przygotowania do operacji migracji. Szykujemy listę co potrzebne, co kupić, co spakować, jak to przewieźć. Piętaszek po nocach ogląda ogrodowe filmy, wertuje Internet skrzętnie notując w notesiku co z czym, gdzie i że zielonym do góry. Oj, będzie się teraz działo, skończył się czas nerwowego wyczerpującego oczekiwania, zaczyna czas działania!

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

18 kwietnia

Ten dom to nie sen

Miniony tydzień upłynął nam w takim dziwnym stanie, trudnym do określenia. Nie pogniewaliśmy się na siebie, ale każde z nas siedziało raczej u siebie pogrążone w rozmyślaniach. Byliśmy pełni niepokoju czy zdążymy przed tą całą durną ustawą, którą zgotował nam PiS. Snuliśmy się po mieszkaniu bez celu i zapału. Nie planowaliśmy. Ten stan bardzo nas wymęczył. Noc z czwartku na piątek miałam nieprzespaną. Piłam mleko, jadłam owoce, a sen nie przychodził. Kiedy po wszystkim, w pięknym

słońcu wracaliśmy warmińskimi drogami, Wojtek spytał czy wierzę w to co się stało. – A wszystko to dzięki twojemu pracodawcy, z którym się rozstałaś.

O tak, pomyślałam, gdybym dalej tam pracowała, nie zamieszkalibyśmy razem. Wojtek nie kupiłby siedliska. Powoli kończymy etap życia nazywany przez nas „od piątku do piątku”. Może to odliczanie potrwa do lipca, wtedy zabiorę fotografię rodziców i postawię na innym parapecie. Dzisiaj rano złapałam za kredki. Nieudolnie narysowałam plan działki. Zapewne prościej i piękniej byłoby zatrudnić projektanta ogrodu, ale najnormalniej w świecie nas na to nie stać. Priorytetem jest remont dachu.

Nie wiem jeszcze gdzie powstanie ogród i sad. No i parę winorośli. Skąd na nie pomysły? Ot, takie marzenie, mieć własne owoce, na które kiedyś nie było mnie stać, bo były zawsze za drogie. Nasze założenie jest proste. Ratować ziemię, sadzić drzewa, mieć własne warzywa wolne od chemii. Plan na ten weekend – posadzić ponad 500 drzew. Jeszcze nie zdecydowałam, ale kusi mnie niewracanie z Wojtkiem w niedzielę do domu. Może zostanę tam na tydzień. Popracuję, umęcę się do niemiłosiernego bólu mięśni, ubrudzę ziemią. Poczuję, że ta ziemia, ten dom to nie sen.

26 kwietnia

Jak nie kochać?

Gdybym napisała, że jest sielsko i anielsko, przesłodziłabym. Starsza pani jest dla nas bardzo miła, poczęstowała nas nawet obiadem, ale my nie czujemy się komfortowo. Myślę sobie, że i ona nie czuje się z nami najlepiej, chociaż nie daje tego po sobie poznać. Gdyby to nie była wiosna i czas prac ogrodowych, zapewne czekalibyśmy na jej wyprowadzkę, która – mamy taką nadzieję – niebawem nastąpi. Wczoraj starsza pani kupiła dwupokojowe mieszkanie, które niestety wymaga remontu. Jest nadzieja na przeprowadzkę na początku czerwca.

Nasz pierwszy spędzony w siedlisku weekend był bardzo pracowity. Tak bardzo, że w niedzielne popołudnie przewracałam się o własne sznurówki, a bark odmówił mi posłuszeństwa. Posadzi-

liśmy 550 sadzonek drzew – brzozy, dębu, olchy, świerka i sosny, oraz trzy drzewka owocowe: czereśnię, wiśnię i brzoskwinie, dodatkowo dwa krzewy świdosiwy, kalinę, wiśnię japońską Kanza. Na nasze szczęście co chwilę mocno padało, dlatego ominęło nas podlewanie. Oczyściliśmy troszkę sad. Przez całe dwa dni pracowaliśmy nie oszczędzając siebie. Fizyczne zmęczenie przełożyło się na zwątpienie. Czy sił nam wystarczy, bo finansów to już wiemy, że nie. Dom wymaga kapitalnego remontu, stodoła rozbiórki (koszt około 6 tys.), teren posprzątania ze śmieci. Bo nie ma co ukrywać, że stan, który zastaliśmy, nazywam polską rozpierduchą.

Wróciliśmy do domu w poniedziałek. Zmęczeni, brudni. Pralka odmówiła posłuszeństwa właśnie teraz, tak jakbyśmy mieli za mało wydatków. We wtorek rano było już znacznie lepiej. Wojtek, który prowadzi naszą księgowość, środki zarezerwowane na ogród przesunął na zakup pralki. Ja otworzyłam folder ze zdjęciami. Popatrzyłam, uśmiechnęłam się do siebie. Jak nie kochać tego miejsca?



30 kwietnia

Wielka majówka

Jedziemy. Jeszcze tylko dopić kawę, spakować do końca ciuchy, wrzucić coś na ząb i odpalamy naszą załadowaną po dach barękę desantową. Plan na majówkę jest ambitny. Cały miniony tydzień minął na planowaniu i przygotowaniach logistycznych. W składzie drewna kupiłem 36 dwuipółmetrowych desek, z których powstanie 6 wyniesionych grządek. To załączek naszego warzywniaka. Kupiłem też namiot foliowy, w którym będziemy uprawiać warzywa ciepłolubne – pomidory i paprykę.

Wedle moich obliczeń powierzchnia upraw powinna wynieść prawie 30 m² z czego 18 m² pod namiotem. Oprócz grządek chcę też na pozostałej części przeznaczonych na warzywniak posadzić tzw. trzy siostry, czyli kukurydzę wymieszaną z fasolą i dyniami. To prastara metoda zrównoważonej uprawy stosowana przez Indian w Ameryce Południowej.

Jedzie też z nami 300 sadzonek wierzby energetycznej, z której chcemy zrobić żywe ogrodzenia. Rośnie szybko, więc pewnie już w tym roku będziemy mogli zlikwidować mało estetyczne płotki, które chronią warzywniak od zakusów Edwardowego haremu. Edward to imię jakie nadaliśmy kogutowi.

Prognoza pogody zapowiada się dobrze, znacznie lepiej niż tydzień temu gdy sadziliśmy las. Jest więc duża szansa, że uda się nam zrealizować nasze ambitne plany. Pewnie każdego wieczora będziemy czołgać się w kierunku łóżka, ale sami tego chcieliśmy :-)

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

11 maja

Tempus fugit

– Jeszcze tylko czwartek, a on się nie liczy, bo w piątek już jedziemy – powiedział Wojtek wchodząc do pokoju. I buziaki się nam roześmiały, bo nasz dom jest tam, gdzie serca nasze. Dzień za dniem mija, a każdego dnia coś się wydarza. Kudeł był u fryzjera i bardzo mocno to przeżył. Hana, zwana przez Wojtkę Księżniczką Ruru, wczoraj miała zabieg, po którym przestaną ją interesować osobnicy płci przeciwnej. Właśnie poleguje sobie na położonym na parapecie kocyku. Jutro jedziemy na wizytę kontrolną.

Z domu pod bocianem wróciliśmy w poniedziałek, już nie tak mocno zmęczeni jak tydzień temu. Nasz ugór powoli zamienia się w warzywnik. Jest to dla mnie ogromne wyzwanie. Powstały trzy skrzynie wypełnione między innymi końskim obornikiem. Jedna połączona z kompostownikiem pozostała do wypełnienia. W tych wysokich będą rosły dynie, cukinie i kabaczki. Ubiegłej zimy rozsmakowaliśmy się z Wojtkiem w zupie dyniowej, dlatego posadziłam jej dość sporo. Porobiłam grządki i posiałam część warzyw. Tak jak radzi Gorzka Jagoda pomiędzy ziemniakami posadziłam

chrzan. Mimo że pracowałam ze ściągą jakie warzywa z jakimi, to i tak popełniłam błąd sadząc marchew blisko buraków. Było tak pracowicie, że nie wyciągałam aparatu.

17 maja

Widok za oknem

Mama, kiedy już poruszała się na wózku inwalidzkim, często wspominała czasy kiedy była młoda i pełna sił. Na każdy urlop jeździła do Borkowa z trójką dzieciaków, nocnym zatłoczonym pociągami. – Targałam z twoim dziadkiem chojaki z lasu, oj kiedyś to ja byłam silna – powtarzała. Dopiero teraz, wiele lat później, rozumiem o czym mówiła. Ja też kiedyś byłam silna i sama przestawiałam meble w pokoju.

Kiedy wyruszamy do siedliska, w głowie mam tak dużo planów, tyle chęci i energii do pracy. I tak było w miniony piątek. Warmia przywitała nas chłodnym wiatrem i deszczem. Popatrzyłam na nasz ogród i oniemiałam. Perz na perzu, perzem poganiał. Zdeenerwowałam się, że tyle pracy włożyłam, a on dalej wychodzi. Padał deszcz, było zimno, a ja sadiłam 20 krzaków pomidorów i tyle samo papryki, którą lubi Wojtek. Praca zmęczyła mnie do tego stopnia, że dopadło mnie zwątpienie. Czy warto? Czy nie lepiej iść do Lidla czy Biedronki i kupić? Wróciłam do domu. Wzięłam prysznic i obolała położyłam się pod ciepłym śpiworem pełna wątpliwości czy dobrze zrobiliśmy. Nawet nie wiem kiedy zasnęłam.

Sobota, 4.20 rano

Siadam na łóżku i patrzę w okno. Po chwili wstawiam czajnik, który zabraliśmy ze starego domu. Zapach kawy rozchodzi się po pokoju. Wojtek jeszcze śpi. Patrzę ponownie w okno i przypominam mi się moja mama i jej wspomnienia. Nie chciałabym powiełać jej ciężkiego, pracowitego życia. Widok za oknem na górki i pagórki powoli powoduje, że się wyciszam. To mój ulubiony widok. Wiem, że właśnie na parapecie tego okna, kiedyś po remoncie, postawię zdjęcie moich rodziców.

Ubieram się i wychodzę na podwórko. Patrzę na ogród. Może źle do tego podchodzę? Może zamiast walczyć, powinnam polubić chwasty? Może za dużo od siebie wymagam, stawiam sobie zadania, które są katorżnicze i nie do wykonania?

Zabieram się za tworzenie okręgu. Metalowe wiadro wypełnia się po brzegi perzem. Okrąg dzielę na sześć części. Wysiewam warzywa. Wczesną marchew, szpinak, sałatę, troszkę ogórków, koper. Przykrywam wszystko agrowłókniną. Wstaję z kolan. Mimo że deszcz zaczyna padać przechadzam się po ogrodzie. W skrzyżni zaczynają wschodzić ogórki. W innej części powoli kiełkuje aksamitka i rzodkiewka. Widok kiełkujących roślin, które sama posadziłam, jest dla mnie prezentem i odpowiedzią na wczorajsze wątpliwości.

Starszą panią zabiera córka do miasta. W domu pozostajemy po raz pierwszy sami. Bez skrępowania przyglądam się pomieszczeniom. Oczekując na pierwszych gości – Beatę i Arka z Pupek oraz Pawła, który być może będzie w naszym domu kładł instalację elektryczną, zaczynamy z Wojtkiem snuć plany.

– Zobaczysz, kiedyś będzie tu pięknie – mówi Wojtek, a ja mu wierzę.

Goście docierają do nas bardzo zmęczeni. Od osiemnastu miesięcy budują swoje nowe życie i są w trakcie przeprowadzki. Na plastikowych talerzach, na stole bez obrusu, zjadamy skromny obiad wymieniając się doświadczeniami. To był fajny czas, bo to fajni ludzie.

Niedziela, godz. 10.00

Postanawiamy odpocząć. Po śniadaniu wracamy do starego życia. Po drodze mijamy stadninę koni, pasące się owce i bociany. Gdańsk wita nas szarością i deszczem. Włączam komputer. Przeglądam umieszczane niusy na FB. Jedni oskarżają drugich, ubliżając sobie okrutnie. Nie, to nie jest mój świat. Mój świat został tam, pomiędzy górkami i pagórkami

Przyszedł piękny czas

Trasa, którą pokonujemy kolejny raz wydaje się nam krótsza.

– A teraz jak jedziemy? – pyta Wojtek chcąc skontrolować, czy w końcu nauczyłam się trasy.

– Na Grzechotki – odpowiadałam uśmiechnięta.

Mijamy śmieszny żółty most i już po paru kilometrach z głównej trasy skręcamy w lewo. Wojtek nie lubi tej drogi. Jest dziurawa jak ser szwajcarski, kręta i wąska. Ale po paru kilometrach się wygładza, wyprostowuje. Na koniec skręcamy z asfaltu w lewo, w piaszczystą drogę. Taką jaką pamiętam z dzieciństwa spędzonego na wsi u dziadków w Borkowie Kościelnym. Proszę Wojtkę, żeby zatrzymał auto i pojechał dalej sam. Nigdzie tu nie ma wysokich płotów odgradzających sąsiada od sąsiada, tu nikt nie walczy o prywatność. Zapewnia ją odległość. Siedliska oddalone są od siebie o kilkaset metrów, a czasem nawet i więcej. Wchodzę na łąkę. I ukazuje się on – nasz dom, dom pod bocianem. Widok na który raduje się serce, a buzia samoistnie się uśmiecha.

A jakże, popracowaliśmy w ten weekend, ale też odpoczywaliśmy. Odwiedziliśmy w Górowie pub o pięknej nazwie „Róża Wiatrów”. O poranku byłam na spacerze i znalazłam rozwalający się dom Krzywców, o którym opowiadała starsza pani. Zabrałam z niego dwie deski, na których mam zamiar coś namalować. A w niedzielny poranek poszliśmy z Wojtkiem na spacer. Odkryłam, że w okolicy rośnie dużo jarzębiny, którą chciałam kiedyś posadzić. Znalazłam też w szopie stare niemieckie drzwi.

A z prac? Wojtek naprawił rozwalający się płot sztachetowy i postawił w warzywniaku. Za płotem są posadzone ziemniaki, kukurydza i fasola. Jest stary i piękny, taki jak lubię. Ja w międzyczasie porobiłam grządki. Posiałam marchew, ogórki, koper, nasturcję, nagietki. Zaczęłam też tworzyć kompozycję z rzeczy, które udało mi się wyprosić i uratować przed złomowaniem. Jak znajdę czas pomaluję drzwi i rower na niebiesko, posadzę kwiaty w miski. W ziemi koło byłej stajni jest tyle gruzu, że nie jestem w stanie zrobić tam rabaty. Na spacerze z Wojtkiem zauważyłam,

że przed domem coś nam wyrosło. Sądziłam, że to rumianek, ale dzisiaj nie jestem tego pewna.

Jedziemy do domu w Boże Ciało, ale najpierw pojadę na cmentarz Oruński, opowiedzieć mamie jak przyszedł piękny czas. Szkoda, że nie doczekała.

1 czerwca

Gdzie niebo styka się z ziemią

Moje życie w mieście powoli dobiega końca. Przedwczoraj wyciągnęłam ze schowka pierwszy karton. Posegregowałam ubrania – na te, które na razie nie będą mi potrzebne i na niezbędne. Spakowałam z biurka mój niewielki warsztacik. Wczoraj włożyłam do pudła książki. Mój niebieski pokój, moja oaza, którą tak niedawno stworzyłam, powoli zapełnia się kartonami. Nie nacieszyłam się nią za długo, wszak remont mieszkania w wynajętym domu pod niebieskim aniołem zakończył się w grudniu 2015 r.

Sześć miesięcy spędzonych tutaj przy boku Wojtka kosztowało mnie wiele emocji, niekoniecznie pozytywnych. Po trzydziestu latach zawodowej pracy stałam się panią domu. Dla osoby, która całe życie pracowała zawodowo nie jest to łatwe.

Przechodziłam różne stany, od euforii po lży. Podjąć decyzję, że zostaję w domu jest łatwo, gorzej żyć z tego konsekwencjami. Długo przeszkadzało mi to, że jestem na czyimś utrzymaniu. Wojtek godziny poświęcił na tłumaczenie mi. Czasami wydaje mi się, że jego cierpliwość jest niewyczerpalna. Z biegiem dni takich stanów było coraz mniej, a ja coraz bardziej rozkoszowałam się wolnością od pracy. Tak, byłam tu szczęśliwa. Kiedy razem zamieszkaliśmy zaczęliśmy snuć plany, że może za pięć lat uda nam się wyprowadzić na wymarzoną wieś. Los się do nas uśmiechnął i stało się inaczej. W najbliższy weekend wyprowadzam się, Wojtek dołączy do mnie niebawem.

Czy za czymś będę tęskniła? Tak, za Małgosią i Sebastianem, którzy są współwłaścicielami domu. Obcując z nimi przez ten krótki czas wróciła mi wiara w dobroć i bezinteresowność sąsiedzką. Spotykaliśmy się na przysłowiowej kawie, pożyczaliśmy produkty,

których zabrakło w naszych lodówkach. Kiedy Sebastian upiekł chleb, częstował nas zostawiając na półpiętrze lub zachodząc na chwilkę. Lubię ich, to ciepłi i wyrozumiali ludzie.

Od soboty zaczynam inne życie. Życie, o którym marzyłam od dawna. Nie spodziewam się sielanki. Wiem, że sobie poradzę, o ile tylko uda mi się wytłumaczyć samej sobie, że nie mogę pracować od 5 rano do 20. Przepracowanie bardzo negatywnie na mnie działa. Wojtek twierdzi, że tam na wsi jestem spokojniejsza, że więcej się uśmiecham. Do tej pory nie miałam tam dostępu do Internetu, nie widziałam tego zła, które nas otacza, nie czytałam komentarzy, które mnie konkretnie nie dotyczyły, ale były przykre w lekturze. Na wsi ciężko pracowałam, ale też cieszyłam się jak dziecko, kiedy ujrzałam nieśmiało kiełkujące pierwsze rośliny, które sama posadziłam. Teraz już wiem, że tworząc warzywniak popełniłam dużo błędów, które w przyszłym roku naprawię.

Jest środa, rozglądam się po pokoju. Moje życie zapakowane w parę czerwonych i szarych kartonów. W piątkowe popołudnie spakujemy cały mój dobytek do wysłużonej żabki, a w sobotni poranek pomknę do miejsca, gdzie niebo styka się z ziemią. Tam czuję się jakbym stale była na wakacjach, tam nic mnie nie uwiera. Tam nie mam czasu na śledzenie politycznych rozgrywek, na znajomości, które nic w moje życie nie wnoszą.

10 czerwca

Uczę się żyć na wsi

W sobotę minie tydzień odkąd stałam się „wieśniaczką”, w sobotę też przyjeżdża Wojtek z Kudełkiem. Jaki był ten tydzień? Upalny, pracowity i pełen nowych wrażeń. O ile w mieście człowiek jest nierozpoznawalny i żyje własnym życiem, tak na wsi wszyscy o tobie już wiedzą. Nawet kurier nazwał mnie „nową panią z miasta”. Poznałam też dwóch sąsiadów. Wystarczyło zatrzymać się na drodze, porozmawiać. Sympatyczny pan Andrzej na drugi dzień przyjechał ciągnikiem i skosił rumian z pola. Grzecznościowo zapytałam ile płacę, a on z uśmiechem na twarzy odpowiedział, że wypije kiedyś flaszkę z Wojtkiem. Nie przyznałam się mu, że Wojtek jest z tych niepijących.

W czwartek byłam na lokalnym ryneczku po kwiaty, bez których jest mi ciężko żyć. I tu z Wojtkiem mamy rozbieżne zdania. Dla niego mogą nie istnieć, a ja nie mogę się bez nich obejść. Rozmawiam też często z Beatą z Pupek, to dzięki niej przestałam walczyć z chwastami. Tak, mój ogród nie jest wypiełgowany jak z czasopism ogrodniczych. Mimo niedoskonałości jestem z niego dumna, a najważniejsze, że uwielbiam w nim przebywać.

Ozdabiam go rzeczami starymi, które znajduję w oborze albo stajni. Wojtek zbił skrzynie i postawił namiot, cała pozostała reszta została stworzona własnymi rękami, pozbawionymi już prawie paznokci :-). Nienawidzę rękawiczek, albo nie trafiłam jeszcze na odpowiednie

11 czerwca

Kiedyś będzie tu pięknie, ja to wiem

Tyle się dzieje, że trudno zdecydować się nad czym pochylić głowę. Dlatego dzisiaj będzie o wszystkim po trosze. Rano, zapakowanym po brzegi autem, dotarli do domu pod bocianem Wojtek z Kudęłkiem. Po południu zaczęliśmy powoli udomawiać pokój. Przyjechała moja kołderka, stoliczek i od razu zrobiło się przytulniej. Starą szafkę zaadaptowaliśmy na minikuchnię. Pomieszkamy w tym pokoju do momentu demontażu stropów. Jak już nie da się mieszkać, przeprowadzimy się do namiotu, który niedawno przywiózł kurier. Wiemy już, że 17 czerwca meble starszej pani zostaną przekazane do Ośrodka Pomocy. Zaproponowano nam kupno kuchenki gazowej za 500 złotych, ale odmówiliśmy. Przez czas remontu będziemy używali turystycznej kuchenki dwupalnikowej z kampera i jakoś będziemy musieli sobie poradzić.

Sprawy remontowe oraz finansowe są na głowie Wojtka. Ja czasami mam jakiś pomysł, który próbuję przeforsować. Jak do tej pory udało się zaplanować garderobę w miejscu starej kuchni, samą kuchnię zaś przenieść do pokoju aktualnie zajmowanego (jeszcze) przez starszą panią. Powstanie więc duża jadalnia połączona z kuchnią. Inny pomysł to połączenie nowej jadalni z salonem szerokim przejściem w miejscu starych drzwi. Jeśli pieniędzy wy-

starczy, to salon zostanie połączony z sienią szerokimi przeszklo-
nymi drzwiami.

Wszystko zaplanowane, czekamy na opinię fachowców, a mnie przyszedł do głowy kolejny pomysł. Szykowałam się do tej rozmowy cały ranek.

– Chodź, coś ci pokażę – ciągnę Wojtka do sadu, który powoli staram się oczyścić. Podchodzimy do ściany frontowej domu.

– Wiem czego chcesz – domyśla się Wojtek – chcesz mieć tu drzwi balkonowe.

– Uff – pomyślałam z radością w duchu.

– Dobrze, jeśli z czegoś zrezygnujemy, możesz mieć tu wyjście na taras.

Zostało ustalone, rezygnujemy z pewnych prac, które możemy sami wykonać, przesuwając środki na nowe wyjście. Wiecie jak to jest: chciałoby się całą wieś, ale pieniądze gdzieś :-). Radość moja jest przeogromna. Z kubkiem porannej kawy, prosto z kuchni, będę mogła wyjść do sadu i patrzeć na bezkresne pole, z którym jeszcze nie wiem co zrobić. Kiedyś będzie tu pięknie, ja to wiem. Z tej radości poszłam na pole, zrobiłam bukiet z polnych kwiatów i postawiłam na parapecie okna. Moja mama gdyby żyła obchodziłaby dzisiaj 73 urodziny.

17 czerwca

Niesamowici Gabrysia i Darek

Pada i dobrze, że pada. Deszcz jest potrzebny ogrodowi i mnie, bo kiedy pada, jest czas na odpoczynek. Podczas sobotniej wizyty Arka i Beaty rozmawialiśmy o świecie wirtualnym, o tym jak bardzo może być niebezpieczny. Tak, jest niebezpieczny, ale też niesamowity. Niesamowity, bo jak inaczej można określić zachowanie pewnych osób?

Gabrysi i Darka z opolskiej wsi nigdy nie widziałam na oczy, nigdy nawet nie rozmawialiśmy ze sobą telefonicznie. Ot, taka znajomość internetowa. O nich samych wiem tylko tyle, że porzucili miasto dla wsi. Remontują dom, a Gabrysia tworzy swój ogród. Napisałam tworzy, bo ze zdjęć wynika, że jest on jeszcze nieskoń-

czony. I właśnie Gabrysia podzieliła się ze mną swoim roślinkami. Dla mnie to niesamowite, bo przecież rozsady mogła posadzić w innych miejscach swojego ogrodu.

Oboje z Darkiem zadali sobie ogrom trudu. Korzenie każdej z roślin były zabezpieczone przed wyschnięciem. To była – za prawdę powiadam wam – ogromna paczka! Były w niej rośliny takie jak perukowiec, na który tak szybko nie będzie mnie stać.

Kwiaty od Gabrysi zmobilizowały mnie do zabrania się za sad. Od poniedziałku, odkąd przybył listonosz z paczką, walczę. Pośród Gabrysin kwiaty posadziłam paprocie i hosty. W stodole znalazłam stare drzwi. Teraz zbieram kamienie, coby dokończyć ten skrawek ziemi, na który uwielbiam patrzeć z okna. Remont zaczynamy podobno od poniedziałku. Nie ukrywam, że wraz z Wojtkiem siedzimy jak na szpilkach. Żeby jakoś uprzyjemnić sobie czas, i nie tylko pracować w ziemi, jedziemy w sobotę z rewizytą do Arków. Już się cieszę na tę sobotę, bo to fajni ludzie są.

18 czerwca

Wiatr we włosach

Dzisiaj mija mój drugi tydzień życia na wsi, Wojtka pierwszy. Nawet nie wiem kiedy ten czas upłynął. Od wczoraj kocujemy w pokoju na materacach, które Wojtek przywiózł ze starego domu. Ponieważ to dopiero początki, traktujemy to jak wspomnienie z młodości. Kiedy stanie się to uciążliwe? Nie wiem. Bardziej martwię się brakiem łazienki i pralki. Demolka domu podobno ma trwać trzy miesiące, no chyba że szybciej skończą się pieniądze. Dopiero po zabraniu mebli z dwóch pokoi i kuchni zobaczyliśmy co tak naprawdę kupiliśmy. Widok nie jest ciekawy. Nawet przez chwilę zastanawiałam się czy nie łatwiej jest kupić ziemię i budować samemu od podstaw. Łatwiej, ale czy taniej?

Arek jest tutaj takim dobrym duszkiem, który wewnętrznie mnie uspokaja. Ich dom był w o wiele gorszym stanie, a zrobił z niego cacuszko. Remont starszej pani w toku, okna i drzwi w końcu przyszły. Jej ekipa remontowa podobno ma skończyć do 20 czerwca.

Patrząc w okno, na mój ulubiony widok, zastanawiam się czy wieś mnie zaskoczyła, czy jest to ta sama wieś, którą pamiętam z wakacji u babci. Wtedy byłam beztroskim dzieckiem. Teraz kiedy jestem dojrzałą kobietą jest inaczej.

Tak, wiele rzeczy na wsi bardzo mi przeszkadza. Pierwszą jest podejście do zwierząt. W czwartki w mieście jest rynecek, gdzie można kupić drób. W drucianej niewielkiej klatce wsadzonych jest tyle kur, że wchodzą sobie na głowę, wydziobują sobie pióra. Przeszkadzają mi zwierzęta na krótkich łańcuchach w nieocieplonych budach, palenie w piecu czym popadnie, mimo że śmieci są zabierane raz w miesiącu.

Przeszkadza mi brak szacunku dla ludzkiej pracy. Wczoraj syn starszej pani zabierał pojemnik, który stał w sadzie. Wojtek mnie uprzedzał, żebym wyszła, ale ja jego przestrogi zbagatelizowałam. Dopiero później zobaczyłam co zrobili. Zawartość pojemnika – plastikowe doniczki i śmieci wyrzucili blisko mojej rabaty, którą dopiero tworzę. Pojemnik owszem zabrali, ale śmieci zostawili na środku. Zastanawiam się teraz czy dobrze napisałam, bo to przecież nie wieś, a ludzie tworzą sytuację.

20 czerwca

Czas wyciszenia

Do pianina zasiadła filigranowa, długowłosa kobieta. Była skąpiona, parokrotnie poprawiała krzesło. W salonie zapadła cisza. Patrzyłam na jej lekko pochylone plecy. Przy tym wielkim pianinie wyglądała jak mała dziewczynka, a nie dorosła kobieta. Zagrała nam trzy utwory z muzyki klasycznej.

– Denerwuję się kiedy gram publicznie – powiedziała cicho. Zaskoczyła mnie. Nie wiem dlaczego sądziłam, że tylko ja denerwuję się przed publicznością. Popijając słodkie wino domowej roboty, rozmawialiśmy o muzyce. Nikt nie uczył jej grać na pianinie, gra ze słuchu.

Wracając z Pupek zastanawiałam się jak niesamowitą jest kobietą. Takich ludzi określam „człowiek orkiestra”. Zna się na wachaczach auta, ziołach, tworzy ogród permakulturowy, włada pię-

cioma językami, i do tego wszystkiego jest niesamowicie skromną osobą. Ten sobotni wyjazd do Pupek był balsamem na moje skołatane serce. Piękny dom, który Arek zbudował własnymi rękoma, przyrządzony przez niego pyszny obiad, i muzyka którą uwielbiam. Nic więcej nie potrzebowałam do szczęścia.

W niedzielę Wojtek skosił i uporządkował część starego sadu. Usiadłam pod moim ulubionym drzewem i zatopiłam się we własnych myślach. To był dobry czas na wyciszenie się, zrobienie resetu, który potrzebny jest każdemu.



81 DNI KOŁO DOMU



Czerwiec–lipiec

23 czerwca

Zaczęło się!

Jurek swoją małą kopareczką, pod czujnym okiem majstra odkopuje dom, poczynając od zachodniopołudniowego narożnika. Wszystko miało się zacząć wcześniej, według pierwotnych planów znacznie wcześniej, ale tak to już jest z budowlańcami. No, ale nie narzekajmy, niech praca wre.

Fundament w tym miejscu jest dość płytki, niecały metr w głąb ziemi. Składa się z wielkich polnych kamieni. Tak to kiedyś się budowało, i stoi tyle lat. Panowie kopią kawałek, podsypują żwirem, Adam układa na dnie wykopu rurę drenarską, którą od razu zasypują żwirem. Fundament nie może być długo odsłonięty, ani nie można go odkopać na raz, na całym obwodzie, ani nawet jednej ścianie, bo zacznie się rozjeżdżać, i dom gotów się poskładać jak domek z kart.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

26 czerwca

To będzie nasza niedziela

Zapadła cisza. W sadzie, w cieniu starych śliw, dwie niewielkie maszyny odpoczywają czekając na swojego właściciela, pana Jurka. Z maszynami czekamy do poniedziałku i my. Próbowałam Wojtka

namówić, żeby popełnił jakiś wpis na temat wykonywanych prac, ale on zamknął się w sobie :-). Ja natomiast, ponieważ zupełnie się na tym nie znam, nie będę się wypowiadać. Po prostu dzieje się i dźać będzie coraz więcej.

Czasami zajrzę do Adama i Jurka, czasami poobserwuję z okna. Pracują od rana do późnego popołudnia, w lejącym się z nieba żarze, z krótką przerwą na kawę i obiad. Wojtek nie musi nad nimi stać, pracują w myśl dobrej zasady „jeden zadowolony klient przyciągnie następnych”. Tak, z czystym sumieniem mogę polecić pana Jurka, który obsługuje koparkę.

Pan Jurek to bardzo ciekawa postać, o pięknej barwie głosu i przeuroczym śmiechu, przypominającym troszkę amerykańskiego świętego Mikołaja. Człowiek wykształcony, z Warszawy, właściciel niewielkiej firmy, która tworzyła między innymi stołki do fortepianów, radykalnie zmienia swoje życie. Z człowieka zza biurka zamienia się w robotnika. Kupuje koparkę, idzie na kurs, i wyprowadza na Warmię, do zagłębia, w którym mieszkają ludzie pozytywnie zakręcenii. Od jakiegoś czasu obserwuję tych ludzi. Niejedni stracili lub zrezygnowali z ogromnych majątków, tak dużych, że nie mieści mi się to w głowie. Zostali mocno poturbowani przez życie, a mimo to płynie z nich taki niesamowity wewnętrzny spokój, harmonia. Nie ma w nich zawiści, zazdrości. I jest taka ogromna chęć dzielenia się. Żałuję, że nie udało nam się kupić domu w rejonie Pupek. Tak, cieszę się ogromnie, że brygada poleciona przez Arka i Beatę trafiła do nas. Bardzo cenię sobie ludzi, którzy solidnie pracują.

Od poniedziałku startuje następny etap. Jak określił to Adam, zacznie się demolka wewnątrz. My w przyszłym tygodniu rozbijamy namiot, tym samym zasmakujemy życia, jakie prowadzą uchodźcy. Starsza pani opuści siedlisko 1 lipca, na dzień przed wyznaczonym u notariusza terminem.

Coraz częściej chodzę z Kudłem na spacer piaszczystą drogą w stronę wsi. To pomaga mi się wyciszyć. Parę dni temu pozwoliłam sobie na spokojną rozmowę z córką starszej pani. Co prawda zrobiło mi się lżej, ale druga strona poczuła się urażona. Czy było warto? Nie chce już o tym myśleć, bo przyjeżdża mój syn. Pierwszy raz. Nie widziałam go trzy tygodnie.

– Tęsknię za Tobą – powiedziałam mu w piątkowe popołudnie podczas rozmowy telefonicznej.

– To co, mam przyjechać? – zapytał. To będzie nasza niedziela.



28 czerwca

Obóz na górze

Drenaż mija ganek, Adam ledwo wystaje z wykopu, który musi być coraz głębszy, aby woda spływała. Wszystko przez piwnicę pod pokojem, w którym dotąd spaliśmy. Piszę dotąd, bo dzisiaj rozbiłem namiot na górze, to będzie odtąd nasz dom. Dlaczego akuratnie na górze, a nie gdzieś w cieniu? Bo cienia niestety nie ma nigdzie dużego, jedynie koło oczka wodnego, ale tam zjedzą nas komary. Na górze za to wieje miłe zefirek i roztaczają się piękne widoki.

Druga ekipa porządkuje strych, wywalając z niego tony gruzu z rozebranej wędzarni, kominów oraz glinianej polepy. Wszystko to wylatuje przez okno na ścianie szczytowej, a następnie przerzucane jest na drugą stronę drogi zapełniając nieckę. W tym miejscu powstanie parking pod bocianim gniazdem. Nie radzę tam parkować w sezonie letnim ;-)

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

30 czerwca

Dlatego warto być w związku

Znacie historię Hioba? Bóg wystawił jego wiarę na próbę. Pozbawił go majątku, żony i dzieci, spowodował, że zachorował na trąd. A on, mimo tylu przeciwności losu, nigdy Boga się nie wyparł. Kiedyś często wracałam do tego fragmentu z Biblii. Za każ-

dym razem zadawałam sobie to samo pytanie – skąd taka silna wiara? Całkiem niedawno rozmawiałam o tym z Wojtkiem. On zupełnie inaczej na to patrzy. Skąd w Bogu tyle nienawiści, żeby tak karać człowieka – stwierdził.

Dlaczego dzisiaj o Hiobie? Ano, bo i nas wystawiono na próbę. To jest tak jak z kostkami domina, jak się wali, to się wali jedna za drugą. Wczoraj podczas prac koparką zawaliła się część fundamentu. Nie, to nie była wina pana Jurka. Rura, która miała odprowadzać ścieki do szamba, zamiast do szamba częściowo odprowadzała je pod fundament, z ziemi robiąc gnój.

Jakby tego było mało, rura od wodociągów była położona za płytko i bez taśmy ostrzegawczej. To była chwila i woda lała się jak z fontanny na ten nieszczęsny zawalony fundament. Z jednej strony szczęście, bo nikomu nic się nie stało, z drugiej strony było ogromne ryzyko zawalenia całej ściany. Znalezienie osoby odpowiedzialnej za usuwanie wodociagowych usterek na wsi graniczy z cudem. Wojtka kosztowało to wiele emocji. Właśnie moje kafelki do salonu zostały zakopane w fundamenty, bo koszty tego etapu niestety przekroczyły zakładany budżet.

Z wczorajszej lekcji dowiedzieliśmy się, że na wsi takie prace wykonuje się do piętnastej. Wiem, że to absurd, ale wieś to nie miasto. Takim to sposobem zostaliśmy bez wody. My w namiocie na górcie, starsza pani w swoim pokoju.

Dzisiaj Jurek przywiózł mi piękny stary kredens i lodówkę, o tym będzie następnym razem, bo to bardzo długa historia. Uradowana tym faktem pomknęłam swoją żabką do sklepu na wielkie zakupy. Lodówka na górcie w zielonej trawie wygląda uroczo. Już miałam w niej układać, kiedy przyleciał Adam z informacją, że nie ma prądu. Żar się z nieba leje, a my bez wody i prądu. Dopadła mnie czarna rozpacz. Zabrakło wiary Hioba, o której wspomniałam na wstępie. Wojtek pognął do sklepu.

– Kupiłem Ci arbuza – nie pomogło.

Pojechał ponownie do sklepu.

– Kupiłem twoje ulubione piwo malinowe, prosto z lodówki.

Nie pomogło.

– Kupiłem ci chochelkę do zupy.

Pomogło!

Usiedliśmy do stołu z naszymi panami budowlańcami, w naszym salonie na górze, pomiędzy trawami. Postawiłam ogromny gar zupy grochowej. Popatrzyłam na łąki i przestrzeń. Damy radę, tu jest pięknie. – Dlatego warto być w związku – powiedział spokojnie Jurek – żeby jedno drugiego wyciągało z dołów.



5 lipca

Zimnica

Od paru dni koszmarna pogoda. Wieje i leje. Nocami chłodno, marznę pod letnim śpiworem. Wczoraj wieczorem pękłem, wyciągnąłem ciepły, zimowy śpiwór i w końcu wyspałem się. Od rana pięknie świeci słońce, miejmy nadzieję, że będzie dzisiaj ładna pogoda. Wczoraj majstry oczyściły dogłębnie poddasze. Wyrzucili parę ton gruzu, będzie z tego piękny loft. Dzisiaj pewnie będą kuć do dołu kominy albo kończyć drenaż. Piętaszek wczoraj zabrał się za stajnię Augiasza – kurnik. Dobra zmiana dla kur.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

7 lipca

Musimy przez to przejść razem

Dnia pierwszego lipca roku pamiętnego syn zabrał starszą panią. Mimo sympatii do niej cieszę się ogromnie, że zostaliśmy tu sami i ten etap życia mamy już za sobą. Życie w namiocie nie jest wcale takie złe, choć pewnie długo tak nie pociągniemy. Doskwiera nam powoli brak łazienki i pralki. Jednak najbardziej przeciwna jest nam pogoda. Od poniedziałku wieje halny, atakuje nas co chwila biały szkwał. Nasz nowy chiński baldachim tego nie

wytrzymuje. Wojtek stara się go reanimować. Pobiły się talerze. Nie ma nawet gdzie się schować. Wiatr i deszcz są fajne, ale wtedy kiedy siedzi się w domu i patrzy na nie siedząc w wygodnym fotelu. Wojtek zaproponował, że może powinienam pojechać do syna.
– Nie – opowiedziałam – musimy przejść przez to razem.

Żeby nasza brygada pracowała dłużej gotuję im obiady, nie są to żadne wyszukane potrawy, przeważnie to zupa w wielkim garze. Takie posiłki regeneracyjne powodują, że chłopaki pracują dłużej.

No dobra, teraz coś pozytywnego. Ekipę budowlaną mamy bardzo dobrą. To ludzie pracujący od rana do wieczora, ale przede wszystkim myślący. Strych został uprzątnięty, nie ma już wędzarni ani kominów. W środku trwa demolka. Nowa kanalizacja została podłączona. Ekipa pracuje ciężko, a Wojtek mówi, że staje się powoli bankrutem. Nasze wcześniejsze wyliczenia finansowe były pobożnymi życzeniami. Czekamy teraz na zmianę pogody, żeby móc zacząć robić dach. Jutro Jurek, właściciel koparki kończy u nas prace ziemne.

– Czy tobie się gdzieś śpieszy ? – zapytał ostatnio Jurek. – To Adam powinien się śpieszyć, żeby oddać budynek na czas.

Tak, nigdzie mi się nie śpieszy. Może jedynie do wanny z dużą ilością piany.

8 lipca

Padł mur

Wychodzę obolała z namiotu. Znowu wieje, znowu pada. Idąc z Kudłem na spacer wchodzę do domu. Buzia sama mi się uśmiecha. Przystaję, robię dwa zdjęcia. Wychodzę, żeby nie przeszkadzać Adamowi. Znika ściana dzieląca oba pokoje. Radość taka jak po zburzeniu Muru Berlińskiego.

Są ludzie bezinteresowni...

...którzy nie czekają na zapytanie, są ludzie, którzy potrafią zadzwonić i zapytać czy czegoś nie potrzebuję. Doskonale pamiętam ten dzień, kiedy po raz pierwszy siedzieliśmy u nich, w kuchni wynajmowanego domu. Z niedowierzaniem słuchałam opowieści o człowieku, który wystawia przed domem swoje plony i puszkę na pieniądze. Im dłużej ich poznawałam wiedziałam, że tam żyje grupka ludzi, którzy robią coś bezinteresownie. Niedawno zadzwonił do mnie Arek.

- Chcesz lodówkę? – zapytał.
- Jak? Co? Lodówkę? – w pierwszej chwili nie zrozumiałam.
- No tak, Jurek, ten od koparki, przeprowadza się w inne miejsce i nie potrzebuje swojej starej.
- Podstawowe pytanie, za ile?
- Za darmo. Jak już nie będziesz potrzebować, oddasz komuś potrzebującemu.

Tak wyglądała sprawa z lodówką, która teraz dumnie stoi w naszym obozowisku na górze. Jedyna lodówka w Polsce stojąca na łące. Czy nie jestem szczęściarą? Czy ktoś z moich czytelników ma lodówkę na górze pośród traw i polnych kwiatów?

Od jakiegoś czasu wybieraliśmy się do Beaty i Arka, a to za sprawą szkatulek, które miałam wstawić do galerii. Mieliśmy wsiadać do auta, kiedy zadzwoniła Beata.

- Zabierz ze sobą pranie – powiedziała.
- Znowu nie zrozumiałam, jakie pranie?
- Pralka jest, woda jest, pranie się robi i już – zaśmiała się.

Czułam się niezręcznie, ale byłam jej ogromnie wdzięczna za ten miły gest. Pranie radośnie w pralce się kręciło, a myśmy siedzieli i odpoczywali. Zjedliśmy przepyszny obiad, pierwsze zbioru niebieskich ziemniaków i bób. A potem Beata, ta niepozorna kobieta, wyciągnęła gitarę i zaczęła śpiewać. Niesamowity talent muzyczny ukryty pomiędzy Warmią a Mazurami.

Zapiski z budowy

Zmieniła się pogoda, a z nią i mój nastrój. Wróciła wiara w to, że damy radę przetrwać w namiocie na górcie. Było źle, wiał tak silny wiatr, że urywało nam głowy, a namiot prawie odleciał do Pucka. Lało jak z cebra. Wojtek co chwilę powtarzał – mów do mnie Hiob. Przy okazji dziękuję Asi, z którą kiedyś pracowałam, za przemiłego i troskliwego sms-a. Przeżyliśmy burzę, teraz to już z górki. Co u nas? Ja tryskam energią i chodzę z głową w chmurach. Wojtek, który prowadzi nasz budżet, jest coraz bardziej zgaszony.

– Ja mogę spać na materacu, nie muszę mieć mebli, byle by tu, na wsi, pomiędzy górkami i pagórkami – tłumaczę podczas śniadania, kiedy to zajadaliśmy się własnymi pomidorami. Gdybym nawet kupiła najdroższe pomidory w sklepie, to mają się one nijak do naszych, słodkich, pachnących słońcem, samodzielne wyhodowanych.

Wiecie jak to jest? Człowiek jest brudny, z niemytą od dwóch tygodni głową, zmęczony pracami, których nigdy dotąd nie wykonywał, z bolącym kręgosłupem. Wchodzi do ogrodu, zrywa własnoręcznie posadzone pomidory i całe zmęczenie mija. Przystanie na chwilę na podwórzu, popatrzy na bociany, które nie wiadomo kiedy urosły. Uśmiecha się do nich, patrząc jak próbują swych sił w lataniu. Jeden wstaje, macha skrzydłami, drugi cierpliwie czeka. Potem zmiana. Gdyby w tym gnieździe siedzieli ludzie, to jeden drugiego by wypchnął.

A w domu praca wre. Pogoda się do nas uśmiechnęła, więc panowie będą zabierać się za dach. Będzie na pewno robiony wieniec, cokolwiek to słowo oznacza. Adam powiedział, że bez wienca nie da rady, bo dom się rozjedzie. Więc robimy ów wieniec, rezygnując z podłóg, sypialni i nie wiem czego jeszcze. Adam przywiozł drzwi tarasowe do jadalni. Z odzysku, ale są super. Dwa dni temu zapytałam Adama czy jest możliwość uratowania drzwi do sieni. Dzisiaj Adam przywiozł mi opalarkę. Więc opalam farbę i widzę coraz piękniejsze drzwi.

– Adam, czy uda ci się uratować – pytam po raz kolejny – te stare kafelki z sieni?

Udało się. Z tym człowiekiem warto pracować. Więc jeżeli ktoś z Warmii poszukuje ekipy remontowej, to z czystym sumieniem mogę polecić.

20 lipca

Męczy mnie ta kura

Dziś zmarła jedna z trzech kur. Wiem, że śmierć jest wpisana w życie, ale jakoś smutno jest mi z tego powodu. Nie potrafiłam jej pochować, Wojtek się tym zajął.

– Przegrana bitwa nie oznacza przegranej wojny – powiedziałam do Wojtka w piątkowe przedpołudnie. Przez cały tydzień tak mocno lało i wiało, że przez chwilę zastanawialiśmy się nad wynajęciem pokoju w agroturystyce. Wojtek policzył, że wydalibyśmy 1800 zł. Szybko przeliczyłam ile moglibyśmy za tą kwotę zrobić w domu, albo ile mogłabym kupić drzew. O nie! – pomyślałam i rzuciłam się do demontowania naszego obozowiska na górcę. Wymęczony sztormem namiot rozbiliśmy w stodole. Jest tam zacisznie i w miarę chłodno, aczkolwiek śmierdzi zbutwiałą słomą. Kiedy w piątkowe popołudnie nasza ekipa budowlana pojechała do domu, Wojtek w jednej z szop zbudował letnią kuchnię. Jest lepiej, powiem nawet znacznie lepiej. W sobotę, kiedy wzięłam na podwórku kąpiel i wymyłam włosy, było wprost fantastycznie.

A jak jest w ogóle? Ano różnie. Jest ogromna radość, kiedy patrzę na drzwi, które sama opaliłam z farby, oszczędzając tym samym około 600 złotych na zakupie nowych. Jest uśmiech, kiedy zrywam pomidory i kapustę pekińską. Są łzy zmęczenia, kiedy po całym dniu roboczym wszystko mnie boli. Może to starość, a może po prostu odzwyczaiłam się od ciężkiej pracy fizycznej.

Wojtek twierdzi, że biję się z koniem. Możliwe. Ja jednak chcę z nim powalczyć, chcę po latach patrzeć na to nasze siedlisko z satysfakcją, że udało nam się stworzyć miejsce, w którym dobrze się czujemy. A to wymaga pracy lub pieniędzy. Ja pieniędzy nie mam, więc została mi tylko ciężka praca.

W domu prace się posuwają. Adam robi wieniec spinający dom wkoło. Wczoraj odwiedził nas Paweł znający się na kabelkologii. Mimo własnej nieskończonej budowy, i zupełnie innych planów, przyjechał też Arek z Pupek. We dwóch położyli nową instalację elektryczną. Nie wiem jak odwdziżyć się Beacie i Arkowi za tak niesamowitą bezinteresowność i okazaną pomoc.

Ogród zarósł nie tylko warzywami. Przeczytałam rady Gorzkiej Jagody i częściowo wyłożyliśmy go kostkami siana. Więcej pozytywów nie potrafię z siebie wykrzesać, męczy mnie ta kura :-(



22 lipca

Mało piszę

Dni mijają na budowie. W mijającym tygodniu robią wieniec, nie było go w planach. Adam uparł się, że musi go zrobić i słusznie. Stare warmińskie domy potrafią rozjeżdżać się pod ciężarem dachu. Cegły łączone są zaprawą gliniano-wapienną, żaden cement. Jak to się wszystko trzyma kupy, zastanawiałem się do momentu, aż oświecił mnie kumpel architekt. Statyka – powiedział, stoi pod własnym ciężarem, jak domek z kart, do czasu...

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

27 lipca

Okno na świat

Kiedy remontuje się stary dom są różne zwroty akcji. Są radości i smutki, łzy ze zmęczenia, ale też łzy radości. Właśnie wczoraj był taki dzień, dzień radosnych łez, które same spływały po spocym policzku. Nic właściwie ich nie zapowiadało. Pojechaliśmy z Wojtkiem na wycieczkę do pana Marka. Wybrałam parę dro-

biazgów, między innymi drewnianą toczoną lampę bez abażuru, dwie miski porcelanowe, dzbanuszek w różyczki, do którego po powrocie z wieczornego spaceru włożyłam polne kwiaty i gałązkę jarzębiny.

Zasiedliśmy do wspólnego obiadu, który przygotowałam przed wyjazdem. Rozmowy jak zwykle zeszły na temat remontu. O Adamie i naszych nowych planach remontowych napiszę następnym razem. Po obiedzie zaszłam do domu, a tam było już zamontowane okno tarasowe, kupione z odzysku za 400 zł. Niby nic, ale dla mnie takie okno było szczytem marzeń. Ileż to razy myślałam podobne okna sprząając drogie apartamenty. Bez stałej pracy, bez perspektyw, licząc każdą złotówkę zarobioną na sprzątanii. Mimo że potem pracowałam w przychodni, o tamtej pracy „przed” nigdy nie zapomniałam. Minęło kilka lat, a ja stoję w pokoju i patrzę na tarasowe okno.

Dopiero jak je zobaczyłam dotarło do mnie, że to faktycznie się dzieje. Że to wszystko co się teraz tworzy to nie sen, ani żaden matryks. I jak tu nie płakać ze szczęścia? Przypomniły mi się wtedy słowa Wojtka, „jeszcze nie wiesz co spotka cię w życiu”. Miał rację, nie wierzyłam. Jest wszystko o czym marzyłam: wieś, piaszczysta droga, stary dom i sztachetowy płot z garnkami.

Okno wychodzi na stary sad, zaraz za nim jest kawałek naszego pola, na którym teraz rośnie rumian. Lubię ten widok. Przestał przeszkadzać mi rumian. Po miesiącu pobytu tutaj, doszłam do wniosku, że nie jestem w stanie ogarnąć całego terenu. Dzisiejszy poranek spędziłam w ogrodzie karczując chaszcze. Jednak upał przegnał mnie do letniej kuchni. Zrobiłam pierwsze cztery słoiczki dyni na zimę. No tak, nie widzieliście naszej szopki przerobionej na kuchnię. To nie koniec dobrych wiadomości. Młode bociany odbyły pierwszy lot z gniazda na dach stodoły. Mamy nowe kurki. Nie robiłam im jeszcze sesji zdjęciowej, bo są troszkę zestresowane.



Jeżeli o czymś bardzo mocno marzysz...

Od ponad miesiąca przywracamy (przy pomocy niesamowitego Adama i jego ekipy) dawną świetność staremu domowi. Pisząc te słowa patrzę teraz na niego. Stoi na górcie, poranne słońce odbija się w jego oknach. W środku jest jeszcze totalna rozpierducha, ale to kwestia czasu. Będzie tak jak to sobie wymarzyliśmy.

Gdyby ktoś rok temu powiedział mi, że moje marzenie zrealizuje się tak szybko, popukałbym się mocno w głowę. Ale życie lubi zaskakiwać. Niczym regatowa łódź wykonało parę gwałtownych zwrotów, miotnęło w lewo i w prawo, i doprowadziło tu, do naszej zacisznej przystani.

Jest stary sad, jest zarośnięty po pas chwastami warzywnik, jest olbrzymia lipa, świerki, brzozy. Jest stawek, pagórki, a co najważniejsze dzwoniąca w uszach cisza, przerywana tylko kłopotem bocianów, klangorem żurawi, ćwierkaniem wróbli, wieczornym koncertem świerszczy.

Jest oddalenie od miałkości, śmieciowości spraw i zdarzeń. Jest spowolnienie i znormalnienie czasu. Jest też nieuchronne rozpaczliwe liczenie finansów, to nieuchronny efekt uboczny, ale damy radę. Pieniądze to nie wszystko.

Teraz wiem, że jeżeli o czymś bardzo mocno marzysz, to prędzej czy później zrealizuje się to, bo opatrność/Pan Bóg/Allah/Budda/kosmici etc. (właściwie podkreślić) zawezmą się, aby ci pomóc. Długo w to, jako urodzony racjonalista, nie chciałem uwierzyć. Poległem.

Sierpień

1 sierpnia

Depresja od rana

Adama jeszcze nie ma, a dochodzi południe. Dom totalnie rozgrzebany, a maksymalnie za miesiąc mamy się podobno wprowadzić. Coś tracę wiarę. Życie w koczownictwie męczy, zwłaszcza brak łazienki. [Dopisek wieczorny: Adam dzisiaj nie zjechał, podobno coś załatwia. Stracony dzień, a czasu do jesieni coraz mniej. Tu jest mój dom, moje docelowe miejsce na ziemi.]

4 sierpnia

Jest lepiej

O świcie strasznie lało, a dom bez dachu, pokryty jedynie membraną. Jedna połać, bo druga dziurawym starym drewnem. Dachówka zrzucona. Leżałem w szumie deszczu i nie chciało mi się wstać, zanurzyć w oblepiającą wilgoć. A niech wszystko zamoknie – myślałem – zwłaszcza te worki z zaprawą cementową, na które poszło tyle kasy, niech zawałą się ściany, niech wszystko trafi szlag. Spakuję namiot i te mokre szmaty, odpalę auto i więcej moja noga tu nie postanie. Chwila słabości, depresja gangstera. Trzydziesty siódmy dzień koczownictwa.

Ale teraz jest lepiej. Popijam przesłodzoną kawę w żółciu, chłopaki pokrywają drugą połać dachową, nic nie zamokło (no prawie). Przez moment wyszło nawet słońce. Więc może nie będzie tak źle, może odwróci się bieg entropii. Niewdzięczne niebo zasłoni dach, przewodami zaczniesz płynąć prąd, woda zaćwierka w rurkach, ściany pokryją się tynkiem. Pojawi się światło w tunelu, nadzieja, że nie spędzę września w jurcie.

Jaja

Od jakiegoś czasu zastanawiałem się dlaczego kury wstrzymały produkcję jaj. Zostały co prawda tylko dwie, ruda i czarna, kogut się nie liczy, bo swoich jajek nie odda, ale każda z nich powinna dawać co najmniej jedno jajko co dwa dni. A tu pupa blada, z jajeczniczy nici. Żarły tylko ze smakiem kurkę naturkę, wydłubywały różne robale, ale gniazda pozostawały puste. Tłumaczyłem sobie to stresem związanym z dobrą zmianą, jakiej doznały: wysprzątany kurnik z nowymi meblami (plazma na ścianie dla koguta), nowy wybieg, dobre żarcie.

– Dobra zmiana, dobra zmiana! – przemawiałem do nich – w zamian proszę o jajka! Kiwały głowami i wypowiadały coś co brzmiało jak „ko, ko, kod???”

Kury dokują się w kurniku około osiemnastej. Rozumiem teraz co znaczy stwierdzenie „iść spać z kurami”. Na apelu wieczornym nie stawiła się ruda. Kogut latał i wrzeszczał, ja latałem wrzeszczałem, rudą wciąłem.

– No tak, dopadł ją rudy, znaczy lis – powiedziałem do koguta, a ten tylko smutno pokiwał głową.

Postanowiłem zajrzeć jeszcze do nieużywanej obory, a tam proszę, w starym, wymoszczonym słomą poidle, ukryła się ruda.

– A tobie co? – spytałem – do domu marsz!

Ani drgnęła. Trąciłem ją delikatnie, zaprotestowała, ale kupra nie podniosła, tylko rozpląszczyła się jeszcze bardziej. Pozwoliłem sobie unieść lekko jej zadek i widzę, a pod nią jajka, i to całe mnóstwo!

– No ładne kwiatki, chcesz tu siedzieć i bawić się w matkę, licząc na 500+, proszę cię bardzo.

Zabarykadowałem ją, aby w nocy żaden drapieżnik nie zjadł jej wraz z jej jajkami. Rano gdy zgłodniała i przybiegła na śniadanie, skorzystałem i hyc hyc (niczym lis) pomknąłem do obory. Jaj jest dwanaście. I co mam jej zrobić?

Miszmasz

Nie wiem czy to z przepracowania, czy z emocji, wczoraj wstałam z bolącą głową, bez chęci i sił do zrobienia czegokolwiek.

– Trzeba jechać do Szeptuchy – zażartował podczas śniadania Wojtek. Do Szeptuchy nie pojechałam, ale zarządziłam dzień odpoczynku i zrobienia czegoś dla siebie. Tym czymś było wymycie włosów. A po południu Wojtek zaprosił mnie na lody do miasta.

Posiedziałam też beczynn timer przed stodołą i patrzyłam na nasze kury. Nawet nie sądziłam, że kury są takie „hierarchiczne”. Są dwie stare kury – Ruda i Czarnuszka, dwie białe 14-tygodniowe i pięć 9-tygodniowych. Młode mają przechlapane. Na wybiegu, tak jak i w kurniku, trzymają się razem. Kogut Edward adoruje tylko stare kury. Budzi nas tuż przed piątą, a kiedy nie widzi mnie na podwórku wchodzi do stodoły, staje pod moją sypialnią i tak pieje, że umarły by wstał. Jest z niego prawdziwy džentelmen. Najpierw jedzą jego faworyty, dopiero później on sam. Małolaty na samym końcu.

A ogród? Jego zorganizowanie wymagało od nas wiele pracy, ale odwdzińczył się nam ogórkami, dyniami, kabaczkami, pomidorami. Uczę się robić przetwory i daje mi to dużo satysfakcji. Powoli tworzę małą rabatkę w sadzie, idzie mi to opornie, bo stale trzeba robić coś innego. Niewiele też mam materiałów do jej budowy, przeważnie z odzysku i z tego co mam pod ręką.

Z desek, które były na stropie, ułożyłam dwie ścieżki. Zrobiłam porządek z malinami. Postawiliśmy wannę i wóz w docelowym miejscu. Muszę ją jedynie obudować, ale to może w przyszłym roku. Wiem, że deski to może i kiepski pomysł, ale na nic lepszego mnie nie stać. Jak spróchnieją pójdą na kompost. Dlaczego więc je zrobiłam? Uwielbiam ścieżki, drewniane stare płoty, aleje drzew. I taki miszmasz będzie w moim ogrodzie :-)

A dom? Tu się zmienia jak w kalejdoskopie. Od wczoraj Adam z ekipą robi dach. W pierwszej wersji mieliśmy oczyścić dachówki

i położyć je ponownie. Ponieważ dachówka podobno się nie nada, szukamy nowej. W konsekwencji, zamiast kafli na podłodze będziemy mieli beton. Jedynym wyjątkiem będzie łazienka. Powiem szczerze, że wcale mnie to nie smuci i nie martwi, bo łazienka będzie taka, jaką sobie wymarzyłam. Gdzie tam wymarzyłam, nawet do niedawna o takiej nie śniłam.

Kafelki już zamówiliśmy. Z jej urządzaniem nie miałam żadnych kłopotów. Ja po prostu wiedziałam jaka ona ma być. Biało-czarne kafelki na podłodze. Białe kafelki na ścianie, bez zbędnych dekoracji. Duża zwykła wanna, umywalka na nogach od maszyny do szycia i prysznic. Na początek bez szyby.



6 sierpnia

Na golasa w gumofilcach

Wczoraj wieczorem rozpętało się piekło. Zeus wściekł się na śmiertelnych za to, że psują mu planetę, którą z takim trudem stworzył. Ciskał gromami gdzie popadło, zaś jego pomocnik Neptun wylewał oceany wody. Zabarykadowałem się w namiociku, włączyłem olejak, nakryłem po uszy śpiworem. Było ciepło, sucho i prawie że domowo.

Stara stodoła, w której ukryty jest mój mały domek, dzielnie znosiła napór wody i wiatru. Modliłem się tylko, żeby nie przyszło jej do głowy (hmm... gdzie stodoła może mieć głowę?) poskładać się i przywalić mnie tonami ceramicznej dachówki i belek. – Stoi prawie sto lat, to postoi jeszcze ten miesiąc – powtarzałem jak mantrę. Gdy Bogom znudziło się maltretowanie maluczkich, wypęzłem z namiociku i w piżamce i gumiakach pomknąłem z latarką sprawdzać czy dom mój stoi jeszcze. Nie ma na nim na razie dachówki, chroni go jedynie folia dachowa. Wszystko było w porządku. Sucho jak na pustyni.

Podumałem chwilę na tronie i już miałem wyjść gdy Bogowie zaatakowali ponownie ze zdwojoną siłą.

– No i super, zostałem uziemiony, nie mam ani maski do nurkowania, ani rurki, ani płetw, i jak przepłynąć rozszalały podwórkowy ocean?

Nie zastanawiając się długo zrzuciłem pizamkę, zwinąłem ją w kłębek, i tak jak mnie Panbóczek stworzył, w samych gumofilcach, pomknąłem do kuchni polowej. Na szczęście Zeus nie dostrzegł mojej bielejącej w ciemnościach rzyci i nie przywalił piorunem. A przez kuchnię płynęła rzeka... Rzuciłem się do ratowania mych statków, które lada moment mogły wylądować w pobliskim stawie. Uratowałem żarcie dla kur oraz kota (za co od rana są mi bardzo wdzięczni). Przygotowałem sobie skromną kolację z obiadowych resztek. Kraulem, trzymając nad głową tobołek z pizamą i kolację, dopłynąłem do stodoły, wpełzłem do zacisznego namiociku, wzułem suchą pizamkę, zjadłem wraz z kotem kolacyjkę, odmówiłem paciorek do Zeusa, prosząc Go, żeby jednak nie przywalił w mój dom, i zasnąłem kołysany szumem deszczu.

7 sierpnia

Sklejanie czasu

Od paru dni bawię się w archeologa, z mozołem odsłaniam ukrytą przez lata brukowaną ścieżkę prowadzącą do ganku. Większa jej część ukryta jest pod zwałami gliny i ziemi, zarośnięta przez chwasty. Nie wiem kto ją zbudował, pewnie pierwsi mieszkańcy domu, jeszcze przed drugą wojną światową, a może jest „made in Poland”.

Ocierając pot z czoła – zaprawdę powiadam wam mozolna to praca – zastanawiam się po co to robię, po co zadaję sobie tyle trudu. Przecież wystarczyłoby wysypać trochę żwiru, albo z czasem (póki co brak na to pieniędzy) położyć nową kostkę brukową. Szpadlem, łomem a także myjką ciśnieniową zrywam to co naniósł lodowiec czasu. Kocie łby ponownie lśnią w słońcu. Jest w tym jakaś magia, cofanie się w czasie albo raczej jego sklejanie. Łączę ich czas, ten sprzed kilkudziesięciu lat, z naszym, tak jak skleja się porwaną celofanową taśmę filmową. Ponownie jest ciągłość.

To nie jedyna rzecz jaką odtwarzamy w naszym domu. W sieni położone zostaną oryginalne stare czerwone kafle, które przez lata były ukryte pod ohydny linoleum. Stanie tu też znaleziona na strychu, niestety bezdrzwiowa szafa, posłuży za wieszak. To jedyny mebel jaki pozostał po pierwszych mieszkańcach. Za szklanymi ramkami zawisną skrawki gazet z 1911 roku, które były przyklejone do belek stropowych. Piętaszek opala z olejnej farby oryginalne drzwi. Pod wieloma warstwami ukazuje się przepiękne stare drewno. Wyszczotkowane i wywoskowane zawisną ponownie na swoim miejscu, mimo że są trochę za niskie i osoby o wyższym wzroście (np. ja) muszą schylać głowę.

Strop stanowić będą wyeksponowane w całości stare belki stropowe, przez lata ukryte pod odeskowaniem. Deski z poszycia dachowego, po ich wyszczotkowaniu i wyolejowaniu, stanowić będą uzupełnienie. Ściany pokryte zostaną tynkiem cementowo-wapiennym, ale planujemy w paru miejscach zostawić odsłoniętą czerwoną cegłę. Odtworzymy z czasem piec kuchenny, wkomponowując w niego stare niemieckie kafle oraz drzwiczki. Odbudujemy pomarańczowy piec, z małym odstępstwem: zamiast żeliwnych drzwiczek będą szklane, tym samym stanie się on po części kominkiem. Będzie można wieczorami patrzeć w ogień.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą chcemy zrobić, a którą zaproponował Adam, ale na razie nie zdradzę co to ma być, ale mówię wam, efekt będzie zapierać dech w piersiach.

Po co to wszystko? Po co tyle zachodu? Nie prościej położyć na sufit płyty kartonowo-gipsowe? Kupić nowe kafle do sieni, wstawić kominek z marketu, wymienić drzwi na produkt drzwopodobny ze zmielonej tektury? Zniszczyć stare i zużyte, zastąpić nowym. Tak czyni większość. Idzie po najmniejszej linii oporu. Widziałem tak wiele zmasakrowanych w ten sposób starych domów, zwłaszcza na wsi. My jesteśmy inni. Dla nas znaczenie ma ciągłość.

Wśród nocnej ciszy syk się rozchodzi

To zdarzyło się parę ładnych dni temu, muszę zapisać, bo umknie. Nad ranem poczułem, że moje cztery litery przyziemiły. Niezbyt to miłe uczucie, bo klepisko jest nie dość że twarde, to i lodowate. Leżałem w ciemnościach, próbując zrozumieć co się stało, a temperatura odwłoku spadała z 36,7 do zera absolutnego.

– Nasermatter – zakląłem jak mój śp. pamięci dziadek Mietek i zmusiłem się do wstania. Materac wyglądał jak rozwalcowany naleśnik. Za wcześniej było jeszcze żeby wstawać, wziąłem więc głębszy oddech i przywróciłem go do stanu używalności. Starczyło niestety na godzinę. Dopompowałem jeszcze dwa razy i jakoś dotrzymałem rana. Na szczęście tego dnia miałem jechać do Gdańska. Po załatwieniu tego co miałem załatwić, wpadłem tuż przed zamknięciem do Auchana. Na półce leżały dwa materace: jeden mały za 35 zł, i drugi, king size, za niebagatelne 135 zł. Stałem przed regałem jak Mosiek z Berdyczowa, kiwając się na boki i szarpiąc pejsy. – Aj waj, aj waj, ta czemu taki drogi ten materac, aj waj. Przekonała mnie w końcu nalepka na pudełku kingsajzowca „do 275 kg”. No to mam jeszcze duży zapas bezpieczeństwa, pomyślałem, a do tego jeszcze wbudowana elektryczna pompka. Odżałowałem. Minęło parę spokojnych nocy. Materacyk sprawował się znakomicie. Jak dziecko bawiłem się konsolką. Pstryk guzikiem i robi się twardy jak niemieckie auto, ruch pokręteł w prawo i po chwili mamy miękkość jak w Citroenie DS. Bajka. Co kto woli. Aż tu budzę się nad ranem i czuję, że moje cztery litery pocałowały się z lodowatą matką ziemią. – Niiieeeee! – zawyłem w ciemnościach – Panie cóżem ci uczynił!???

Wśród nocnej ciszy usłyszałem jak cichutko uchodzi życie z mojego łóżeczka. No ale od czego jest pstryczek elektryczek? Już po chwili oddaliłem się od klepiska na bezpieczną odległość trzydziestu centymetrów. Na chwilę. I tak pstrykałem sobie do rana kilka razy. Noc na gestapo. Rano oczy na zapałki. Dziurka była miniaturowa. Udało się ją załatać. W końcu większe dziury w życiu człowiek łątał. Wieczorem napompowałem, ubrany w pizamkę

w słoniki, umościłem się wygodnie, otworzyłem książkę a tu.... nagle.... pode mną... rozległo się cichutkie psssssss..... Nassermatter!!!!

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

8 sierpnia

Dwa zmartwienia i garstka radości

Pierwszym zmartwieniem był syn. Jest takie jedno mądre przysłowie, które zawsze powtarza moja siostra „małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci, duży kłopot”. Znając siebie, wiedziałam, że nie poradzę sobie. W czwartkowe popołudnie zadzwoniłam do Beaty z Pupek, która jest psychologiem. Beata wysłuchała mnie, poradziła, otworzyła oczy, podesłała mądrą książkę jak powinno rozmawiać się z dziećmi. Tak przygotowana pojechałam w piątek do Gdańska, do syna.

Podczas rozmowy nie podniosłam głosu, nie rozplakałam się, choć podczas takich rozmów łyż mam zawsze na końcu nosa. Nie udzielałam żadnych rad, nie wymądrzałam się. Głównie słuchałam, aż w końcu przytoczyłam kilka faktów, tak aby nie zranić niczych uczuć. Czy problem został zażegnany? Nie wiem. Ani on, ani ja nie mamy na pewne rzeczy wpływu. Jedno wiem na pewno, do tej pory miałam syna, teraz mam w nim również przyjaciela. Dopiero kiedy wróciłam i usiadłam koło stodoły, puściły emocje.

Drugim moim zmartwieniem jest kura. Nigdy mnie się nie bała. Chodziła za mną po podwórku jak mały piesek. Pod koniec tygodnia zginęła nam z oczu. Wieczorem zaczęliśmy jej szukać. Wojtek znalazł ją w byłej stajni. Nie chciała się ruszyć z miejsca. Na drugi dzień wyszła na moment, a ja podpatrzyłam, że w gnieździe ma 12 jajek.

Co robić, zastanawialiśmy się z Wojtkiem. Nie miałam sumienia zabierać jej jajek. Moje doświadczenie z kurami jest żadne.

Oczywiście, że chciałam mieć kurki, ale sytuacja z jajkami mnie przerosła. Co teraz? Kura się zaparła, siedzi na gnieździe i patrzy w jeden punkt. Nawet jak do niej mówię, nie reaguje. Donoszę jej jedzenie, dzisiaj nawet dostała robaczki :-). Martwię się co z tego wyniknie. Jak już wyniknie, znaczy wykluje się, to jak się nimi opiekować?

Jak na moje możliwości, sami widzicie, zmartwień nie mam za dużo. No może jeszcze troszkę martwi mnie dom. Nowe dachówki, które wcale mi się nie podobają, pochłonęły wyposażenie kuchni. To nie jest dla mnie jakiś ogromny problem, w końcu nigdzie nam się nie śpieszy. Kafelki do łazienki przyjdą jutro, dachówka może za tydzień.

A z radości? Zrobiłam ponad 80 słoików przetworów. Wiem, że dla niektórych jest to kropla w morzu, dla mnie chyba też, bo chciałam podzielić się z synem. Jednak wcześniej nigdy nie robiłam przetworów, więc wynik i tak jest niezły.

Przyzwyczailiśmy się już do spania w namiocie. Wojtek włącza wieczorami grzejnik elektryczny, wtedy robi się całkiem przyjemnie, bo nie czuć wilgoci.

Kolejną radością będą nasi pierwsi goście. Agata z Arkiem i moja siostra. Przyjadą gdzieś koło piętnastej. Siostra na jeden dzień, Agata zabiera ze sobą namiot. I to byłoby na tyle.



9 sierpnia

Popaduje, zimnawo

Tak po prawdzie, to nie jest tak łatwo i przyjemnie czy wesoło. Dzisiaj mija 42 dzień koczownictwa. Do spania w namiocie można się przyzwyczaić. Nawet teraz, gdy na dworze jest mokro i chłodno, wystarczy włączyć olejak, zapalić lampkę na małym stoliku przy materacu (kolejnym) włączyć tablet, aby obejrzeć kolejny odcinek serialu *Ranczo* (zasmakowałam!). Jest ciepło i domowo, i nie przeszkadza to, że trzeba się wczółgiwać. Nie przeszkadza jedzenie pod pałatką, ewentualnie w kuchni polowej, skonstruowanej w starej

drewutni. Zdzierzyć można brak bieżącej wody w kranie, zresztą i tak nie ma kranu, jest wąż z wodą ze studni. Woda do picia i gotowania jest w baniakach. Już nie trzeba latać za górkę za potrzebą i wypinać się w pozycji Małysza. W domu działa już tron aczkolwiek jest hmm... mało odosobniony, więc trzeba głośnym okrzykiem oznajmiać, iż testuje się kanalizację.

Najbardziej brak jest prysznicza, a wanna to jest niebiańskie marzenie. Myć się trzeba w misce, a jak było cieplej, to można było w stawie. Wiem, tysiące pokoleń tak do niedawna czyniło i żyło, ale człowiek nabrał pewnych przyzwyczajzeń i teraz trochę cierpi.

Ten sufit to jest światło w tunelu. Iskierka nadziei. Punkt przełomowy. Udało się odwrócić bieg entropii, skończyło się demolowanie, zaczyna składanie. Jeszcze wczoraj, przedwczoraj, kiedy patrzyłem na te moknące w deszczu ruiny, miałem wielką ochotę czmychnąć stąd i nigdy więcej już tu nie wracać.

Uciekałem z psem polną drogą, a matka natura, wiedząc chyba co mi w sercu gra, kreowała na niebie nieziemskie spektakle. Patrzyłem oniemiały i wiedziałem, że to jest to miejsce, moja ostoja, moja oaza przed całym wariactwem tego świata. Wielu znajomych mówi mi, że mnie podziwia, że jestem odważny. Nie wiem. Często zadaję sobie pytanie czy dobrze uczyniłem rzucając cywilizację, czy będzie co do gara włożyć, czy nie będę musiał uciekać przed komornikiem. Przyszłość pokaże.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

9 sierpnia

O człowieku, który spełnia moje marzenia

Podczas śniadania przyszedł pomysł na tytuł. Teraz, ponieważ pada, przyszedł czas na treść. Jak myślicie o kim będę pisała? Adama poznałam dzięki Arkowi i Beacie. Pewnego dnia, na samym początku naszych poszukiwań, pojechaliśmy do Pupek. Nie znałam

wtedy nikogo. Arek z Beatą bardzo zaangażowali się w poszukiwanie dla nas domu, nam zależało, aby zamieszkać w tamtych rejonach. Kiedy wszystkie pomysły się wyczerpały, Arek zadzwonił do Adama. Spotkaliśmy się na trasie. On jako budowlaniec wiedział, gdzie znajdują się jakieś ruiny.

Średniego wzrostu, szczupły, ze spracowanymi dłońmi i szczerym uśmiechem. Tak go zapamiętałam tamtego dnia. Jeszcze nie znaleźliśmy domu, a już wiedzieliśmy, że to on będzie go remontował. Adam jest małowówny, ożywia się kiedy schodzimy na tematy budowlane. Lubię z nim rozmawiać. W swoim życiu zbudował 15 domów w Polsce, tych remontowanych nie liczył. Kiedy zapytałam jakie jest jego marzenie, odpowiedział, że chciałby zbudować drewniany dom dawną technologią. Bardzo bym chciała, aby mógł zrealizować swoje marzenie, tak jak on spełnia moje.

Moim marzeniem był drewniany sufit, taki ze starych desek. Adam właśnie go robi. Moim marzeniem była wyeksponowana stara cegła. Adam myślał, myślał. Pojechał na weekend do domu, przyjechał w poniedziałek i pokazał mi kawałek ściany, którą oczyścił.

Od tego człowieka nigdy nie usłyszałam, że się nie da. Pracuje od rana do wieczora, przeważnie sam, bo jak twierdzi nie ma chętnych budowlanców, a dobrzy dawno wyemigrowali. Przeważnie pomaga mu ktoś z rodziny. Sam kiedyś budował w Skandynawii, jednak wypadek i rozłąka z rodziną spowodowały, że wrócił. Czasami wchodzę do domu i patrzę jak pracuje. On nie odwala roboty, on wkłada w nią całe swoje serce. Gdy tak patrzę na niego, przypominam sobie samą siebie i początki w ostatniej pracy. Tak, ja też kiedyś kochałam swoją pracę. Ludziom, którzy pracują bez przymusu z pasją i sercem jest lepiej, łatwiej. W swoim życiu poznałam wielu budowlanców, ale takiego po raz pierwszy.



Odrobina refleksji...

...w niedzielny poranek. W listopadzie 2014 roku napisałem na moim blogu:

Marzy mi się siedlisko na końcu świata, i wiem gdzie jest ten mój koniec świata, to Warmia, okolice Pieniężna, Ornety, Górowa Iławeckiego. Kraina pagórkowata, z ukrytymi wśród lasów i pól małymi jeziorami. Często oglądam ją z góry okiem satelity, każę się wozić googlowozem. Przemierzyłem ją kilkanaście razy moim kamperem. Zakochałem się w niej. To ziemia opustoszała, wyludniona, odcywilizowana. Prawdziwa Terra Incognita. Dawne Prusy Wschodnie.

Oczami wyobraźni widzę ów stary warmiński dom. Zbudowany z solidnej czerwonej cegły, pokryty upstrzoną kępkami porostów i mchów, szerniałą od słońca ciemnoczerwoną dachówką. Dom wzniesiony przed stu laty przez bogatego pruskiego chłopca, ze starannością, tak aby przetrwał lata. Dom, który pod ciężarem mijającego czasu zagłębił się w ziemię, niczym statek wyrzucony na mieliznę. Oparł się setkom tysięcy wichrów, nawałnic, burz. Dom ostoja, w którym pachnie pieczonym chlebem. W którym czas płynie normalnie, odmierzany miarowym tik-tak starego zegara.

Do tego kawałek ziemi, nie więcej niż hektar. Tyle wystarczy aby się samodzielnie wyżywić. Stworzyć ogród warzywny, posadzić ziemniaki, buraki, trochę kukurydzy. Do tego sad owocowy, a w nim pasieka. Kawałek lasu na opał. Woda ze studni, i może jakiś strumień, aby wykopać mały staw. Wpuścić parę ryb.

Ja technokrata, inżynier informatyk, webmaster i hacker, swego czasu miłośnik wszelkich gadżetów, niewolnik telewizji i Internetu, chcę to wszystko rzucić w diabły. Zmęczyłem się XXI wiekiem i chcę wrócić do XIX. No może nie tak do końca. Prąd wysmaży słońce i wykreści wiatrak.

Już stoję z boku. Nie oglądam TV, nie słucham radia, nie czytam portali informacyjnych. Nie biorę udziału w wyścigu szczurów. Wpadam w coraz większy minimalizm. Mniej znaczy więcej. Nie muszę mieć tego czy tamtego, wypasionej auta, wczasów w zagranicznym SPA, 200-calowego telewizora, czy super-/hiper komórki. Powiem szczerze: pieprzę to wszystko.

To nie jest chwilowy kaprys. To narasta we mnie od lat, powoli dojrzevam do tego. Prawie trzydzieści lat temu, na studiach, żartowałem, że kiedyś, gdy będę już stary, kupię sto hektarów i stworzę sektę. Z długą siwą brodą, odziany w lniane giezło, z sękatym kijem w dłoni, będę siedział pod starym dębem i dumał jak Budda, albo nauczał.

Jest połowa sierpnia 2016 roku i mieszkam tu, w moim warmińskim siedlisku na skraju cywilizowanego świata. Nie tęsknię za dużym miastem, które zostawiłem. Wszystko co jest mi potrzebne mam w pobliskim Górowie, do którego dzielą mnie dwa kilometry w linii prostej, pięć minut autem. A jeżeli potrzeba mi więcej to 21 km mam do Lidzbarka Warmińskiego, a 25 do Bartoszyca. Zapuściłem korzenie. Poznałem sympatycznych sąsiadów zawsze skorych do pomocy. Wszyscy wkoło, nawet ci, których jeszcze nie spotkałem, wiedzą, że to ten imigrant z Gdańska, który zamieszkał tu, o dziwo, na stałe. Czas niesamowicie zwolnił, płynie teraz normalnie i z sensem. Nie ma kosiarek, nie ma pip-pip-pip z pobliskiego placu manewrowego, nikt piętro niżej nie trzaska drzwiami, pod oknem nie drą się dzieciaki. Nikt nie siedzi mi na zderzaku, ani nie trąbi wściekle jak na chwilę przystanął szukając miejsca do zaparkowania. Jest rozćwierkana, rozklekotana, rozklangorowana cisza, czasem w oddali odezwie się u sąsiada pies. Z cywilizacją łączy mnie cieniutka nitka LTE, przez którą płyną bity niosące informację o coraz większym szale jaki ogarnia świat. Czytam i jestem szczęśliwy, że jestem tu, w mojej oazie, na bezludnej wyspie, siedlisku rodowym. I to jest dobre.

16 sierpnia

Idzie jesień i nie ma na to rady

Światło zrobiło się kontrastowe, ciężkie. Rzeźbi każdy szczegół warmińskiego oceanu, który sam w sobie zmienił barwę z jasnozielonych na ciepłe, dojrzałe odcienie zieleni zmieszanej ze złotem, czerwienią, i z lekką nutką brązu. Idzie jesień i nie ma na to rady. Parę dni temu za starą stodołą wielkie zgromadzenie bocianów utworzyło lej podobny trąbie powietrznej. Kręciły się tam

ich dziesiątki, a może nawet i ponad setka. Wznosiły się i opadały wirując w sierpniowym słońcu. Ich biało-czarność ostro kontrastowała z błękitem nieba. To chyba był pożegnalny krąg. Gdybym wiedział, pomachałbym im na pożegnanie, a ja głupi nawet nie zdążyłem aparatu wyciągnąć. Od tamtego czasu gniazdo stoi puste. Pewnie szybują już gdzieś ponad górami, ku ciepłu południa. Wrócą za parę miesięcy, bo zawsze wracają.

Położyłem z psem po polach. Jeszcze jest ciepło, można łązić w krótkich gaciach i w sandałach na gołe stopy, ale wieczorami zarzucam stary wysłużony polar, bo ciągnie po podwiązkach. Tak, nieuchronnie idzie jesień.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

17 sierpnia

50 dni

Kiedy wracałam ze spaceru z psem, stanęłam na podwórku i spojrzałam na ten totalny bałagan. I przypomniała mi się scena z filmu *Noce i dnie*, kiedy to Bogumił chodził po polu i krzyczał, że mu buraki się marnują. Buraki mi się nie marnują, ale na podwórku mam takie samo błoto. Podwórko było już w miarę wysprzątane, a tu znowu nie ma jak się ruszyć. Deski ze starej podłogi, cement i jeszcze wiele innych rzeczy. Zamknęłam się z Kudłem w namiocie i nie wychodzę nawet na kolację. Dzisiaj już nie chcę na to patrzeć. W namiocie Wojtek postawił grzejnik olejak. Jest ciepło i przyjemnie. Próbuję sobie przypomnieć, który to dzień kocujemy. Pięćdziesiąty? A ile nas czeka jeszcze dni?

Plany się syją. Najpierw miała być ekipa od tynków, potem od posadzek. Ta od tynków ma obsuwać. Adam postanowił nie czekać. Przygotowuje ogrzewanie podłogowe, w poniedziałek mają przyjechać panowie posadzkarze. Nie powinnam narzekać, bo dzieje się. Panowie pracują w pocie czoła, wczoraj do 23.00. Nie wiem,

może to ten deszcz z wiatrem powoduje, że trudno jest wykrzesać w sobie choć trochę radości.

Kiedy panowie budują, ja walczę w kuchni. Przygotowuję się na koniec świata. No nie na taki radykalny, ale taki gdyby nas zawiąło, zalało, zabłociło. Zrobiłam 168 słoików i to nie jest moje ostatnie słowo (nie liczyłam tych, które dałam siostrze). Sałatka szwedzka, ogórki w zalewie curry, ogórki kiszone. Cukinie i kabaczki w różnych konfiguracjach. Dynie w occie. Kompot śliwkowy, konfitura ze śliwek i dżem z dyni i pomarańczy. Wszystkie przepisy z Internetu.

Kiedy tak walczyłam z tymi kompotami doszłam do wniosku, że wszystko to, co udało się mi zrobić do tej pory, to właściwie przystawki. Zaopatrzona w kosz wiklinowy poszłam na pomidory, których mam urodzaj. Pomidory sparzyłam, obrałam ze skórki, pokroiłam i wrzuciłam do garnka. Cebulę, paprykę i kabaczki zeszkliłam na patelni. Wszystko razem wymieszałam. Dodałam przypraw tak na oko i wyszło przepyszne. Wiem, jedni na to mówią leczo, a dla mnie to raczej sos pomidorowy z warzywami.

Kiedy patrzę na lato zamknięte w słoikach, myślę sobie, że jestem zdolna babka. W takich warunkach, z kuchenką dwupalnikową, z gotowaniem obiadów dla brygady, zrobić prawie 200 słoików. Dobra koniec chwalenia.

Na koniec będzie o kurze. Ruda jest dzielna. Rano ją wypuszczam. Zjada ze stadem śniadanie i wraca do swoich jajeczek. Podczas dzisiejszej wizyty nasz sąsiad Andrzej zasugerował, żeby scharować tam drewno bo moknie.

– Tam siedzi kura na jajkach, jej nie można przeszkadzać – zaprotestowałam.

– A co na złotych siedzi? – zdziwił się.

– Dla mnie na złotych!



19 sierpnia

Kury mi się rozbestwiły

Łażą za mną wszędzie jak stadko fanek za celebrytą. Dla nich jestem nadkogutem, panem i władcą podwórka. No tak, to ja wydaję rano papu, więc gdy tylko pojawię się zaspany z kawą w ręku otaczają mnie wianuszkami i drą dzioby: Jeść! Jeść! Najodważniejsza jest Balbina. Bez oporów wchodzi do kuchni, pęta się pod nogami, dziobie niecierpliwie w moje gumofilce. Gdy ją odganiam zdziwiona protestuje – toć twoją faworytą jestem! – wykrzykuje po kurzem. Fakt, nauczyła się jeść mi z ręki. Wyciągam ku niej jakiś smakowity kasek, kawałek szynki albo żółtego sera, cap, w tył zwrot i w nogi. A za nią pozostałe, mniej odważne. Wygląda to jak mecz rugby. Zawodnik Balbina przejmuje piłkę, robi zwód, omija zawodniczkę drużyny przeciwnej, przeskakuje nad następną, uskok w prawo, nie traci piłki, jeszcze tylko parę skoków do bazy... Jest! Gol!!!!

Nawet kot, którego nazwałem Nołnejm jest wobec nich bezradny. Podsuwam mu coś pod nos, już ma połknąć, a tu skucha, kasek przejęty przez jedną z rudych, która co sił w nogach umyka, goniona przez własne koleżanki. A na to wszystko patrzy dobrodusznie Kogut, który nie ma z nimi najmniejszych szans, ale co tam żarcie, niech rosną kurki małaolaty, bo już za chwilę, już za momencik, zacznie się dziki seks w kurniku he he. On i siedem młodych nałożnic.

23 sierpnia

Przemoczony mglisty poranek

Słońce z trudem przebija się przez rozlane mleko. Poczłapałem kawałek w pola mocząc nogi, bo nie założyłem gumofilców. Na roślinach pająki porozwieszały mokre pajęczyny. Miliardy kropelek skrzą się w delikatnym świetle promieni słonecznych. A ja nadal bezdomny, to już 56 dzień, jesień zmierza wielkimi krokami.

Na szczęście prace nabrały tempa. Wczoraj na parterze pojawiła się wylewka, jest więc już podłoga. Dzisiaj panowie wyleją ją na poddaszu. Beton skryje prawie kilometr rurek ogrzewania podłogowego. Wczoraj przyjechała nowa dachówka. Dom będzie miał z powrotem dach. Stara dachówka poszła na utwardzenie drogi niemiłosiernie rozjeżdżonej przez ciężarówki. W przyszłym tygodniu, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będę miał tynk. Jak obeszna będzie można się wprowadzać, jupi!

Wczoraj leżakując w namiocie zrozumiałem, że człowiek ma wewnętrzną potrzebę odseparowania się od przestrzeni zewnętrznej. To taka odwrotność klaustrofobii, agorafobia? Bynajmniej nie chodzi o schronienie się przed deszczem, zimnem. Rozumiem teraz czemu bezdomni budują sobie domki z kartonów. Z drugiej strony, po ponad 50 dniach bezdomności mogę mieć problem z zamieszkaniem w czterech ścianach. Chyba przez pierwszy okres rozstawię sobie w sypialni namiot.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

27 sierpnia

Kudeł

Boli mnie strasznie głowa, dlatego będzie to dość chaotyczny post. Kudełek uległ wypadkowi. Stało to się wczoraj, a ja nie znam szczegółów tego zdarzenia. Po zmianie zamieszkania włączyło mu się włóczęgostwo. Wojtka dopadła wysoka temperatura. Pojechałam z Kudłem do miasta, a on podczas postoju na parkingu zwiął mi. Biegł tak szybko, że nie byłam w stanie go dogonić, a potem zginął w siatce ulic. Z lekarstwami dla Wojtka wróciłam do domu i po chwili pojechałam ponownie, płacząc i modląc się, żebym tylko go znalazła. Może po dwóch godzinach, zrezygnowana, postanowiłam pojechać w zupełnie innym kierunku. I to był cud, bo

spozstrzegłam go przy głównej ulicy rynku w zupełnych krzakach. Porzuciłam auto i środkiem ulicy pobiegłam do niego. To było wczoraj, a ja mam stale ten sam widok przed oczami. Wystraszone oczy psa i podwiniełą łapę.

Pierwsza wizyta u weta w Górowie. Zastrzyki i nadzieja, że może jutro będzie lepiej. Dzisiaj jest to jutro i nie mam już żadnej nadziei. Lekarz z Górowa, przesympatyczny pan Andrzej, zadzwonił dzisiaj do Olsztyna, do lekarza, który specjalizuje się w takich przypadkach. Mimo złego samopoczucia Wojtka pojechaliśmy tam. Godzina w jedną stronę, dwie godziny w lecznicy.

Nie pomoże tu żadna operacja, bo są uszkodzone nerwy. Potrzebuję cudu, kolejnego cudu, pieniędzy na rehabilitację, żeby nie było gorzej. Tę prawą nogę mogłabym sama rehabilitować, ale potrzebna jest lampa lub laser. Mogę też jeździć dwa razy w tygodniu do Olsztyna. Są to koszty dla mnie niewyobrażalne. Już w tej chwili pieniądze przeznaczone na piec zostały naruszone na dotychczasowe leczenie. Czy zimą damy radę bez pieca? Nie wiem, na razie to mam mętlik w głowie. To, że pies może funkcjonować na trzech łapach to wiem. Najgorszy scenariusz, który usłyszałam od weta to obcięcie łapy. To w przypadku kiedy będzie ją mocną ciągnął i wda się zakażenie. Nie wiem jak to się stało. Czy wpadł pod auto, czy ktoś go chciał złapać i pociągnął za nogę. Wiem jedynie, że nie miał na sobie szelek z moim numerem telefonu.

A dom, są już posadzki, panowie zakładają dach. Wiem, powinnam się cieszyć, na razie nie potrafię. Powinnam Kudłowi poświęcić więcej czasu. A ja ostatnio chodziłam na coraz krótsze spacer, bo byłam zmęczona do granic. To moja wina, jestem tego świadoma, ale co mi po tej prawdzie.

28 sierpnia

Pomoc dla Kudła

Pomagać jest łatwiej, aniżeli otrzymywać pomoc. Długo miałam wątpliwości czy powinnam. Dopiero poranny spacer i widok Kudła przekonał mnie, że muszę zrobić wszystko. Wczoraj przyszła pierwsza pomoc. Zadzwoniła Beata z Pupek z informacją, że

ma lampę do naświetlań. Muszę jedynie ją odebrać. W poniedziałek idziemy do weta w Górowie na zastrzyk. Może lekarz znajdzie gdzieś bliżej rehabilitację. Olsztyn to dość spory kawał od nas. Ponieważ Kudeł nie radzi sobie z załatwianiem, Wojtek sprawdził, że jest możliwość kupienia sprzętu do usztywnienia nogi. Jednak takie coś jest robione na miarę. W poniedziałek zdecydujemy, czy nie lepiej pojechać do Gdańska i tam szukać pomocy. Najważniejsze, że znalazłam Kudła, najważniejsze, że żyje. Teraz chcę mu jedynie ułatwić funkcjonowanie.

30 sierpnia

Koczujemy

Dom w dalszym ciągu jest w rozsypce, koczujemy w namiocie ponad 2 miesiące. Mamy położone posadzki, czekamy na ekipę od tynków, a oni robią nas w balona. W tych niesprzyjających warunkach gotuję dla ekipy remontowej. Opuściłam sobie robienie przetworów. W ten weekend było pięć osób. Czasami czuję się jakbym prowadziła otwartą stołówkę. Kiedy jest już bardzo źle, dzwonię do Beaty z Pupek. Beata, nie myślałaś, żeby na Warmii otworzyć gabinet dla ludzi potrzebujących psychicznego wsparcia?

Teraz o Kudełku. Szukaliśmy najlepszego rehabilitanta. Wojtek napisał maila do lekarza z kliniki w Gdyni, ja zadzwoniłam do swojego weta. Rozważaliśmy mój powrót do Gdańska. Jednak wszyscy lekarze, z którymi rozmawialiśmy, sugerowali Olsztyn. Podobno właśnie tam jest najlepsza klinika. Dostałam namiary i jesteśmy umówieni z panią Anną jutro na 10.00. Uszkodzenie splotu barkowego – taka jest diagnoza. Czy uda nam się uratować łapę, tego nie wie nikt. A teraz Kudeł chciał Wam coś powiedzieć:

Wiem. Zrobiłem źle, bardzo źle. Sam nie wiem co mnie siekło. Psy tak czasem mają, wiatr przywieje zapach odległy i tęskny, i tracimy rozum. Uciekłem mojej Pani w środku miasta. Pognąłem przed siebie. Może ludziłem się, że sam trafię do nowego domu? Ale zabłądziłem. A potem nie spojrzałem, i stało się to co się stało, nie pamiętam wiele. Ból, przerażenie, kottlowanina, smród paliwa i oleju. Doczołgałem się pod krzak rozpaczliwie tęskniąc za

moją Panią. Strasznie bolał bark i łapa. Wokół sama obcość. Aż znalazła mnie moja kochana Pani. Sam nie wiem jak. Cud. A łapa się zepsuła. Nie słucha mnie. Mam trzy inne, ale jest ciężko. Byłem u lekarza, nie wiele zrozumiałem z tego co mówił, ale chyba nie jest dobrze. Pani bardzo płakała. Pan był bardzo smutny.

Obiecuję, że już nigdy nie ucieknę! Obiecuję!



Wrzesień

1 września

SOS

Piętaszek wraz z Kudłem pojechał do Gdańska na spotkanie z bardzo dobrym weterynarzem z Gdyni. Pozostanie tam z parę dni. Ja zostałem sam na naszej wyspie bezludnej i wysyłam butelki z SOS. Przez lunetę wyglądam na horyzoncie statku, na którym (ewentualnie) przybędą idący na pomoc tynkarze. Na razie wszyscy wypinają się pośladami w naszą stronę, prezentując swoje dorodne anusy. No cóż, rozbijemy namiot w domu. Stop. Koniec przekazu.

2 września

Upadek

Sześćdziesiąty szósty dzień koczownictwa. Wczoraj upadłem. Po raz drugi(?) Gdyby było coś do wypicia, to pewnie schlałbym się jak świnia. Niestety, była tylko woda z bąbelkami. Gdyby po południu pojawił się ktoś przed moim domem i powiedział: „Panie, za ile by pan sprzedał to siedlisko?” – odparłbym bez chwili namysłu: bierz je pan za darmo, albo jeszcze dopłacę! A wszystko przez tynkarzy, którzy zwodzili od ponad miesiąca i koniec końców zlał mnie ciepłym moczem. A znalezienie innej ekipy w chwili obecnej graniczy z cudem, najbliższe wolne terminy za miesiąc, dwa. Tynkowanie blokuje dalsze prace, a tym samym wprowadzenie się i koniec koczownictwa.

Wczoraj uzmysłowiłem sobie, że jestem jak Phileas Fogg, angielski dżentelmen, który postanowił objechać świat w 80 dni. Moje wyzwanie to wyremontować dogłębnie stary warmiński dom

w niecałe 3 miesiące, nie bankrutując przy tym. To pierwsze może mi się nie udać, a drugie, z dużym prawdopodobieństwem niestety tak. Dzisiaj o świcie, w gaciach i gumiakach, otoczony wianuszkiem kur, stanąłem przed moim nowym domem, a on błyszczał w promieniach wstającego słońca. Pomyślałem: wczoraj był zły dzień, dzisiaj będzie dobry, dam radę, nie poddam się. Kiedyś, po wielu, wielu latach pewnie będę z sentymentem wspominać tę lipcowo-sierpniowo-wrześniową kampanię Roku Pańskiego 2016.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

2 września

Wieści z Gdańska

Wybraliśmy najlepszą klinikę w Olsztynie, później najlepszą rehabilitantkę, wydawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze. Ciągłe gdzieś w moim sercu jest ziarenko żalu do samej siebie, że w ten paskudny dzień nie zostawiłam Kudła z chorym Wojtkiem, tylko zabrałam go z sobą, żal też czuję do weterynarzy.

Ten w Górowie zbagatelizował zdarcie naskórka na chorej nodze, twierdząc że mam się nie niepokoić, bo pies sobie łapę wylizze. W Olsztynie skupili się na wydaniu diagnozy, i polecili rehabilitację. A pani z rehabilitacji skupiła się na gimnastyce nogi, nie bacząc na coraz większą ranę.

Ta rana na tyle mnie niepokoiła, że zdecydowałam się wsiąść w auto i przyjechać do Gdańska. W klinice w Gdyni spędziliśmy ponad godzinę. Tyle czasu poświęcił doktor Brzeski naszemu Kudłkowi. Gdybym trafiła do niego w pierwszej dobie zdecydowałaby się na operację, bo takie zabiegi się wykonuje. Teraz jest już za późno. Prawdą jest, że pies jest w stanie wylizać łapę, ale tylko wtedy, kiedy nie są uszkodzone nerwy. Kiedy pies przestaje czuć własną nogę jest w stanie ją uszkodzić włącznie z jej odgryzieniem. Stąd to lizanie i wygryzanie sierści.

– Bardzo mnie niepokoi ta rana – powiedział doktor Brzeski.

Zostaję w Gdańsku co najmniej siedem dni, bo tyle trwa kurażcja zastrzykami, którą Kudeł powinien otrzymać już tam w Olsztynie. Jest możliwość spróbowania wyleczenia rany innowacyjną metodą leczenia komórkami macierzystymi. Koszt to 1800 zł. Jeżeli zdecyduję się na takie działanie, nie wystarczy mi pieniędzy na rehabilitację, że nie wspomnę o kosztach ewentualnej amputacji nogi i kosztach związanych z codziennymi wizytami w klinice.

Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że człowiek staje przed takimi wyborami. Tak, tak, pieniądze szczęścia nie dają. Nie pociesza mnie fakt, że takich ludzi są tysiące, raczej mnie to smuci. Wiem też, że niektórzy nie rozumieją. Kudeł jest członkiem naszej rodziny, kiedy on cierpi, cierpię i ja.



3 września

Hiob. Mówcie do mnie Hiob.

Wczoraj zaświtało światełko nadziei. Majstrowi udało się pożyczyć agregat do tynków i skompletować ekipę. Przyjechali dzisiaj skoro świt i ze śpiewem na ustach (Hej ho! Hej ho! Do tynkowania by się szło!) rozłożyli maszynę, podłączyli doń prąd i wodę, wcisnęli zielony guzik i... zawarczało, zazgrzytało, zabuczało, podskoczyło, sypnęło iskrami i umarło.

– Urwa! Urwa! Urwa! – zaklął naczelny tynkarz. – Ja pierd*. – Ja pierd* – zawtórował mu jego pomagier.

Łatali wkoło, ciągalili za wajchy, wciskali guziki, a maszyna zgrzytała, pluła iskrami i raz po razie oddawała ducha. Boże, dlaczego tak mnie doświadczasz??? Cóżem ci uczynił??

67 (i ½) dzień na bezludnej wyspie. Mówcie do mnie raczej Robinson. Tak, czasem czuję się tutaj jak Robinson Crusoe na bezludnej wyspie. Dni mijają leniwie, przesiaduję albo w mojej szalupie (żółwik, w którym jest radiostacja), albo pod daszkiem, przy stoliku, tudzież w szopie kuchennej, albo leżakuję w namiocie. Czasem stanę na górcie i wyglądam czy w oddali nie bieli się

żagiel wieszczący ratunek. Rano wylądowała trójka, mieli nieść pomoc, polegli. Teraz sami tęsknie wyglądają pomocy. Naiwni, bo ta szybko nie nadejdzie.

Zresztą mam wszystko co mi potrzebne do życia, jedzenie, schronienie przed zimnem i deszczem. Jak robi się chłodniej obsypię namiot słomą aż po czubek. Będę wpełzać do niego jak do igloo. W środku mam piecyk, wygodny materac, stoliczek, nocną lampkę, parę książek, tablet, który robi za telewizorek. Na tranzystorowym radiu czasem udaje mi się złapać jakieś odległe stacje, przemawia do mnie coraz mniej zrozumiały i zatracony świat.

Podniosłem się z upadku, umyłem górę zaskorupałych naczyń, ogarnąłem kuchnię, ogoliłem się. Opanował mnie stoicki spokój. Siedzę i rozmawiam z kurami. One są szczęśliwe. Łasi się kot. Latają motylki. Czasem niebo przetnie ptak. Wieczorem rozpalę ognisko. Jest dobrze.

4 września

To już trwa tak długo

Siedzę w żółwiu, na zewnątrz pada deszcz nieustający. Nastrój więcej niż kaprawy. Utknąłem na tynkarskiej rafie, dziesięć metrów od domu, w którym tak bardzo chciałbym zamieszkać. Życ ponownie jak człowiek, mieć nad głową sufit, wkoło cztery ściany, krzesło, kanapę, łóżko, wannę albo choćby prysznic. Co pewien czas dopada mnie agorafobia. Chowam się wtedy w namiocie, przykrywam kołdrą po czubek głowy.

Kury zadokowały się w kurniku, im też nie chce się moknąć. Przez środek podwórka płynie strumyk, droga dojazdowa zamieniła się w gliniankę. Bałagan. Nic się nie chce. Dopadają demony.

Wiem, dam radę, będzie dobrze. Niech tylko przestanie padać, i niech ktoś otynkuje mi ściany, jakkolwiek, albo zrobię to sam. A jak się już odkuję, to kupię agregat tynkarski i będę tłukł kasę, zwodząc naiwnych. A co!

Nerwy

Straszne nerwy. Nerwy napięte do granic możliwości, mimo że niespotykam spokojny człowiek. Przyjechali rano, wtargali agregat, oddaliłem się, nie wytrzymałem napięcia, nie chciałem zapeszyć, nasłuchiwałem czujnie z żółwika. A oni ostro dyskutowali, latali w tę i we w tę, uruchamiali, gasili, i znów uruchamiali, a ja drżałem jak osika, trzymając kciuki, na nogach też.

Gdy praca agregatu stała się ciągła (ach, co za piękna to muzyka!) poszedłem zobaczyć jak idzie. Majster szprycował sypialnię, pomagierey uwijały się w ukropie karmiąc żarłoczną maszynę. Worek po worku moje pieniądze rozchlapwały się na ścianach. Wycofałem się na palcach uspokojony. Zrobiłem sobie kawę i już miałem coś podłubać w bitach i bajtach, gdy nastała złowroga cisza, agregat zamilkł, a chwilę później posypały się ...uje, ...urwy i ...erdoie. – Matko Boska Gietrzwałdzka! – wyszeptałem (Warmia to teren jej działania) – ratuj!

Po chwili agregat zagdakał, chwilę powarczał i znowu ...uje, ...urwy i ...erdoie. Nie wytrzymałem, pogałem, a tam Armagedon. Cement sika na wszystkie strony (rura wyskakuje z uchwytu), Majster z obłędem w oczach dwoi się i troi, pomocniczy szarzy na twarzach, bynajmniej nie od cementu.

– Ja wiedziałem, że tak będzie – zaszlochałem w środku – ja wiedziałem.

Na miękkich nogach dopełzłem do żółwia, zrezygnowany opadłem w fotel. Jak Stańczyk tylko nieco bardziej hmm... puszysty. Ale majstry sytuację opanowali. Rurę poskromili. Teraz szykują się do szprycowania salonu i jadalnio-kuchni. Do zachodu słońca jeszcze daleko, może się wydarzyć wszystko, stay tuned.

Jak tu nie zakochać się

– Nie chwał dnia przed zachodem słońca – skomentował wczoraj Waldek K. No i wykrakał, słońce obleczone w czerwienie zanurzało się w las, gdy nastała złowroga cisza, a po niej syknęło obficie ...urwami, ...ujami i ...erdolami. Gdy przewaliła się pierwsza fala łaciny budowlanej, poszedłem zobaczyć co się stało. Podobnie agregat zadławił się, strzelił iskrami, wypuścił dwa kółka z dymu i zdechł. – No i w pizdu, wylądował, i cały misterny plan też w pizdu – skwitował mój wewnętrzny Siara Siarzewski.

Począłem zrezygnowany do żółwia. Niechybnie jakieś fatum wisi nade mną, kara za popełnione grzechy, sprzysiężenie sił zła i ciemności. Mur (nieotynkowany) nie do przebiccia. No cóż, zamieszkać w cegle, Krzyżacy dali radę, dam i ja. Ponad dwie godziny szarpali agregatem, młotkami obstukiwali, bebechy rozkręcali, aż... odpalili. Cud! Ciemność już dawno zapadła, a oni przy świeczkach szprycowali i szprycowali, aż sam nie wiem kiedy skończyli, bom zasnął.

O świetle wypełzłem, gumofilce wdziałem i w samych majciach (nie próbujcie tego robić w mieście!) i polarze poszedłem zobaczyć efekt ich pracy. Wyszprycowali wszystko jak się patrzy. Wpadłem do ich przyczepy chcąc po rękach całować, a tu pusto.

– Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim, Moja droga ekipo, tym zniknięciem swoim! – wyrzekłem. Ale agregat stał, narzędzia stały, tylko auta i ludzi brak. Ufo? Trójkąt bermudzko-górowiecki? Wlażłem więc na górkę błagalną (prawy kraniec mojej hacjendy), a stamtąd rozpostarł się widok cudnej urody, który żem dla was uwiecznił. Jak tu nie zakochać się w tym miejscu? Jak nie znosić dlań tych wszystkich emocji i upokorzeń? No jak?

Rozbitek

Dzisiaj dzień wytchnienia. Majster pokłócił się wczoraj z pomocnikami i sam, do pierwszej w nocy, kończył zacierać tynki w sypialni i łazience. Pojechał więc szukać innych. Sypialnia obсыcha, za parę dni będę mógł porzucić namiot.

Czuję się jak rozbitek na tratwie, który zobaczył na horyzoncie ląd. W serce wstąpiła nadzieja, widać już zielone palmy, złotą kreskę plaży, słyszać ptaki, a na brzegu czeka powitalne stadko czekoladowych gibkich dziewcząt z kwiatami we włosach. Oby tylko w krzakach nie kryli się jacyś ludożercy, a ów nadobny komitet powitalny nie poprowadził mnie do kotła, pod którym rozpalono ogień. Przyzwyczaiłem się do spania w namiocie. Choć nie ukrywam, że poranki są ciężkie, za żadne skarby nie chce się wyściubić nosa spod ciepłej kołdry, bo na zewnątrz mokro, zimno i ciemnowo. Musi minąć parę godzin, aby wrześniowe słońce (z coraz większym trudem) podniosło temperaturę do przyzwoitych 20 stopni.

Tak, lato nieuchronnie zmierza ku końcowi. Bociany już dawno odleciały, żurawie jeszcze się ociągają. Nastaną dni zimne i ciemne, dni ciche i pełne. Wieczory spędzane przy kominku, z dobrą książką i nalewką bądź winem własnej roboty. Na ścianach powieszę moje trzy stare zegary. Jeden z nich ma prawie sto lat, pochodzi z hamburskiej amerykańskiej fabryki zegarów (HAU). Wygląda przepięknie, godziny i połówki wybija na ciepło i głęboko brzmiącym czterostrunowym gongu. A co najważniejsze spowalnia czas. Nie wierzycie? Parę razy złapałem się na tym, licząc jego uderzenia, że było wcześniej niż sądziłem. Myślałem, że to już dwudziesta, a była dopiero osiemnasta.

Więc jeżeli chcecie, aby wasz czas płynął wolniej, tak jak kiedyś ludziom na ziemi, zanim nastały wariackie czasy, to powieście u siebie taki stary zegar w dębowej skrzyni z mosiężnym werkiem. Czasospowolnienie gwarantowane. Bo czymże jest czas? Czy da się go spowolnić, a nawet odwrócić jego bieg? Jest jednym z wymiarów czasoprzestrzeni, spowalnia go grawitacja, zwalnia gdy prędkość zmierza do prędkości światła, i nie ma w tym żadnej

magii, to po prostu fizyka wyrażona w języku tego, co poruszył pierwsze wahadło, w matematycznych wzorach. Koniec filozofowania, pora zjeść śniadanie!

9 września

Wojna z kurami

Odcięło mnie od sieci. Zamilkła moja żółwikowa radiostacja. Zaprawdę powiadam wam dziwny to stan. Widocznie plejowcy znowu wleźli na maszt w Górowie i coś grzebią. To już drugi raz w ciągu tygodnia. Nie mam siły dzwonić na ich infolinię (oferta-promocje-wyberz-jeden-informacje-techniczne-wyberz-dwa-w-trosce-o-państwa-bezpieczeństwo...) i udowadniać, że nie jestem głąbem. Żar wrześniowy z nieba się lał, otworzyłem sobie zimne piwo i dumałem patrząc na moją wyspę bezludną. Kury dziobały podwórko, kot o imieniu Nonejm polegiwał w piasku, żurawie kłóciły się o coś zawzięcie. Cisza, spokój, brak akcji, krowa, koń, droga na Górowo.

Szczerze mówiąc to wkurzają mnie te kury. Pożytku z nich żadnego, jajek jak nie było tak nie ma. Chodzą tylko, drą ryja... pardon dzioby, zwłaszcza ruda, i co gorsza srają na potęgę. Idzie sobie taka, dziobnie coś tam w ziemi, przystaje i bez skrupowania wyrzuca tylnym otworem śmierdzącą zawartość, gdzie popadnie. Dzisiaj obsrały mi moje spodenki nieopatrznie położone. A czy mnie do cholery nie stać na jajka?

12 września

Armagedon

Otto von Bismarck mówił, że szary obywatel nie powinien wiedzieć jak robi się kiełbasę i politykę, ja od siebie dodam, że także tynki. Staram się zachować spokój. Tak, jestem spokojny, jestem kur... kurka blaszka motyla noga bardzo spokojny. Mieli skończyć wczoraj wieczorem, ale jest ich dwóch – jeden tynkarz i młodziutki pomocnik. No i po raz drugi zabrakło materiału, a we wszyst-

kich okolicznych składach nie ma. Super. Jestem spokojny, bardzo spokojny, orzeszku... !

[...Tu nastąpiła przerwa w przelewaniu myśli potarganych na wirtualny papier. Rozdzwonił się telefon, znalazł się materiał (Dzięki Szymon!) i pogałem moim wysłużonym volvo po 300 kg worków z zaprawą. Gdyby mój ojciec, poprzedni właściciel naszej rodzinnej limuzyny, widział co ja wożę tym biednym volvo, to by mnie przeświadczył. ...]

Nowa ekipa przyjechała w piątek wieczorem, do późnej nocy szykowała wnętrze. Pomyślałem, że być może fatum, które zawisło nad tym domem, ustąpiło. W sobotę rano zaczęli dziwnie krążyć koło domu, z głowami spuszczonej w dół, przetrząsali śmiecie i gruz, grzebali w trawie. Spytałem czego szukają. Mieszadła szukała, padła odpowiedź. Bez niego mogą sobie co najwyżej pomieszać łyżeczką w kawie. Szukali i szukali, a czas mijał. I znowu leciały ...urwy i ...uje. Niczym Budda, przepełniony boskim spokojem, medytowałem pod daszkiem, przy stodole, i jak mantrę powtarzałem: jestem spokojny, jestem spokojny, jestem spokojny. Kot Nołnejm obracał młynkiem modlitewnym.

Kiedy znaleźli mieszadło, albo czymś je zastąpili, bo nie mogłem się tego od nich dowiedzieć, okazało się, że dodatkowy zamówiony cement zaginął wraz z kierowcą w trójkącie bermudzkim, gdzieś pomiędzy Lidzbarkiem a Górowem. Na szczęście dzięki pomocy Szymona udało się go zlokalizować i nakierować na cel. Tego co było potem nie będę opisywać, bo zapisałbym parę stron. Niech za puentę, kodę, kropkę nad i posłuży refren z jednej znanej już pewnie niewielu piosenki Młynarskiego: *Ha ha ha ha ha ha ha ha!!! Co to się działo, co się działo! Uzdrowiska pół ze śmiechu się skrecało....*

PS Mieli skończyć wczoraj wieczorem, do 21.00. Pracowali do 3.00 w nocy i robią dalej. W środku Armagedon, lecą ...urwy i ...uje, dolatuje patriotyczny rap, a oni wyglądają jak młynarze. Otto von Bismarck zabronił zaglądać, więc siedzę w żółciu i powtarzam: jestem spokojny, jestem spokojny, jestem...

Pieć

Armagedon to słabo powiedziane – stwierdził wczoraj mocno wku* majster. Zastanawiam się, które to bóstwo tak się zawzięło. Jedynym sposobem jest chyba złożenie krwawej ofiary. Najpierw zarżnę wszystkie kury, potem koguta, a jak nie pomoże to i kota, a potem buchnę sąsiadowi jałówkę, albo nawet nawet dwie z pola. Zrobię stos z drewna na podwórku i podpalę, tańcząc wkoło w dance macabre.

Wczoraj około południa przyjechał wesolutki szef tynkarzy. Odłączył się od ajfona, przyglądał wyżełowaną fryzkę, poprawił modny T-szercik (koniecznie z kołnierzykiem postawionym na sztorc) i w podskokach, coby nie ubrudzić modnych bucików, wniknął do domu. Uśmiech odkleił mu się od twarzy i utonął w półmetrowym cementowym bagnie, jakie zalegało na wylewce. Spojrzał na ściany i zaczął mamrotać, że gdyby on wiedział, że to stary ceglany dom, to w życiu by się pracy nie podjął. A ja na to, że przecież widziały gały, a raczej słyszały uszy co brały, w końcu majster dokładnie przedstawił jak jest i jak ma być.

Jęczał, że strasznie dużo materiału musi iść, że cegły wystają, że rąbek od spódnicy, że itede itepe i takie tam. Wydziargany tynkarz patriota rzucił ...urwami i opier... ten-tego-teges pomocnika młynarczyka. Pokazałem szefowi ściany chropowate, poryte jak powierzchnia księżycy i spytałem czy tak pozostanie. Nie, nie, szanowny panie, my jesteśmy rzetelna-firma-szybko-fachowo-tanio-super-jakość, to się zaraz wygładzi, będzie cacy glacy, bo my nie byle jacy. OK, powiedziałem i odwróciłem się na pięcie. Postanowiłem nie zbliżać się do domu, aż do czasu gdy przyjedzie majster. Szefuńcio przebrał się w robocze łachy i rzucił się do pomocy swoim, pozał się Boże, fachowcom. Ucihła raperska patriotyczna oenerowa muza, stukali, pukali, co pewien czas mruczał agregat. O 21.00 przyjechał majster z silną drużyną i rozpetęło się pieć.

Wyplakałam milion łez

Nie wiem jak zacząć. Trudno się porządkuje myśli. Trudno pogodzić mi się z tym, że... bardzo boli... że... Kudełek nie ma już nogi. A może powinnam napisać: Kudełek ma trzy łapy, bo przecież wszystko zależy jak się na to patrzy? Operacja amputacji miała miejsce wczoraj rano. Dlaczego nie umiałam o tym napisać, kiedy było wiadome, że to nieuchronne? Dlaczego nie napisałam, choćby prywatnie osobom, które wspomogły naszą walkę o uratowanie łapy? Nie byłam w stanie. Musiałam to najpierw sama poukładać w sobie. Najpierw sama musiałam wyplakać milion łez w poduszkę.

– Zrobiła pani wszystko co było można, my zrobiliśmy wszystko, dalsza walka będzie tylko naciąganiem Pani na pieniądze – powiedział doktor Brzeski z kliniki w Gdyni. – Mogę podawać różne lekarstwa, które nie pomogą. Będziemy przeciągać, Kudełek będzie się męczył i stresował. Amputować łapę czy czekać?

To nie była łatwa decyzja. Co pomogło mi w jej podjęciu?

Wiele lat temu, u mego schorowanego ojca, po raku krtani pojawiła się miażdżyca. Lekarze zalecali amputację nogi do kolana. Tata jeździł już na wózku, ale mimo to nie zgodził się. Często o tym rozmawialiśmy.

– Musisz sam zdecydować, ja nie mogę za Ciebie podjąć takiej decyzji – mówiłam. Kiedy trafił do szpitala, godząc się na wszystko, było już za późno. Czasami myślę, że może wtedy, gdyby od razu się zgodził, może gdybym go namówiła, żyłby i uśmiechał się i pokazywał gestem dłoni jaki jest ze mnie dumny. Może siedziałby teraz u nas na wsi i poznał Wojtka. Patrzyłby na te wszystkie nowe technologie podłączania wody, to był jego zawód.

Operacja Kudełka była bardzo poważna. W Klinice został całą dobę. Lekarz prowadzący, dr Brzeski, dzwonił do mnie dwa razy – po operacji i późnym wieczorem, z informacją, że Kudełek był na krótkim spacerze. Moi kochani, kiedy wszystkie emocje opa-

dły i minął strach o przeżycie Kudełka, kiedy jest już z nami, wytłumaczyłam sobie, że ważniejsze jest to, że go znalazłam, że nie kładę się do łóżka z myślą, że nie wiem co się z nim dzieje, jakie nieszczęścia go doświadczają. Jeżeli Kudełek nie będzie sobie radził na trzech łapach, pojedziemy do Łodzi po protezę. Jednak na razie chcę mu tego oszczędzić. Codzienne jazdy, zastrzyki, rehabilitacje bardzo mocno go stresowały. Doszło do tego, że kiedy tylko wysiadał z auta przed kliniką, trząsał się jak osika.

Długo zastanawiałam się jak odwdzińczyć się wszystkim osobom, które nam pomogły. Na początku pomyślałam, że może zrobić coś własnoręcznie. Jednak nie mam teraz ani na to czasu, ani warunków. Pomyślałam więc, że byłoby nam miło gościć te osoby w przyszłym roku na przykład na weekend. Warunków nie mamy żadnych. Spanie na poddaszu, na materacach, jednak myślę sobie, że piękna okolica zrekompensuje niedogodności. Proszę tego nie odbierać jak grzecznościowego zaproszenia. Byłaby możliwość posiedzenia przy ognisku, pogłaskania Kudełka za uchem, porozmawiania o rzeczach ważnych, ale też i tych mało istotnych. Kochani, nie ma we mnie już łez, nie napiszę, że ponieśliśmy porażkę. Udało się i to dzięki wam.

Coraz częściej myślę o uratowaniu jednego, może dwóch psów. Blokuje mnie jedynie myśl, że biorę odpowiedzialność za psie życie, a nie spełniam odpowiednich warunków. Nie wiem, może w przyszłym roku uda nam się ogrodzić jakąś część terenu. Teraz walczymy o to, żeby przed jesienią wprowadzić się do domu, to znaczy Wojtek walczy, bo ja jestem w Gdańsku.

Na koniec chciałabym podziękować doktorowi Brzeskiemu z Gdyńskiej Kliniki Weterynaryjnej. niesamowity człowiek o ogromnym sercu. Kudełek miał tam zapewnioną bardzo dobrą opiekę. Wiem, że to on w przyszłości będzie leczył nasze zwierzęta. I jeszcze jedna refleksja. Siła Internetu jest porażająca, w dobie kiedy człowiek człowiekowi jest wilkiem, spotykam na swej wyboistej drodze ludzi o wielkich sercach.



Dzień osiemdziesiąty

Gdybym pojutrze wprowadził się do domu (a jest taka szansa, sypialnia jest z grubsza gotowa) to moja bezdomność, to moje wygnanie, to namiotowe koczownictwo, zamknęłoby się równo w osiemdziesięciu dniach. Gdybym zdecydował się wydać broszurkę (bo na książkę za mało), to mógłbym jej nadać zgrabny tytuł: „Osiemdziesiąt dni dookoła domu”. Aczkolwiek Sławek namawia mnie, abym dociągnął do początków października, stuknęłoby wtedy równe sto dni – „100 dni na wygnaniu” albo „100 dni bezdomności” albo hmm... Ale jak mawiał imć Onufry Zagłoba herbu Wczele, ad rem Mości Panowie! Ad rem! Odwieśmy więc suspens i wróćmy do tego, co wydarzyło się dnia 12 września o godzinie 21.00.

Było już ciemno, choć mrok rozpraszała pyzata twarz księżyc. Zamilkły ptaki i świerszcze. Od strony pola nadciągała zimna mgła. W oddali złowrogo czekały psy, w lesie coś zawył, jakby wilk, a może wilkołak? Majstrowa ekipa wydobyła z bagażnika bejsbole i wpadła do środka. Stop! No dobra, aż tak dramatycznie nie było ;-). Wpadli, a po chwili usłyszałem: „co to k* jest! No ja p* Czegoś takiego* Panie!* Taki burdel* w życiu nie zapłacę* nie do pomyślenia!, and so on. W oknach pogrążonego w mroku domu błyskały komórkowe latarki. Czekałem aż drzwiami, albo nie daj Boże oknami, zaczną wypadać nogi, ręce, korpusy, tudzież głowy. Do krwawych scen jednak nie doszło, ale szef dzierganego, sam dziergany i jego młodziutki pomocnik, wypadli w podskokach, wskoczyli do auta i z piskiem opon ewakuowali się drogą na Górówo.

Zebrałem się w sobie i poszedłem zobaczyć. Fakt, mimo iż żaden ze mnie budowlaniec, to czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem. Ściany krzywe, nierówne, poorane, jakby dziecko bawiło się kielnią. Nowe wylewki całe zapaprane toną zasychającą zaprawą. Jednym słowem brud smród i ubóstwo. Majster roztrzęsiony, nabuzowany adrenaliną, krzyczał, że do sądu ich zaciągnie. Przez dwie długie godziny, klnąc niczym szewcy, w świetle latarek sprzętali stajnię Augiasza. Następnego dnia majster wraz z pomocnikiem

starali się uratować to co możliwe było do uratowania. Drapali, szlifowali, i co chwila taczką wywozili kilogramy zmarnowanego materiału. Uzbierało się tego z pół palety. Dzisiaj rano popijam kawę w żółtym, a tu zajeżdża majster, a wraz z nim dziergany tynkarz, sprawca tego całego bałaganu.

15 września

Alleluja i do przodu!

Dziergany, z opuszczoną głową, pobrzękując kajdanami, ciągnąc za sobą wielką, żelazną kulę, karnie pomaszerował do skrzywdzonego starego domu. – Naprawi co zepsuł, już ja zgotuję mu pokutę – powiedział majster, i aby podkreślić wagę słów, efektownie strzelił dzierzonym w prawej ręce skórzanym biczem. Cały dzień stukali, chlapali, drapali, szlifowali. Kąty stawały się proste, chropowate, pomarszczone i poryte wygładzało się. Dziergany smutną miał twarz, widać dąsał się jeszcze, momentami wychodziła z niego dawna buta, ale majster temperował go, nie musząc nawet używać bicia. Do dzierganego zaczynało docierać, iż wiele się jeszcze może nauczyć od mistrza.

– No i co? Nie da się? Jak się chce to wszystko się da! – powiedział dzisiaj majster chwając poprawioną przez czeladnika kuchenną ścianę. Dziergany po raz pierwszy od dwóch dni uśmiechnął się, i był to, zaprawdę powiadam wam, uśmiech szczerzy i szczęśliwy. Odetchnąłem i ja, bo w moim skołatanim sercu zaświtała po raz pierwszy nadzieja, iż już za momencik, już za chwileczkę, opuszczę mą koczowniczą jurkę i spędzę pierwszą noc pod dachem. Na co notabene najwyższa już pora, bo członki mi dzisiejszego rana nieźle podmarzły.

Czas wracać

Mój pobyt w Gdańsku dobiega końca, jeszcze tylko późnym popołudniem pojedziemy do doktora Brzeskiego na zmianę opatrunku, jeszcze tylko syn zapakuje do bagażnika parę drobiazgów, które zabieram z wynajmowanego mieszkania. W sobotę, skoro świt, wsiadam w żabkę i wracam do domu. Mimo wielu emocji był to piękny czas. Wypoczęłam, pozwoliłam synowi zadbać o mnie, nie musiałam gotować obiadów ani sprzątać. Odpoczywaj, powtarzał, a ja go słuchałam. Tylko raz poprosił mnie o zrobienie wątróbki drobiowej, bo podobno potrafię zrobić tak, żeby się nie rozwalała.

A pamiętacie jak bardzo martwiłam się, czy sobie poradzi? Mimo że czas był piękny i zapewne polecą łzy przy pożegnaniu – cieszę się, że już wracam. Tęsknię już za domem i za Wojtkiem. Nie ukrywam, zmęczyło mnie to lato. Kiedy zmęczenie sięgało zenitu, zastanawiałam się czy dobrze zrobiłam, czy o takie życie mi chodziło. Wystarczyło odpocząć, żeby rozwiały się wszystkie wątpliwości. Teraz już nie mogę doczekać się chwili, kiedy stanę na podwórku i popatrzę ile jeszcze jest do zrobienia.

Przed nami kolejny etap. Prace Adama dobiegają końca. Nie, dom nie jest skończony, to nam skończyły się pieniądze. Zresztą takie było założenie. Adam robi dół. Góra pozostaje na przyszłość trudną do określenia. Co nam się nie udało? Nie udało się zrobić i wyposażyć kuchni. Pieniądze przeznaczone na ten cel połknęły fundamenty i wieniec. W sobotę przeprowadzamy się do pokoju, który będzie naszą sypialnią. Adam w tym czasie będzie robił łazienkę, na którą wszystko zostało wcześniej kupione. Jest to jedyne pomieszczenie, które zostanie zrobione w całości. Oboje z Wojtkiem mamy bzika na punkcie wanny. Jest już nawet sporządzony grafik. Wojtek leży w wannie od rana do południa, ja od południa do wieczora :-)

Przez te kilkadziesiąt dni budowy, Adam to jedyny człowiek, któremu nie mam nic do zarzucenia. Jest pracowity, dokładny,

buduje tak jakby robił to dla siebie, i to nie jest tylko moje zdanie. Zastanawialiśmy się jakbyśmy mogli mu pomóc. Nie możemy mu zapłacić więcej, dlatego postanowiliśmy, że w prezencie Wojtek zrobi mu stronę internetową. Myślę, że ten człowiek swoją postawą zasłużył na taki prezent, a jeśli więcej ludzi się o nim dowie to korzyści będą obopólne.

A co z kuchnią, zapytacie? Jakiś czas temu od Jurka, tego od kparki, za 150 zł kupiliśmy stary kredens, który wymaga renowacji. Do tego będą wybudowane murki z czerwonej cegły, na to pójdzie blat i będzie kuchnia. Od Beaty i Arka z Pupek dostaniemy krzesła, więc będzie na czym siedzieć. Zapewniam was, moi kochani, że nie marmury i drogie meble z katalogów powodują, że człowiek jest szczęśliwy. Szczęście to spotykać na swej drodze ludzi dobrych, przepełnionych empatią.



OSADNICTWO



18 września

Koniec koczownictwa

Trwało ono, bagatela, 81 dni. 28 czerwca roku pamiętnego rozbiłem na górcie koło domu namiot, który odtąd miał być naszym domem, maksymalnie do końca sierpnia. Z powodu niesolidnych tynkarzy koczownictwo przedłużyło się o 17 dni, ale to podobno żadna obsuwa w branży budowlanej. Przez pierwsze dni panowały upały, miejsce na górcie, gdzie zawsze wiał delikatny zefirek, było idealne. Z zimnym piwkiem polegiwałem w wielkiej gumowej wannie, kontemplując z góry hacjendę. Urlop, wreszcie wymarzony od lat urlop. Było pięknie.

Niestety, wraz z nadejściem lipca sielanka się skończyła, nastały monsunowe deszcze, zimnica straszliwa, huraganowe wiatry. Namiot i chiński baldachim przymocowałem do podłoża setką want, rzuciłem dwie kotwice, a w najgorszych momentach, idąc halsem, gdy żagiel kładł się na wodę, znaczy wściekły huragan rozgniał namiot, uczepony rurek wrzeszczałem w stronę niebios, że nie pokonasz mnie Neptunie! Niestety pokonał. Zlał kilometrami sześciennymi wody, przy okazji zalewając doszczętnie Gdańsk, i pokonał. Załoga się zbuntowała, zrąbała maszty i chcąc nie chcąc musiałem cofnąć się na z góry upatrzone pozycje, czyli do zacisznej starej stodoły. I to była słuszna decyzja, bo patrząc teraz z perspektywy czasu, nie dałoby się koczować na tym Mount Evereście.

Wczoraj majster Adam skończył rychtować sypialnię. Pozostało jeszcze, co prawda, parę spraw do dokończenia, ale to drobny retusz. Na podłodze nic jeszcze nie ma, ściany będzie można pomalować za miesiąc, dwa, jak obeschną tynki, nie działa ogrzewanie. Z palet i ze styropianu zrobiliśmy łóżka. Zaiste dziwnie mi się spało w tą pierwszą noc. Czułem się jakbym leżał na katafalku, tak wysoko. Sufit też strasznie wysoko nad głową, ściany daleko. O matko i córko! Czyżbym przez te miesiące koczownictwa naba-

wił się jednak agorafobii? Po drugie ta cisza. Stara stodoła tętniła w nocy życiem. Harcowały myszy i inne niezidentyfikowane stworzy (pokemony?). Nie ryczały krowy, o świcie nie odezwał się kogut Edward. To dopiero mały przyczółek, ale nie damy się już stąd wyrzucić, no chyba że przylezie komornik, tfu tfu! Nie ma łazienki, duży pokój niedotynkowany, niegotowa kuchnia, nie ma pieca, ale kroczek po krocжку odbuduje się to życie, poskłada z klocków, powróci normalność.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

18 września

Pozytywnie

Wróciłam. I znowu tu jesteście. Wojtek, Kudełek i ja. Wszystko wróciło do normy. Co zastałam po powrocie? Minimalistyczną, a może powinienam napisać „studencką” zawartość lodówki :-). Zarośnięty ogród. Uśmiech Wojtka i Adama. Miło było usłyszeć, że wszyscy się za mną stęsknili. Najpierw ich nakarmiłam, potem była kawa i rozmowy, którym nie było końca. Wieczorem przenieśliśmy się do domu. Dzisiaj rano, podczas rozmowy telefonicznej, Arek zapytał co mi się śniło. – Nic – odpowiedziałam – wstałam z ogromnym bólem głowy.

Ból głowy minął, dobry nastrój pozostał. Ja wiem, że przed nami jeszcze dużo pracy, ale dzisiaj jakoś tak pozytywnie na wszystko patrzę.



Urwy i uje

Powoli przyzwyczajam się do spania w łóżku. No może normalne łóżko to do końca nie jest, konstrukcja z dwóch palet, czterech styropianów i materaca, ale można na nim normalnie usiąść. Zaprawdę dziwne to uczucie i ciągle cieszę się jak dziecko, siedząc na krawędzi i majtając odnóżami. Wadą jest tylko to, że przy każdym ruchu skrzypi i trzeszczy niemiłosiernie. Ważne, że sufit nad głową wysoko, wokół normalne cztery ściany, dwa okna. Wiezorami jest ciepło i przytulnie, olejowy piecyk daje radę ogrzać pierwszą zamieszkaną izbę.

Przedwczoraj (w niedzielę) majster przywiózł rano dzierganego z pomocnikiem. Mieli poprawić to co spartolili poprzednio. Postanowiłem nie denerwować się i nie zaglądać do nich. Byłem tylko raz i spytałem, czy dadzą radę skończyć i czy posprzątają po sobie. – Oczywiście, będzie cacy, bo my tynkarze nie byle jacy – zawołali unisono. Helios kąpał swoje konie w Okeanosie, a oni nadal poprawiali, poprawiali i poprawiali w gęstniejącym z każdą sekundą mroku nocy wrześniowej. – Chyba noktowizory założyli – pomyślałem. Tuż przed 22 zrobiło się podejrzenie cicho. Przełamałem się i wypełzłem spod milutkiej, ciepłej puchowej kołdry. Zaglądam do salonu, a tu ani słyhu ani widu kwiatu tynkarstwa polskiego. Zapalam latarkę i ... – @\$#%!!! – klnę więcej niż szpetnie, co niestety musiałem wypipkać, bom człek kulturalny (jeszcze).

Replay sprzed tygodnia. Na podłodze bardak taki, że bez rakiet śnieżnych, a raczej cementowych, nie próbuj wchodzić, ściany pomazane gliną, bo tynkiem tego nazwać nie można. Pędzę do przyczepy, może poszli spać. Nie ma nikogo. Staję na podwórku, z oddali wiatr niesie coś jakby ich głosy, ale przecież po nocy nie będę za nimi gonił z widłami. Wczoraj pod wieczór przybywa majster z silną ekipą. Sypią się obficie ...urwy i ...uje. Do drugiej w nocy, w świetle halogenów, poprawiają po dzierganym i jego pomocniku. Zaczyna to jako tako wyglądać. Mija dwudziesty dzień mojej tynkarskiej epopei.

25 września

Komary

Dzisiaj uczyniłem kolejny krok w kierunku powrotu do cywilizacji – przeniósłem moje biuro z kampera żółwika do sypialni. Docelowo zamierzam urządzić sobie pracownię na poddaszu, ale to na razie odległa perspektywa. Osiemdziesiąt osiem dni służył mi wierny żółwik za mobilne biuro na kółkach. Przez pierwsze tygodnie na górze, chłostany lipcowymi monsunowymi deszczami, a potem koło kurnika. Obrósł chwastami niczym uwięziony na Morzu Sargassowym statek wodorostami. Od północnej strony pokryły go mchy i porosty. Pewnie już myśli, że przyjdzie mu tu dokończyć żywota, między kurnikiem a starą stodołą. Nie bój się biedaku, za parę dni odpalę cię i znów ruszymy w trasę.

Na szczęście to był czas kanikuły (mało pracy), bo gdy po porze deszczowej nastały wrześniowe upały, trudno było wytrwać w środku, gdy temperatura zaczynała przekraczać 30 stopni. Dały mi się też we znaki kury. Próbowaly wskakiwać mi do środka, a gdy je przepędzałem, złośliwie – bo inaczej tego nie mogę określić – odwracały się w moją stronę kuprami i oddawały armatni strzał czymś, co na perfumę nie wyglądało. Usilnie też starały się zaminować teren bitewny, tak abym poległ w guanie. A teraz fruwa koło mnie miliard komarów. Nie wiem czy dożyję rana.

28 września

Mimo że to nie Wigilia...

...Kudełek przemówił ludzkim głosem, a Piętaszek to spisał:

Doktor Brzeski podczas ściągania szwów powiedział mi, że mam dobrą Panią, że nie wszystkie psy mają tyle szczęścia co ja. Kiedy wracaliśmy z kliniki do domu, Pani całą drogę mi tłumaczyła, że to nie tylko jej zasługa. Wiele osób mnie kocha i wspiera. Nie wiem dlaczego, ale kiedy o tym mówi zawsze ociera łzy :-)

Kochane ludzie, nie martwcie się o mnie. Już nic mnie nie boli i nawet nie noszę tego okropnego kołnierza, który bardzo mi przeszkadzał. A najbardziej denerwowało mnie to, że Wojtek śmiał się i mówił, że wyglądam jak lampa.

Dzisiaj z Panią poszliśmy na dłuższy spacer, do Świątyni Dumania. Pani rozmyślała, a ja biegałem po łące jak dawniej. Kiedy wracaliśmy powiedziała mi, że w przyszłym roku będę miał kolegę albo koleżankę. To tajemnica i mam nie mówić Wojtkowi. Skoro tajemnica to milczę jak zakłęty głaz. Do zobaczenia na Warmii...

30 września

Kończy się wrzesień

Minęło prawie pół roku od kupna siedliska. Sam nie wiem kiedy ten czas zleciał. Jutro miną dwa tygodnie odkąd mieszkamy w domu. Jest na razie bardzo spartańsko, kuchnia nadal w szopie, ale nie od razu Kraków, a właściwie siedlisko wyremontowano. Mimo pewnych napięć w zeszłym tygodniu pomiędzy mną a majstrem, to i tak muszę przyznać, że praca idzie bardzo sprawnie, zwłaszcza od paru dni. Mamy już dwa kominy! Wczoraj uruchomiliśmy tymczasowo ustawiony kominek (docelowo zostanie obudowany kaflami ze starego pieca) i po salonie rozeszło się miłe ciepło. Siedzieliśmy całą ekipą na kanapie i styropianach, i patrzyliśmy w ogień. Trzaskało i buzowało aż miło! W świetle ledowych halogenów wirowały miliardy komarów, w sufit waliły łbami rozbudzone motyle i muchy, a my nuciliśmy harcerskie ogniskowe pieśni.

Z tymi komarami to jest coś dziwnego. Są ich miliardy. Roją się prawdopodobnie w piwnicy i przez najdrobniejsze szpary wciśkają się wszędzie. Powietrze aż huczy. Na nasze szczęście to jakaś wybrakowana partia. Niby mają wszystko na swoim miejscu, skrzydełka, łapy i ten szpikulec do katowania ciepłokrwistych, ale nie gryzą. Gdyby gryzły, to z piszącego te słowa zostałyby tylko nagie białe kości już po pierwszej nocy. Niemniej nie jest to miłe uczucie gdy człowiek, zakopany po uszy w kołdrę, stara się zasnąć,

a w nocnej ciszy, gdzieś koło ucha odzywa się cichutkie, nieśmiałe wampirze bzzzzzz...

Choć dochodzę do wniosku, że to są takie komarze dzieciaki, ćwiczą latanie i lada moment jak podrosną rzucą się bezlitośnie do pałaszowania żywcem nas, naczelnych... ...Auuu dziabnął mnie, widziałeś? Dziabnął mnie świnia! Auuu następny! Auuu! Mamusiu! Ratunku!!!!



Październik

1 października

To już niedługo

Jeszcze dzień, może dwa, góra trzy. Stoi tam, w nowej łazience, a dawnej kuchni, na tych swoich rachitycznych nóżkach, gotowa do podłączenia. Martwię się, czy aby te nóżki nie za cieniutkie, bo facet ze mnie słusznej postury (nawet za bardzo), a do tego ze 150 litrów wody. Majster uspokaja, że podłoży się pod nią twardy styropian, podmuruje wkoło, będzie OK, uspokaja, ma atest. Wody ciepłej w kranie nie będzie, wina Tuska ;-), póki się nie podłączy pieca. Ale co tam, nagrzej się wielki gar w szopie i taczka dotarga. Oj, zanurzę się w nią aż po czubek głowy i będę leżał, i leżał, i leżał, i leżał, aż między palcami wyrosną mi błony pławne, a płuca przemienią się w skrzela. A bo to prawie dwa lata jak nie brałem kąpieli waniennej. Najpierw nawaliła kanalizacja i trzeba było znacznie ograniczyć zużycie wody. Potem, w nowym wynajmowanym mieszkaniu była co prawda wanna, ale dla krasnoludków. Kiedyś w przypiływie rozpaczyci wcisnąłem się w nią, skończyło się na wizycie strażaków z nożycami do cięcia blachy. Od paru miesięcy zmuszony jestem do mycia się w misce, więc lepiej nie podchodzić do mnie od nawietrznej. Tak, brakuje mi wanny straszliwie. Ileż to miałem genialnych pomysłów pluskając i bawiąc się gumową kaczuszką i stateczkami che che. Ileż to razy wyskakiwałem krzycząc Eureka i biegłem nagusieńki do komputera, aby szybko zapisać rozwiązanie problemu, który mnie toczył. Na koniec, niczym Wenus wynurzę się z morskiej piany (pamiętać aby kupić płyn do kąpieli!), zstąpię z wrodzoną mi gracją na rozpostarty dywanik, ciało blade – żegnaj lato! – obetrę czyściutkim

ręczniczkiem, piżamkę w słoniki wzuję i poczuję się jak syn Zeusa i Leto, pięknołicy Apollo. Wow!

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

3 października

Kiedy minęło lato?

Patrzę przez brudne okna na otaczające pola spowite mgłą. Zastanawiam się kiedy minął wrzesień? Kiedy minęło lato? Czy moje życie na wsi tak teraz będzie wyglądało? Miało spowolnić, a ono przyspieszyło. Może jak uporamy się z remontem będzie inaczej. Tak, wtedy na pewno będzie inaczej. Miniony weekend spędziłam z Beatą i Arkiem w Pupkach obcując ze sztuką.

Obiecany termin wyremontowania domu na urodziny Wojtka, czyli na 11 października, jest nieosiągalny. Nie jest to wina naszego Adama, raczej brygady tynkarzy. Nie mamy tynków w sieni i pomieszczeniu gospodarczym, ale za to mamy piękny zielony piec. Co prawda jeszcze nie podłączony, ale to kwestia czasu. Podobno można palić w nim wszystkim, nawet owsem :-)

Mamy też położone kafelki w łazience. Długo walczyłam ze sobą, żeby kupić dwa dekory, które tworzą Pieroffa o smutnych oczach. Ponieważ „przystępność ceny” jest pojęciem względnym, dla mnie wydanie 90 zł na dwa kafelki to czysta fanaberia. Więcej ich nie będzie.

Zrezygnowałam z kwadratowego ceramicznego zlewozmywaka i wielu innych rzeczy. I z tego powodu nie jest mi ani źle, ani smutno. Drogie rzeczy nie są wykładnią szczęścia. Szczęściem dla mnie jest spotkanie fajnych ludzi, którzy dzielą się tym czym mają. Od Beaty i Arka dostaliśmy kominek, w którym już paliliśmy. Dostaliśmy też sześć krzeseł. Zaskoczył nas bardzo jeden z klientów Wojtka, który wysłał nam cztery „linki” do stołów ze swojego sklepu. Od Sławka, przyjaciela Wojtka, dostaliśmy blaty do kuch-

ni. Od mojej siostry starą lampę i masę pustych słoików, które w przyszłym roku bardzo mi się przydadzą. Bardzo wspierają nas rodzice Wojtka.

Tak, właśnie takie momenty powodują, że jestem szczęśliwa. Nie wiem, może gdybym miała 30 lat zależałoby mi na katalogowych wnętrzach, może wymuszałabym na Wojtku kupienie droższych kafelek. Mając pięćdziesiąt już nie chce mi się walczyć, zabiegać, remontować w nieskończoność. Teraz chciałabym pożyć. Tak po prostu cieszyć się, że urosła mi dynia, że pięknie wygląda dżem z cukinii zamknięty w słoiczkach na zimę. Patrzeć na kury jak chodzą po warzywniaku i skubią to tu, to tam. Czasami smuci mnie, że nie mogę kupić tylu drzew i krzewów ile bym chciała, ale i na to przyjdzie czas. Zapomniałam zupełnie. Do dużego pokoju kupiliśmy kanapę i dwa fotele za... całe 200 zł. Na jednym z siedzisk sofa jest lekko przetarta, ale jakie to ma znaczenie? Żadne.



4 października

Wściekać się?

Rano poszedłem na spacer z psem. Światło jest ostre, boczne, kontrastowe, rzeźbiące, jesienne. Przystanęłem pod wielką starą lipą, która rośnie przy wjeździe na siedlisko. Obsypała mnie złotymi liśćmi. Wyrzeźbiłem mój cień na polnej drodze. Gdyby pójść w lewo, to paręset metrów dalej jest dawne siedlisko Krzywców. Zostały z niego tylko resztki ścian i pozbawione szyb okna, a podobno był to kiedyś przepiękny dom. Starsza pani opowiadała, że ona, Krzywcowa, strasznie kochała swego męża, ale on był niezły hulaka, mając ją za nic, ale to temat na dłuższą opowieść.

Poszedłem w prawo, w stronę drogi na Paprocin. Tędy jeżdżę do Górowa, a nie przez Dwórzno, bo droga znacznie lepsza i krótsza. Pola zbrązowiwały. Zmęczona połogiem ziemia odpoczywała. Przydrożne drzewa ugiwały się od zimnego północnego wiatru, który strząsał z nich liście. Po Andrzejowym polu snuły się smętne krowy. Gdzieś w oddali jazgotał pies. Zimno, coraz zimniej.

Tydzień budowlany zaczyna się jak zwykle w środę. Wczoraj i dzisiaj przestój. Trzy kroki do przodu, dwa do tyłu. Na szczęście nie mieszkam już w namiocie, ale łazienki i kuchni nadal nie ma. Kominy niedokończone, piec wstawiony do kotłowni, ale nie podłączony. Wściekać się czy przyjmować to ze stoickim spokojem?

9 października

To stanie się dzisiaj wieczorem

Zrobię to po raz pierwszy, od tak dawna. Nie pamiętam już kiedy ostatnio to robiłem. A przecież taką przyjemność mi to sprawiało, zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że rozkosz. Czeka na mnie gotowa, jeszcze nie tknięta, niewinna, dziewicza. Czeka, aby przyjąć mnie, utulić, objąć, sprawić mi tą tak długo wyczekiwaną radość. Wczoraj jeszcze nie mogła, nie była w pełni gotowa, ale dzisiaj już tak, nic nie stoi na przeszkodzie. Wiem jak to się odbędzie. Marzyłem o tym przez ostatnie dwa lata. Nagrzeje wielki gar wody – piec jeszcze nie działa – doleję trochę zimnej, dodam płynu, sprawdzę (łokciem?) czy aby nie za gorąca. A wcześniej pozapalam świece, światła nie będę musiał gasić, bo jeszcze nie ma. Zapalę kadzidełka. Stanę przed nią i opadną ze mnie brudne łachy. Nie będę się wstydził mego czarnego jak święta ziemia ciała. Zrobię krok i powoli, powolutku, zanurzę się w nią. Na nocnym niebie rozbłyśnie miliard gwiazd, księżyc zawstydzony schowa się za chmurkę, świat przestanie się obracać. I złączymy się w jedność. Ona, moja wanna i ja. Na wieki wieków...

14 października

I stała się jasność

Wstałem przed piątą. Ciężko wypełznąć spod grubej puchowej kołdry, olejowy piecyk ledwo się wyrabia, piec jeszcze nie uruchomiony, majster kończy szykować kotłownię. Zapalam światło w salonie i kuchni, powtórzę jeszcze raz, zapalam światło w salonie i kuchni, bo jak pisał mistrz Tuwim: „Sterczy w ścianie taki

pstryczek, / Mały pstryczek-elektryczek, / Jak tym pstryczkiem zrobić pstryk, / To się widno robi w mig”.

Nawet nie wiecie, ile radości może sprawić taki pstryczek-elektryczek! Wczoraj skończyła się elektryfikacja siedliska. Epoka przedłużaczy i latarek odeszła w zapomnienie. Paweł wraz z Arkiem zamontowali rozdzielnię i nową instalacją popłynął prąd.

Przeganiam zdumione jasnością myszy, zza kuchennych statków spozierają na mnie wrogo, popiskują coś o niejakim królu Popielu, znacie? Już wkrótce czwórkami będziecie szli do mysiego nieba – mówię do nich. Zatrute ziarno pałaszują aż uszy im się trzęsą, a na niedobitki szykuje się desant kotów. Łapki nie zdają egzaminu. Piję kawę czytając elektroniczny żurnal. Coraz mniej rozumiem z tego co dzieje się w świecie, który porzuciłem. Już jestem pewny, iż to świat zwariował, a nie ja. Trochę pracuję. Zimno. Za oknem ciężko wstaje dzień. Pora rozpaść domowe ognisko. Ubieram gumofilce, narzucam kapotę, zanurzam się w zimną białą mgłę, w której ledwo co widać starą stodołę i oborę. Pod nogami chrzęści zeszkłona trawa. Kogut Edward drze dziób z kurnika. Ostry przymrozek, żarty się skończyły, idzie zima. Karmię kota Nołnejma, który odkąd rozsmakował się w biedronkowym żarciu z myszami jest za pan brat i nie zamierza ich mordować. Taskam do domu niebieską ikejowską torbę chrustu. Czyszczę kominek, rozpalam ogień. Siedzę przy nim jakiś czas chłonąc ciepło. Czas płynie leniwie, znacznie wolniej niż w mieście. Dzisiaj powieszę w salonie stary zegar od Sławka, metronom, który to potwierdzi. Za parę tygodni przywiozę dwa pozostałe, które czekają spakowane w Gdańsku. I będzie tak jak w marzeniu, które jakiś czas temu spałem:

Czas, jak leniwa rzeka rozcinająca nizinę, wolno przepływał przez dom. Wpływał oknem, rozdawał się na dwa nurty, omijał dębowy stół z krzesłami, muskał wahadło starego, wiszącego na ścianie zegara i wypływał do sieni. Muśnięte palcami czasu wahadło kiwało się miarowo wydając rytmiczne tik-tak tik-tak.

Dom miał co najmniej sto, a może i więcej lat. Dawno odeszli ci, co go zbudowali, a wraz z nimi odszedł ich czas. I tylko przeglądając stare al-

bumy ze zdjęciami, albo starannie oprawione książki, można było spojrzeć jak przez lunetę astronoma w ten odległy wszechświat, kiedy wszystko miało swoje miejsce i wagę.

Na przykrytym białym obrusem stole leżały talerze i sztuce. Nierozstawione szklanki z grubego rżniętego szkła, które tak przyjemnie trzyma się w dłoni mimowolnie ważąc ich ciężar oraz rzucona niedbale serwetka były dowodem na to, że szykowano posiłek. Nieśpiesznie, z należnym pietyzmem, wręcz celebrą.

Bo dzień odmierzany był posilkami. Śniadaniem o ósmej, kawą o dziesiątej, obiadem o czternastej, podwieczorkiem o szesnastej i kolacją o dziewiętnastej. To było jak rytmiczne tik-tak. Jeżeli ów porządek został zakłócony, znaczyło to, że stało się coś niezwykłego, dobrego, albo, jak to w życiu czasami bywa – złego.

Okna wpuszczały niewiele światła, ale to miało swój sens. Latem, gdy na dworze powietrze drżało od upału, w domu panował miły chłód. Przez szeroko otwarte oczy domu przenikał do wnętrza zapach kwitnących lip i kwiatów. Zimą, gdy świat zewnętrzny był czarno-biały, stężały od mrozu lub chłostany deszczem, w domu panowało miłe ciepło, którego źródłem był kominek z trzaskającymi brzoźowymi szczapami.

Czas wspólny spędzano na powolnym spożywaniu jadła, rozmowach, graniu w karty, szachy bądź warcaby i czytaniu, przeważnie książek. Nie ryczał żaden telewizor, bo nigdy go w tym domu nie było, i nie będzie. Nie żarzył się żaden ekran komputera czy laptopa. Czasami grało stare, świecące magicznym, zielonym okiem, lampowe radio. Dźwięki płynące z głośnika, przeważnie muzyka poważna, były ciepłe i dojrzałe jak wino.

Gdzieś tam za horyzontem wariował świat, próbując sprzedać jeszcze więcej i więcej, podbić co nie zostało podbite, zniszczyć co nie zniszczone. Poniżyć, zakrzyczeć, przerazić, zszokować. Tam czas rwał się na strzępy, bo czas nie może być, podobnie jak taśma na szpuli magnetofonowej, za szybko przewijany. Zachłanni ludzie byli przekonani, że pędząc jak szczury, wyciśną z danych im milionów sekund życia więcej, więcej i jeszcze więcej, stając się tym samym szczęśliwszymi. Nic bardziej błędnego.

Dom stał na małym wzgórku. Otoczony był rozległym sadem, złożonym głównie z jabłoni, których powykręcane konary przypominały ręce starych kobiet. Było też parę grusz rodzących co roku małe, lecz za to niezmiernie słodkie owoce, wiekowa śliwa, z której niewiele już było pożytku i dwa orzechy włoskie, z których owoców robiono każdej jesieni aromatyczną nalewkę.

Latem wkoło domu rozpościerało się morze złożone z wiejskich kwiatów, głównie malw, astrów, cynii, dali, aksamitek, amarantów, barwinków, floksów, irysów, kosaćców, lilii, maciejek, a także i pospolitego łubinu czy słoneczników. Rosły też roztaczające niesamowity bukiet zapachów jaśminowce, bzy i gorejąca jesienią kalina.

Ogród i sad przechodziły płynnie w ciągnące się aż po horyzont pola. Wiosną, kiedy zboże dopiero co wschodziło, przeważała soczysta zieleń. Latem, kiedy zboże dojrzało, ciężkie kłosy falowały w promieniach słońca. Złote płótno pola poznaczone było czerwonymi i niebieskimi plamkami. To maki i chabry, których ziarna ukryły się zimną pomiędzy kłosami zboża, wystawiały twarze do słońca.

Z tyłu domu, za starym, pokrytym porostami płotem, rozciągało się królestwo lasu. W pierwszym szeregu przeżyły się niczym żołnierze na warcie swoje brzozy o pniach przypominających upstrzony kleksami biały papier o drobnych liściach, które szeptały wraz z wiatrem odwieczną melodię natury. Dalej rosły wysmukłe świerki, pokryte chropowatą korą sosny i modrzewie ze strachu przez zimną zrzucające igły.

Jesienią można było tam szukać maślaków i koźlaków, a jak szczęście dopisało, to i trafiło się gniazdo borowików, które ususzone, dodawano przez całą zimę do zup i bigosów. Las obdarowywał też jagodami i borówkami, z których robiono soki i inne przetwory.

16 października

Unplugged

W nocy z soboty na niedzielę pękła cieniutka internetowa nitka LTE łącząca mnie ze światem zewnętrznym. Może szalejący od paru godzin huraganowy wiatr obalił plejowy maszt, a może ktoś nacisnął czerwony guzik i skończyła się historia człowieka na Ziemi, a ja jestem jednym z niedobitków. W niedzielny poranek wstałem z kogutem Edwardem, ja bo napierał pęcherz, on bo musiał „opić” (nie ma takiego słowa?) terytorium. Spać mi się już nie chciało, umyłem ząbki, kawy nie zrobiłem, bo w salonie spał majster z całą swoją rodziną, po cichutku siadłem więc do komputera. A tu cisza w eterze. Internet wywiało. Nie po raz pierwszy i pewnie

nie ostatni. Poczułem się jak alkoholik na odwyku, narkoman odstawiony od strzykawki. Od dobrych kilkunastu lat rytuał poranny jest taki sam: sprawdzanie poczty, wertowanie wirtualnego żurnala, wizyta na czytanych blogach, no i fejsbuk. Co najmniej godzina. Potem praca, też przez sieć. Bez Internetu ten komputer jest bezużyteczny. Mogę sobie co najwyżej na nim popisać, co niniejszym czynię, czekając na powrót sieci.

Miły Boże! Aleśmy wszyscy się od tej sieci uzależnili! Bo idę o zakład, że wy wszyscy też tak macie. Nie wierzycie? No to odpuście sobie na dzień wtyczkę sieciową, albo wyjmijcie modem. I jak? Boli, prawda? A przecież znam czasy przedinternetowe. Mój pierwszy kontakt z nim datuje się na rok 1993, choć prawdę powiedziawszy już na początku lat 90. korzystałem z niego za pośrednictwem sieci FIDO, wysyłając meile do rodziców w Kanadzie. Na początku nie było tak źle, korzystało się z niego sporadycznie, bo nie było googla, ani fejsbuka, ani portali informacyjnych i tysięcy innych serwisów www. Do banku szło się osobiście. Ale kroczek po kroczku uzależnienie rośnie. Teraz muszę się do tego przyznać, jestem internetomanem, internetowym narkomanem. I wy też. Nawet teraz, pisząc ten tekst, co chwila sprawdzam czy aby nie powrócił. Jak spędzaliśmy wolny czas, zanim wpadliśmy w ten nałóg? Oglądając telewizję (jeszcze gorszy nałóg), słuchając radia, czytając książki, rozmawiając z bliskimi, grając w karty i gry planszowe, co jeszcze?

18 października

Jest dobrze

Zimą wstaję wcześniej, trochę przed piątą, może dlatego, że kładę się z kurami, a one, jak zdążyłem już zauważyć, dokuja się w kurniku tuż po zachodzie słońca, albo wcześniej, o ile jest brzydka pogoda. Za oknem czerni, widać tylko jedno światło w oddali, w sąsiednim gospodarstwie, ponad kilometr w linii prostej. Parzę mocną sypaną kawę i zasiadam do komputera. Mija godzina i na niebie pojawia się nad horyzontem jasna kreska. Cytując mistrza Parandowskiego: „Zanim pojawi się na niebie wóz Słońca, znad

brzegów Oceanu wyjeżdża na lekkim rydwanie Eos, różanopalcą bogini jutrzeńki. Piękne oblicze młodej bogini jaśnieje rumieńcem zorzy porannej, a wśród szarych świtów zakwita jej szata barwy szafranu”. Kiedy wóz słońca zacznie już na dobre swoją wędrówkę po nieboskłonie, idę rozpalić kominek. Najpierw trzeba zabawić się w kopciuszka i go wyczyścić. Nie mylą się ci, którzy twierdzą, że ogrzewanie kominkowe to kotłownia w salonie. Jeśli poprzedniego dnia wypaliło się całe drewno, trzeba przytargać nowe taczka z obory, oraz dwie torby ikejowe rozpałki z szopy.

W salonie o poranku jest około 13 stopni, w sypialni jeszcze mniej, ale pod grubą puchową kołdrą nie czuć tego. Siedzę na stołku (po warmińsku hokerze) przy kominku i grzeję stare kości. Ogień śpiewa żywiąc się trzaskającym drewnem. Wstaję, wynoszę wiadro z popiołem, wypuszczam na wolność kury, sypię im żarcie, biorę psa na spacer. Dzisiaj jest w miarę ciepło i nie wieje tak jak wczoraj. Idziemy więc na dłuższy spacer, w lewo, w stronę zrujnowanego domu Krzywców. Przed zakrętem odwracam się i patrzę na siedlisko. Wygląda jak mała wyspa pośród rozfalowanego oceanu pól, pokrytych delikatnym, zielonym zarostem oziminy.

Słońce, jak na zamówienie, znajduje parę dziur w chmurach i rozświetla na chwilę pejzaż. Maluj! – zdaje się mówić. Malarzem nie jestem, wyciągam moją komórkową zorkę pieć i robię nią parę zdjęć. Jest przepięknie, cicho i spokojnie. Czuję jak opanowuje mnie ten spokój, jak zwalnia czas, po raz kolejny uświadamiam sobie, że dobrze zrobiłem emigrując tutaj, na skraj świata.

22 października

Czas wnętrza

Na zewnątrz zrobiło się mokro i zimno. Termometr pokazuje dwa stopnie. Nawet nie wieje, ale pada cały czas. Zmokłe kury snują się po podwórku, które zamienia się w sadzawkę, droga zaś przy domu w gliniankę. W gumofilcach da się jeszcze przejść, ale trzeba uważać, aby ich nie wessało, a wraz z nimi ich właściciela. Niestety murowane. Na wiosnę będą bieleć wystające z gliny kości. Nie chce się wyłazić z chałupy, no, chyba że po drewno zma-

gazynowane w dawnej oborze. Świat się uwewnętrznił. Wnętrze jest ciepłe, przytulne, pachnące kominkiem, obiadem. Za niecałe trzy godziny skończy się straszliwie już krótki (a będzie jeszcze bardziej) dzień i ciemność litościwie ukryje odpychające zewnątrz. Siądzie się przy trzaskającym wesoło ogniu, sącząc wino albo zając nalewkę od Pawła. Na ścianie w jadalni tykać będzie świerszcz, stary zegar. Pies zalegnie na kanapie, odwracając odwłok w stronę ognia. Dobra książka, rozmowa, a może i wspólne milczenie, wpatrywanie się w ognistych derwiszy wirujących po drewnie, które kończy żywot. Zielony Smok Wawelski na razie śpi w kotłowni. Nie ma komu go podłączyć. Kolejny fachowiec zwodzi. Powtarza się historia, jaka miała miejsce z tynkarzami. Tkwimy więc na hydraulicznej rafie, a ciepły brzeg tak bliski. Wytrzymać.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

23 października

Powoli udomawiamy

Zamknęłam się w sobie, i sama nie wiem z jakiego powodu. Powaliła mnie jakaś bakteria i przeleżałam prawie cały tydzień w łóżku. Choróbko pozwoliło zatrzymać się na moment, pomyśleć, zastanowić się nad sensem. Zmęczyłam się remontem, gotowaniem dla całej ekipy i wszystkimi niedogodnościami. Wiem, inni budują, remontują przez całe lata. Nie muszę daleko szukać, moja siostra remontowała dziesięć lat. Nie dalej jak wczoraj, podczas rozmowy telefonicznej, pytałam jak ona to wytrzymała. Bywają dni gorsze i lepsze. Takie, że człowiekowi chce się przenosić góry i takie, że wszystko widzi w czarnych barwach.

Powoli udomawiamy nasz niewyremontowany dom. Wiem, pomyślicie że to bez sensu. Rozpakowywać rzeczy kiedy nie ma wszędzie tynków i nic tak do końca nie jest wykończone. Musiałam to zrobić, żeby nabrać sił, żeby w końcu móc się cieszyć.

Dzisiaj rano po długiej przerwie złapałam za aparat. Nie powinno się robić zdjęć kiedy nie ma słońca, ale skoro przyszła ochota to co poradzić.

24 października

Zupa dyniowa

Dwa tygodnie temu odwiedził nas Sławek ze swoją partnerką. Sławka znałam od dawna, dlatego wizyta zupełnie mnie nie stresowała. Co na obiad? – myślałam. Właśnie dotarł blender kielichowy, który kupiliśmy w sklepie „Energii” za talon z dopłatą za podpisanie umowy. Więc może dyniowa? Jak pomyślałam tak też zrobiłam. Postawiłam zupę w wazie, a Sławek dokładał, dokładał i jeszcze raz dokładał, nie patrząc na drugie danie.

– Podaj przepis – prosiła partnerka Sławka. Hmm. Jaki przepis, skoro zupa gotowana jest „na oko”.

W tym tygodniu odwiedził nas przyjaciel Wojtka z małżonką. Wizytą stresowałam się bardzo. Bardzo, to mało powiedziane. Co na obiad? – myślę znowu. Skoro Sławkowi tak smakowała zupa dyniowa, to może zasmakuje innym. Wizyta była stresująca. Wiedziałam, że mnie porównują, obserwują. Siadamy do stołu. Podaję wazę z zupą.

– Jak ją gotujesz? Koniecznie przepis! No takiej pysznej zupy dyniowej jeszcze nie jedliśmy.

Jak ja gotuję zupę dyniową? Idę do ogrodu i wybieram dynię Hokkaido. Dokładnie ją myję. Kroję tak jak mi się uda, bo jest dość twarda, usuwam pestki. Dynia jest twarda, a my nie mamy dobrych noży. Zalewam wodą do wysokości pokrojonej dyni. Dorzucam ok. 2 łyżek oleju kokosowego i podpalam gaz. Kiedy dynia jest dość miękka blenduję na jednolitą masę. Jeśli wydaje mi się za gęsta, dodaję wodę. Potem dodaję przyprawy: kurkumę, pieprz, sól, startowany imbir. Pod koniec gotowania wrzucam jedną całą papryczkę chili (też z ogrodu) i dodaję konserwową ciecierzycę. Skąd pomysł na ciecierzycę, która daje niesamowity smak tej zupie? To był czysty przypadek. Wojtek nie lubi zup typu krem. Jak powiedział – lubi jak coś zgrzyta mu między zębami. Konserwową

ciecierzycę kupiłam kiedyś w Biedronce. Taki mały eksperyment. Uda się, albo się nie uda.

Skoro wszyscy „zjadacze” chcieli koniecznie przepis na zupę widocznie się udało. Poczęstowałam ich też własnym dżemem z dyni. Chętne taki by kupili. Może to dobry pomysł na zarobienie własnych pieniędzy?

27 października

Bilans

Zaparzyłam sobie kawę, usiadłam w zielonym fotelu i popatrzyłam na mój ulubiony widok. Siedząc i zerkając to na zdjęcie rodziców ustawione na parapecie, to na pożółkłe drzewo, doszłam do wniosku, że moja intuicja ostatnio bardzo mnie zawodzi. Często zmieniam zdanie. Tak też było z tym domem. Gdy go zobaczyłam po raz pierwszy bardzo mi się nie podobał. W kuchni wisiał wielki srebrny bojler, pokoje były małe, pachniało zapachem, który towarzyszył mi w rodzinnym domu z czerwonej cegły w Gdańsku. Przestraszyłam się. Przez czterdzieści lat mieszkałam w takich warunkach, że rano, dopóki ojciec nie napalił w piecu, było zimno, a wieczorem zaś za gorąco, bo napalił za mocno. Latem wodę do kąpieli grzało się w garnkach. Ostatnie dziesięć lat mieszkałam w bloku. Przyzwyczaiałam się do stałej temperatury, ciepłej wody w kranie i tych wszystkich wygod związanych z miastowym życiem. Stary dom w niczym nie przypominał mi tych oglądanych w czasopismach z sielskiego życia na wsi.

– Jeśli tylko się zgodzisz, obiecuję ci, że pierwsze co zrobimy to usuniemy ten bojler z kuchni.

– I wywalimy te ściany, zrobimy przestrzeń? – dopytywałam.

Nie byłam przekonana do tego domu, ale kiedy popatrzyłam w Wojtka oczy, a potem na widok, który rozciągał się za oknem, zgodziłam się.

Jakie były te cztery miesiące? Różne. Pełne euforii, ale i łez. Były spory pomiędzy nami. Wojtek jest człowiekiem z zasadami, takiej przedwojennej szkoły, wedle której dane słowo ma znaczenie, ceniącym punktualność, a tu zderzył się z zupełnie innym

światem. Wielkim psychicznym obciążeniem było też wzięcie dość sporego kredytu. Mnie było łatwiej, ja nie widziałam tych wpływających pieniędzy z konta, w końcu spełniało się moje marzenie o zamieszkaniu na wsi.

Tak zdecydowaliśmy – zapłacić komuś, żeby zrobił to szybko i dobrze, i mieć spokój. Kierowaliśmy się też tym, że Wojtek do pracy musi mieć ciszę. Remont trwający latami bardzo utrudniałby mu pracę. Czy dobrą obraliśmy drogę? Powiem wam za pięć lat, kiedy uda się spłacić kredyt.

Wojtek dotrzymał wszystkich obietnic oprócz jednej. Najpierw o tych spełnionych. Jest kuchnia połączona z jadalnią z dużym oknem na brzozowy las. Takie rozwiązanie mieliśmy w wynajętym mieszkaniu. Nie muszę latać z talerzami po pokojach. Kuchnia jest szyta na moją miarę. Jestem wysoka i przy standardowych szafkach musiałam mocno się pochylać. W kuchni wszystko muszę mieć pod ręką. Nie przeszkadza mi, że wygląda to na artystyczny bałagan. Natomiast w łazience będzie inaczej, tam będzie wszystko pochowane. Nasprzątałam się kiedyś apartamentów i wiem, ile czasu kosztuje ścieranie kurzu na wystawionych kosmetykach. Takie wystawki bardzo podobają mi się u kogoś, ale u siebie wolę mieć to pochowane. Czasami sobie myślę, że wielu osobom przydałby się taki zimny kubeł wody. Sprzątanie zarobkowe u kogoś to ogromna lekcja pokory.

Zdecydowaliśmy się na ogrzewanie podłogowe i piec wielofunkcyjny z dużym podajnikiem opału. Podobno można w nim palić nawet owsem. To była najtrudniejsza decyzja, bo wiele było rozwiązań. Na porządny piec gazowy, a potem na jego utrzymanie, nie było nas stać. Rozpatrując, jaki on ma być, wspominałam schorowaną mamę. Jej palenie w piecu, a później naszą udrękę, które z rodzeństwa ma pojechać napalić. Ja wiem, że do starości jeszcze mi trochę pozostało, ale przyjdzie ona nieuchronnie. Żeby uniknąć schodzenia do piwnicy, postanowiliśmy poświęcić jedno pomieszczenie, była łazienkę, na kotłownię. Sugerowano nam umieszczenie pieca w piwnicy, ale ja cały czas miałam swoją mamę przed oczyma. Kupując piec popłynęliśmy finansowo. Bo z piecem jest jak z sukienką. Wybieramy zieloną, a później okazuje się, że nie mamy do niej butów i torebki, że jeszcze zawory,

podłączenie i inne rzeczy. Piec właśnie się uruchamia. W końcu poczuję ciepło pod stopami. Sprzątałam kiedyś taki dom, gdzie w kuchni była podgrzewana podłoga, balsam na moje stale zmarznięte stopy.

Wszystko jest tak jak chciałam, oczywiście w ramach naszych możliwości finansowych. Chciałam mieć cegłę na ścianie – i mam. Chciałam mieć przestrzeń – mam przestrzeń. Najtrudniej było mi przekonać Wojtkę do otwartego stropu nad sienią. W końcu się zgodził. Czy te rozwiązania się sprawdzą? Nie wiem. Nie upieram się, że zrobiliśmy wszystko najlepiej. Robiliśmy tak, żeby dobrze czuć się we własnym domu. Tak, ten dom remontowany jest dla mnie – teraz to wiem. Na tym etapie kończymy remont. Co z górą? Musimy odetchnąć finansowo. Jeśli Wojtkowi uda się zdobycie paru intratnych zleceń, na górze zostanie wydzielony jeden pokój na jego pracownię. Pozostała przestrzeń będzie jednym wielkim pokojem.

A co się nie udało? Nie udało się postawić podlaskiego pieca. Nie rozpaczam z tego powodu, i tak dużo innych rzeczy otrzymałam od Wojtki, że jeden piec można sobie подарować.

Zapowiedziałam Wojtkowi, że to mój ostatni remont. Kiedyś zawsze się cieszyłam na wszystkie zmiany i zapewniałam rodzinę, że najpierw musi być brzydko i ciężko, żeby później było ładnie. Zmęczyłam się tym remontem, mimo że to nie ja skuwałam tynki czy układałam dachówki. Może za stara już jestem na takie radykalne zmiany?



30 października

Z pamiętnika polarnika

Z pamiętnika polarnika, niedoszłego posiadacza ogrzewania podłogowego, dzień pierwszy. Ciepła woda w kranie nie oznacza ciepła w domu. Zielony potwór w kotłowni połyka worek za workiem pelletu, a tymczasem w domu zimno jak w psiarni. Wydzwania do instalatorów, a oni twierdzą, że wszystko jest OK, i tak

ma być, i będzie pan zadowolony. Wydzwaniam do majstra, a on twierdzi, że wszystko jest OK, i tak ma być, i będzie pan zadowolony. Ciepło jest tylko w kotłowni, przy piecu. Trochę tam miejsca mało aby przenieść łóżka, kanapę i fotele, ale może jakby mi się udało zbudować zmniejszacz atomowy i zmniejszyłbym nas o jeden rząd wielkości, wraz z meblami, ciuchami i innymi rzeczami, to dałoby się zrobić z kotłowni kingsajzową szuflandię. Tylko jak ja bym wtedy wsypywał te 20-kilogramowe worki do pieca? Ważyłyby wtedy po tonie albo więcej.

Ciepło mi się też robi, a raczej gorąco, jak patrzę na fakturę jaką mam za tę instalację zapłacić. Co tam gorąco! Pot mi spływa po plecach, dzwonią zęby, a mój umiłowany bank co chwila wydzwania do mnie z pytaniem czy aby nie potrzebuję kredyciku. No podpisz kochanieńki o tutaj, nie czytaj, po co czytać, długie takie i małym druczkiem, wystarczą trzy krzyżyki...

Przylepiłem termometr do podłogi i bacznie obserwuję temperaturę, a ona ani drgnie. Za żadne skarby nie chce przeskoczyć 20 stopni. Na dworze koło 4, w salonie 15,9. Zastanawiam się co to będzie jak na zewnątrz zrobi się prawdziwa zima i strzeli -25. Rozbiję namiot w salonie, wstawię kozę – drewno niestety się kończy – zgromadzę reszki jedzenia, które uda się uratować przed myszami (czy myszy są jadalne?) i będę, jak Robert Falcon Scott, prowadził pamiętnik, w którym do ostatniego dnia będę notować przeżycia i przemyślenia.

Czy warto?

Po wypiciu porannej kawy poszłam z Kudełkiem na spacer. W głowie kłębiły się różne myśli. Wrócić do miasta? Poddać się budowlañcom? Czy warto tak się szarpać? Ogrzewanie podłogowe które kosztowało ponad 20 tys. nie działa. Nie wiem czyja to wina, czy instalatorów pieca, czy osób, które kładły kilometry rurek na podłodze. Wojtek, zamiast pracować, rozmawia raz z jednym, raz z drugim magikiem. Oczywiście przez telefon, bo nikt nie raczy przyjechać i zobaczyć. Zarzekł, że jeśli ogrzewanie nie ruszy, nie zapłaci faktury za podłączenie pieca, a jest niebagatelna. Jak zwykle wyższa niż zakładano, że będzie. A jeszcze latem, kiedy Adam opowiadał mi, że ktoś nie zapłacił za wykonanie jakiejś pracy bardzo mocno się zdziwiłam, wprost oburzyłam – no jak tak można postąpić. Jak to człowiek szybko zmienia zdanie, kiedy wydawane są jego pieniądze. Chodziłam po takiej podłodze w mieście, rozmawiałam z ludźmi, którzy zdecydowali się na takie ogrzewanie. Nikt nie narzekał, wszyscy byli zadowoleni. A u nas jak nie tynkarze, to ogrzewanie, jak nie ogrzewanie, to znowu coś z prądem. Od jakiegoś czasu nic nie idzie gładko. Tak boli mnie dusza, że nie szanuje się Wojtkowych pieniędzy. I tak chodząc z Kudełkiem myślę czy warto?



Listopad

2 listopada

Z pamiętnika polarnika

Z pamiętnika polarnika, posiadacza ogrzewania podłogowego, dzień drugi i ostatni. Pogoda zrobiła się koszmarna. Leje jak z cebra i wieje. W domu zaś jest... gorąco. Powtórzę to: zrobiło się gorąco, tropikalnie gorąco, nieprzyzwoicie gorąco, nie idzie wytrzymać. Podłoga parzy w stopy, przepala skarpetki. Jeszcze rano była lodowata, ale w ciągu paru godzin od wizyty panów hydraulików osiągnęła niewyobrażalną temperaturę 303 stopni hmm... Kelvina (nie mylić z Kevinem, tym co to w każde święta sam w domu). Przeliczając to na stopnie Celsjusza – będzie 30, słownie trzydzieści. TRZYDZIEŚCI!!! Hip hip hurra!!! Oklaski!! Oklaski!!

No dobra, nie ma róży bez kolców, nie ma ciepła bez kasior-ki. Zielony smok pożera w przyspieszonym tempie nafaszerowane pelletem woreczki. W tym tempie to za tydzień, góra dwa zbankrutuję. Pali tyle bo: a) – musi rozgrzać wyziebiony dom, b) – nie ma podłączonej automatyki i działa w trybie ręcznym, c) – bo jest młody, wyposzczony i takie tam. Zwinąłem więc obóz polarny. Łażę w samych gaciach i polewam się wodą, nieprzyzwyczajony jestem w końcu do takich tropików. Na noc go chyba wyłączę, bo gotów, jak zeżre cały bak, rzucić się na belki stropowe i więźbę.

3 listopada

Złotooka czarnulka

Skołował ją Nonejm. Miał już kiedyś taką czarnulkę, tylko z białym krawacikiem. Ta jest cała czarna jak noc. Pośród czerni goreją wielkie złote oczy, patrzące z wyrzutem na świat, który zgotował jej ten los. Sama skóra i kości. Od dawna musiała głodować. Nic dziwnego, że poszła za Nołnejmem, który opowiedział jej o starym domu pod bocianem, gdzie miska zawsze pełna. Nołnejm zadekował ją w piwnicy. Pewnie w nocy spali przytuleni do siebie, grzejąc się nawzajem. Rano, głodna nie wytrzymała, wyszła z ukrycia żałośnie miaucząc, odepchnęła od miski Nołnejma, łapczywie połykała biedronkową puszkę, szczęśliwa do bólu.

Wziąłem na ręce. Nie protestowała. Zaniósłem do domu, usiadłem w fotelu koło kominka, przyłgnęła do piersi mej rozległej cicho mrucząc. I siedziałem tak z nią, bojąc się ruszyć, a ona drzeżała. Ogień trząsał w kominku. I co teraz? Wyrzucić z powrotem na zimno i poniewierkę? Dać siekierą w łeb, do wora i do jeziora? Dać imię i ukochać? Trzy koty czekają na przywiezienie z Gdańska, jeden (Nołnejm) hasa po podwórku, ona będzie piąta. Koniec świata. – I co my teraz zrobimy z tyloma kotami – pytam jak mój ukochany pisarz, Hrabal.

4 listopada

Monochromatyczność

Świat zewnętrzny, pod osłoną nocy stał się dwubarwny, monochromatyczny, rozpięty między czernią a bielą. Oj ciężko mi było wypełznąć spod grubej puchowej pierzyny. Wstałem dopiero o siódmej, zasnęłam można rzec, bo zwykle grubo przed szóstą jestem na nogach. Ale przecież nigdzie nie muszę się śpieszyć. Nie wdziewam korpogajerkę, nie czołgam się przez zakorkowane miasto do fabryki aby podbić zegar. Sam sobie jestem sterem, żeglarzem, okrętem.

Kawę robotniczą zaparzyłem, obchód wirtualnego haziastwa zrobiłem, zadumałem nad gorejącą z coraz większą mocą wojną polsko-polską. – Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna – zacytowałem w myślach mistrza Stanisława. Wdziałem gumofilce i starą kapotę, wypuściłem i nakarmiłem kury, co to się za cholerę nie niosą, sypnąłem kotu sproszkowanych myszy. Poszedłem z psem na poranny spacer, kolejny w stronę zrujnowanego siedliska Krzywców.

Pan z elektrowni, który ostatnio zmieniał mi licznik, powiedział, że ich dom był przepiękny, piękniejszy nawet niż nasz. Jeszcze dziesięć lat temu stał, ale szybko popadał w ruinę. Dzisiaj pozostały tylko resztki zarośniętych chaszciami murów szczerzących się oczodołami okien. Obok zwalisko desek, dawna stodoła. Pomyśleć, że jeszcze dwadzieścia lat temu żyli tu ludzie.

W okolicy jest wiele zrujnowanych siedlisk. Starzy ludzie odchodzą, młodzi nie chcą tu mieszkać, ciągnie ich za pracą do miasta. Jedyna nadzieja w takich jak ja uchodźcach z wielkich miast, spragnionych ciszy i spokoju, życia normalnego i powolnego, z dala od oszalałego świata.

Taka właśnie jest staropruska Natangia, ziemia Herkusa Monte, pruskiego Bravehearta, pierwowzoru Mickiewiczowskiego Konrada Wallenroda. To nie jest Warmia, bo ta kończy się trochę za Lidzbarkiem Warmińskim, ani tym bardziej Mazury. Kraina magiczna. Dawne Prusy Wschodnie. Wsiąkam w tę ziemię. Ukorzeniam się. To jest moje miejsce na ziemi. Moja przystań. Moja ostoja. Tego szukałem. W lipcu napisałem o tym tekst, nie wiem czy wrzucałem na FB, jeżeli się powtórzę to wybaczcie, oto on:

O ukorzenianiu

Lubię ten moment kiedy mijam Pastry. Jeszcze zakręt, mały lasek, droga się prostuje i w oddali widzę pękającą wieżę cerkwi, dawniej kościoła ewangelickiego, na lewo od niej, bardziej ostrą kościół katolickiego. Za chwilę mijam tablicę – Górowo Itaweckie. Jestem na miejscu, u siebie.

Dziwny jest proces ukorzeniania.

Na początku ostrożnie obwąchujesz nowe miejsce. Szukasz punktów charakterystycznych. Tu Biedronka, tam rynek, tu stacja benzynowa, tu sklep

budowlany. Poruszasz się wspomagany GPS'em, boisz się zabłądzić. A gdy jesteś daleko, każesz się wozić googlowozem. Obznajamiasz, osławiasz przestrzeń.

Czas mija a ty wrastasz. Zakorzeniasz się. Poznają cię, a ty poznajesz ich. Może nie wszystkich, w końcu mieszka tu prawie pięć tysięcy ludzi. Panią z cukierni na rynku, pana ze składu budowlanego, gościa na stacji benzynowej, policjantów z radiowozu.

Po jakimś czasie, gdy ktoś tłumaczy ci gdzie jest mechanik, albo sklep z hydrauliką, albo bankomat, trafiasz bez trudu, bo siatka ulic jest już w twojej głowie. Odruchowo omijasz dziury w jezdni, bo to twoje dziury. Nie zastanawiasz się czy masz pierwszeństwo.

Poznajesz sąsiadów. Opowiadasz skąd jesteś i dlaczego. Dziwią się. Jak to tak? Na stałe? Z dużego miasta? Tutaj? Na koniec świata? Pewnie za twoimi plecami nazywają cię dziwakiem. Ale w gruncie rzeczy są mili i uczynni.

Wszyscy wkoło, nawet ci, których nie poznałeś jeszcze, wszystko lub prawie wszystko o tobie wiedzą. Nie jesteś anonimowy tak jak w wielkim mieście. Z czasem, gdy zapuścisz mocne korzenie, będziesz już swój, a nie przyjezdny, weekendowy.

Nam ukorzenianie, mimo wieku (mówią, że starych – no dobra lekko starszych – drzew się nie przesadza) idzie łatwo. Może dlatego, że los wyrwał nas z korzeniami, tam gdzie dotąd dane nam było żyć. Czy się przyjmujemy? Nie uschniemy? Czy słuszna była to decyzja? A mieliśmy inne wyjście – przekonujemy się nawzajem.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

4 listopada

Trudne dni są już za mną

Wracając z wieczornego spaceru z Kudełkiem, poszłam zamknąć kury. Oliwka i Śnieżka siedziały przytulone do koguta Edwarda. Uśmiechnęłam się na ten widok, bo jeszcze nie tak dawno temu Edward przeganiał je. Lubię obserwować kury, myślę, że

i one mnie lubią. To są moje małe radości, o których w domu przy rozpalonym kominku opowiadam Wojtkowi. Odkąd upalnym latem zapaskudziły jego jedyne czyste spodnie, przestał je lubić. Od tamtej pory stale przekonuje mnie, że prościej i taniej jest w czwartek na ryneczku kupić parę wiejskich jaj, niż bawić się w ich hodowlę

Kilka ostatnich dni było trudne, i cieszę się, że są już za mną. Potrzebowałam pozbierać się do kupy. W końcu życie to nie tylko miód i orzeszki. Kiedy wyjeżdżałam z miasta zostawiłam zadbany ogród. 350 m było łatwo doprowadzić do kwitnącego stanu. Na hektar ziemi patrzyłam oczami miastowymi i to mnie przerosło. Zresztą na wiele rzeczy patrzę po miastowemu. Powinnam się pogodzić z tym, że nie jestem w stanie tego zagospodarować ani fizycznie, ani finansowo. Biorąc pod uwagę fakt, iż bałagan i brzydota bardzo mi przeszkadzają, nie jest to łatwe zadanie. Teraz już bardziej rozumiem bałagan w obejściu, nazywany kiedyś przeze mnie polską rozpierduchą.

Drugą kwestią są nasi budowlańcy. Po raz kolejny popełniłam ten sam błąd. Wydawało mi się, że jeśli ja będę się mocno starała, to ktoś będzie starał się tak jak ja. Więc dbałam o ich żołądki. Kiedy nie było warunków na gotowanie, jechaliśmy z Wojtkiem kupić pizzę. Biegałam z kawkami po cztery razy dziennie, a potem szukałam kubków, żeby je pomyć. Wszystko co chcieli to mieli, włącznie z papierosami.

Po co zapytacie? Ano po to, żeby szybko i sprawnie pracowali. Niestety stało się inaczej. Majster nie dotrzymał obietnicy, iż nasza budowa będzie dla niego priorytetem. Zapłaciliśmy więcej, a teraz czekamy aż Adam skończy coś innego, żeby wrócił do nas i dokończył co było ustalone. Najbardziej boli brak rynien i niezabezpieczone kominy. Gdyby to trwało tydzień, dwa, ale taki stan rzeczy trwał przez cztery miesiące. Oczywiście, że mamy zaufanie do Adama, w końcu budował dom naszych przyjaciół. Czuję raczej żal do siebie samej, że dałam się tak zmanipulować. Teraz wiem, że najpierw musi być zrobione, a dopiero potem zapłacone. Podobno w budowlance tak jest, że ciągnie się kilka budów. Mi to jednak zgrzyta pomiędzy zębami.

Znajoma zapytała, czy budowlańcom nie zależy na dobrej opinii. To zanikający zawód. My sami tłumaczymy dzieciom, żeby poszły na studia, żeby ciężko nie pracowały. Budowlaniec to ciężki zawód. Jeszcze trochę i nie będzie kto miał budować, bo ci do brzy dawno wyjechali na Zachód. Niezaprzeczalnym faktem jest, że przez ten czas zrobiliśmy bardzo dużo. Drenaż, wylewki, tynki, instalacje, strop, nowa dachówka. Można powiedzieć, że jedynie mury zostały stare. Tak, podczas tych czterech miesięcy, gdzieś pomiędzy gotowaniem, robieniem przetworów, parzeniem kawy i praniem ręcznym, zapodziała się radość dziewczyny marzącej o zamieszkaniu na wsi. Musiałam pomyśleć, pobyć sama z sobą, żeby to wszystko sobie poukładać.

Wniosek jest jeden, żeby się nie wykończyć nerwowo, muszę przyzwycząić się, że na wsi „jutro” oznacza za „tydzień”, że tu nie informuje się, że nastąpiła zmiana planów. Na wsi czas płynie zupełnie inaczej.

A wracając do remontu. Ogrzewanie podłogowe działa. Przyjechał właściciel firmy, przesympatyczny człowiek. Inżynier z miasta Olsztyn. Pokręcili zaworami, odpowietrzyli instalację i zrobiło się ciepło.



5 listopada

Großer Teich

Wczorajszy monochromatyczny, dwubarwny świat powrócił do jesiennych barw, różnych odcieni brązów, złamanych zieleni, zrudziałych żółci. Zima cofnęła się, na moment, lecz wróci i zaatakuję ze zdwojoną siłą. Tak jest co roku. Podczas porannego spaceru z psem przystanęłam na zakręcie, koło samotnej dzikiej gruszy, skąd roztacza się przepiękny widok na okolicę. Na wprost siedlisko Andrzeja i jego zmokłe krowy. Po prawej łańcuszek stawów, pozostałości po dawnym Großer Teich, Wielkim Stawie. Za nimi ciemnozielony las i wystające zza niego wieże Górowa.

Odwrociłem się o 180 stopni i zrobiłem dwa zdjęcia w kierunku drogi na Paprocin. Usłużny wujek „Gugiel” skleił je w panoramę. Tak właśnie wygląda Natangia, ziemia sfalowana, w którą ktoś powtykał czarne sylwety drzew.

Pies grzebał zaciekle w trawie, wyczuł zwierzynę, a ja stałem i kontemplowałem landszaft. Siłą wyobraźni zacząłem cofać czas, i było jak u Herberta George’a Wellsa. Słońce wędrowało rakiem po nieboskłonie, ścigane przez księżyc, ptaki latały do tyłu, chmury przelatwały jak oszalałe, złote liście zawirowały i wróciły na drzewa, chwilę później zieleń wyparła żółcie i brązy, przemknęło lato, nastąpiła wiosna, a po niej poprzednia zima. Podkręciłem wajchę mej maszyny czasu i wszystko się zlało w rozmigotaną mgłę. Zatrzymałem po chwili, żeby nie trafić z rozpędu na epokę lodowcową, lub nie daj Boże epokę dinozaurów. Znikło Górowo, znikł Landsberg, wielki staw rozlał się szeroko, pagórki pokryły się puszcza. Trakt na Papperten znikł, z drogi na Hoofe pozostała wąska ścieżka i zmierzali nią w mą stronę białoskórzy Indianie. Prusowie? – pomyślałem i uniosłem prawicę w pokojowym geście. – Przybywam w pokój! – zakrzyknąłem, ale to im się widać nie spodobało i rzucili się w moją stronę wymachując niebezpiecznym żelastwem.

– Oho, Houston, mamy problem! – szarpnąłem gwałtownie za wajchę (dobrze, że się nie urwała, bo bym tak został zaklinowany w czasie) i już po chwili wylądowałem w Anno Domini 2016. Droga z Paprocina mknął mlekowóz, bo mleko, wiedzą państwo, ma najszybszy transport, inaczej się zsiada ;-) Gra wyobraźni? Fajnie by było mieć taką maszynę. No, panie Wells, zdradź pan jak ją skonstruować...

6 listopada

O zaszczuciu i furii

Zastanawiam się skąd wzięła się we mnie siła, która pomogła mi przewrócić do góry nogami moje życie, rzucić w diabły metropolię, kupić stare siedlisko, wyremontować je w wariacko krótkim czasie czterech miesięcy i zamieszkać w nim na stałe. Dumam nad

tym ostatnio bardzo często, zwłaszcza podczas porannych spacerów z psem, który z faktu tego mego dumania jest zadowolony, bo spacer się wydłużyły. Idę pograżony w myślach, a on, psi inwalida, gania na trzech łapach szybciej od wiatru.

Bo marzenie było we mnie od dawna, prawie trzydzieści lat temu, na studiach, żartowałem, że kiedyś, kiedy będę stary, kupię sto hektarów i stworzę sektę. Z długą siwą brodą, odziany w lniane giezło, z sękatym kijem w dłoni, będę siedział pod starym dębem i dumał jak Budda, albo nauczał. Ale od marzenia do jego realizacji jest bardzo długa droga, zwłaszcza gdy na koncie jest przeważnie debet, a praca nie daje pewności stałych dochodów, zlecenia raz są (i to w nadmiarze), albo jest posucha i trzeba mocno zaciskać pasa. Myślenie w takiej sytuacji o większym kredycie jest nierozsądne.

Przez ostatnie lata czułem się coraz bardziej zaszczyty przez otaczającą mnie rzeczywistość. Obserwując bliźnich, oglądając telepudło, słuchając radia, czytając internety, narastało we mnie przekonanie, że coś tu jest nie tak, coś zgrzyta, chrobocze, drapie i drażni. Że świat zwariował, albo może ja. Ludzie gnają w coraz większym pędzie, nie mają dla siebie czasu, gryzą się nawzajem, kopią pod sobą dołki, podkładają świnię. Empatia to martwe słowo. Wyścig wygłodniałych szczurów w pędzie nie wiadomo za czym. Za pieniędzmi? Karierą? Dobrami doczesnymi?

Z mediów sączy się coraz durniejsza i sensacyjna papka, naszpikowana reklamami zmuszającymi do coraz większego konsumpcjonizmu, kupowania rzeczy niepotrzebnych i jednorazowych, które chwilę po ustaniu gwarancji się psują, a ich naprawa jest kosmicznie droga – taniej kupić nowe – albo stają się niemożliwe, i tak czy siak trafiają na śmietnik.

Nasamprzód odciąłem się od telewizji, potem od radia. Zacząłem filtrować to, co docierało z Internetu. Założyłem blokery w smartfonie. Niestety nieskuteczne, niejednemu telemarketerowi udaje się je ominąć. Zapadłem na minimalizm. Nie mam TV, więzy hi-fi, wypasionej komórki ani furki, ani wielu innych gadżetów. Kupuję tylko to co jest mi niezbędne i absolutnie nic ponad. Jak coś się zepsuje, to staram się naprawić, albo/i dać drugie nowe życie. Szperam w wirtualnych pchlich targach.

Żyjąc w wielkim mieście nie da się jednak odciąć od hałasu. Strasznie go nie cierpię. Koło mojej pustelni, twórczej samotni, zawsze jazgotały kosiarki, darły się bachory, sąsiedzi tłukli drzwiami, nad głową krążyły złośliwie helikoptery i odrzutowce. Ktoś darł się do komórki, ktoś inny rzeźił elektrycznym narzędziem. Na pobliskim placu manewrowym tańczyły maszyny budowlane (pip-pip-pip). Ujadały durnowate psy.

I pośpiech. Wszędzie. Na drodze, na ulicy, w sklepach. Poniedziałek–piątek zamienione w jeden dzień z przerwami na sen. Odpoczynek w sobotę i niedzielę, ale nie zawsze, bo zawałone terminy i deadlajny. Na plecach oddech szczura z tyłu, za chwilę wbije ci w odwłok zęby. Szybciej! Szybciej! Więcej! Więcej! Uczucie zaszczucia i narastająca furia. Stop! Ja wysiadam! Gdzie hamulec bezpieczeństwa? Gdzie katapulta? Stop! I wysiadłem :-)

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

6 listopada

Księżniczka Mimi

Sądziłam, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Księżniczka Mimi sama wskoczyła z kanapy na parapet i zainteresowała się tym co za oknem. Jadła chętnie, ale w małych ilościach. Wczoraj zauważyłam, że od czasu do czasu z jej narządów rodnych wypływa białą ciecz. Dzisiaj to się powtórzyło. Poszukałam w Internecie co to może być, po czym zadzwoniłam do Kliniki Weterynaryjnej w Olsztynie. Lekarz potwierdził moje obawy. Problem w tym, że auto Wojtka straciło tłumik, a moje jest u mechanika, bo coś stuknęło i ściągało na lewą stronę. Mam nadzieję, że w poniedziałek będzie naprawione i będziemy mieli czym pojechać do Olsztyna. Nie planowałam kolejnego kota. Przeglądałam portale w poszukiwaniu psa – misia, koniecznie szczeniaka, co by Kudełek go zaakceptował. Taki bernardyn albo podhalańczyk, który pomógłby

mi przypilnować zimą kur. Kiedy Wojtek wniósł ją na rękach do domu, oniemiałam. Tak chudego kota w całym swoim życiu nie widziałam, nawet te bezdomne, wychowane na działkach wyglądały lepiej. Nie miała siły protestować kiedy wkładałam ją do kontenerka i wiozłam do weta w Górowie.

Nie chciałam nikogo obrażać, ale weterynarzy w małej miejscowości od tych w dużym mieście dzieli przepaść. Nie wiem z czego to wynika, może z braku sprzętu. Może jest to jak z lekarzem w filmie *Ranczo*, który stale powtarza „a co ja mogę, co ja mogę, do Lublina trzeba jechać”. Jak tylko oddadzą mi auto, jedziemy do Olsztyna. Prawdopodobnie zabieg taki kosztuje 600 zł. Tym się akurat nie martwię. Wytrzymałam tyle miesięcy bez pralki, wytrzymam i kolejny miesiąc. Martwię się tym, że nie zdążymy.



9 listopada

Zimowa wersja demo

Rozpadał się śnieg na całego. Rano było zimno. Dziadek Mróz swoim lodowatym oddechem zeszklił trawę i kałuże. Kury niemrawo wyłaziły z kurnika. Po zjedzeniu śniadania podreptały kiwając kuprami na słoneczną stronę, aby rozgrzać kości. Obudziłem się wcześniej, nawet jak na mnie, bo tuż po czwartej. Zrobiłem sobie kawę i zasiadłem przy moim oku na świat. Świat, który zsuwa się po równi pochyłej w kierunku zawieruchy totalnej. W najważniejszym kraju świata nieprzewidywalny populistą oszołomił rzesze kretynów, którym dał złudną nadzieję, że będzie im lepiej. Nadzieja matką, wiadomo czyją.

Myślę sobie cichutko, że lepiej już nie będzie. Będzie coraz gorzej. Nie daj Boże trzecia wojna światowa, aczkolwiek mówią, że ona już trwa w najlepsze. Historia lubi się powtarzać. Być może mamy wbudowane genetyczne zabezpieczenie, które nakazuje naszemu gatunkowi zmniejszyć, poprzez wzajemne wybijanie się, swoją liczebność co mniej więcej 2–3 pokolenia, circa 80–100 lat. A jak to się nie uda, to matka ziemia sama zrobi z nami porządek.

Po południu zaczęło sypać śniegiem, lepkiem, mokrym, przedzimowym. Pewnie za parę dni stopnieje. Zimowa wersja demo. Najwyższy dzwonek przyszykować się. Opału mam dość, drewna starczy do wiosny, gorzej z pelletem, kupiłem na razie tonę, bo w szkatule widać dno. W chłodnej sieni stoją dwa wielkie wory ziemniaków. Trzeba będzie jeszcze dokupić mąki, kaszy, ryżu i makaronu. Będziemy piekli własny chleb. Zająca lub sarnę się upoluje (tylko czym, hmm, z łuku?). Zje się kury, a na koniec Edwarda, kota Nołnejma raczej nie, choć tłusty. Nocą buchnie się sąsiadowi krowę z łobory (sorki Andrzej). Damy radę. Głodem nas nie wezmą ;-). Żarty żartami, ale zamierzam osiągnąć jak największą samowystarczalność. Trochę to potrwa, wiele się trzeba będzie nauczyć. Z warzywniakiem i permakulturą poszło na razie średnio. Wodę własną mam, trzeba będzie coś pokombinować, aby produkować własny prąd.

10 listopada

Wytargany emocjami

Przez ostatnie dwa dni czułem się jak okręt wojenny, który obrywa z lewa i prawa, dziurami wlewa się do środka woda – wszystkie ręce na pokład! – ale który jeszcze płynie, choć mocno przechylony na jedną z burt. Ciosy to finansowej natury, głównie nie zaplanowane, albo niedoszacowane wydatki. Na horyzoncie też nie widać spokojnego nieba, kolejny sztorm błyska w oddali.

Walczę, nie upadam, aczkolwiek mam chwile zwątpienia, zastanawiam się na jaką cholere było mi to siedlisko, przecież żyło mi się tak spokojnie i wygodnie. Po co opuściłem zaciszną zatokę i wypłynąłem na rozszstormowanego (← no dobra, mój ty edytor-ku, wiem, że nie ma takiego słowa, więc go nie podkreślaj wężykiem) przestwór oceanu.

Wytargany emocjami stanąłem rano z kubkiem kawy przed tarasowym oknem i spojrzałem na zbielały świat zewnętrzny. Ciśsza, spokój, brak akcji, o! sarna... zajęc, kura, kot... kura, drób... o! Jest! Widzę! Droga... Chyba na Ostrołękę, wróć! Na Dwórzno ;-). Prawda, że pięknie? Jak tu nie zakochać się w tym miejscu? I ten

widok wszystko zmienia, nikną troski i zmartwienia. Damy radę. Nie ma innej opcji.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

10 listopada

Cztery koty i pies piąty

Pomalowałam kuchenny kredens na niebiesko. Musiałam to zrobić, żeby uleciały ze mnie wszystkie emocje, i uleciały. Teraz spokojnie mogę pisać. Podróż z Gdańska nie należała do łatwych. Wykorzystując fakt, że tam byłam, zabrałam wszystkie nasze koty. Pojechałam z jednym, a wracałam z czterema. Kiler ze stresu zsiakał się, Hana zrobiła kupę. Frania całą drogę miauczała, a Hana jej wtórowała. Tylko księżniczka Mimi zasnęła snem kamiennym. Podróż nam się przeciągnęła z uwagi na wypadek na drodze. Nie wiem czy to było przesilenie, czy stres, ale Mimi po powrocie bardzo źle się poczuła. Nie mogła zrobić dwóch kroków, zataczała się, a jej mała główka zwisała nad podłogą. Obawialiśmy się najgorszego, że odejdzie w nocy. Nie wiem do której przy niej czuwałam, w każdym razie Wojtek o czwartej rano wszedł do pokoju i spytał dlaczego nie śpię w sypialni. Mimi po tej krytycznej nocy poczuła się lepiej. Je i śpi, śpi i je. Wczoraj pojechaliliśmy do Górowa na zastrzyk.

Po tej krytycznej nocy rozmawiałam z Beatą, to właśnie ona wpadła na pomysł poszukania weta w Lidzbarku Warmińskim. Wojtek znalazł, a ja dzisiaj zadzwoniłam. O 15 ruszyliśmy do pani doktor na zastrzyk i na konsultację. Pani doktor zrobiła USG, zważyła Mimi i zdecydowała, że jeszcze przez trzy dni będzie dostawać antybiotyk, a w poniedziałek o 12.00 zabieg. Nie ma na co czekać, tym bardziej, że Mimi ładnie przybiera na wadze. A teraz o rezydentach. Czują się dobrze, poznają dom. Obawiałam się o Franciszkę, ale ona jest zadowolona. Najbardziej nie może odnaleźć się

Kiler, sądzę że tęskni za synem. Lubił go. Hana zwana Księżniczką Ruru rozrabia na całego. No i pozostaje kwestia Mimi, której trzeba będzie znaleźć nowy dom, kiedy wyzdrowieje, bo cztery koty w naszym małym domu to, niestety, za dużo.



11 listopada

Tekst o niczym

Dzisiejszy mroźny, roziskrzony słońcem poranek był na osłodę, coś à la gumka myszka na wszelkie troski i zmartwienia. Dochodzi jedenasta, mam już za sobą drugą kawę i słońce zdążyło się już schować za kotarę skłębionych szarych chmur, aczkolwiek przez dziury widać jeszcze skrawki błękitu. Pierwszą kawę wypilem przy komputerze, wertując wirtualny żurnal poranny. Boże miły! Coraz mniej rozumiem z tego, co się tam w świecie odległym dzieje. Psychodeliczny dzień świra.

– Nasza jest Polska tylko! Tylko my – Polacy! Jest tylko jedna racja! I ja! My ją mamy!

– Moja jest tylko racja i to święta racja. Bo nawet jak jest twoja, to moja jest mojsza niż twojsza. Że właśnie moja racja jest racja najmojsza! Bóg! Honor! Ojczyzna!

Słońce wyszło zza pagórka, wbiło mi się oczy, wymarznięta łąka roziskrzyła się miliardem diamentów. Zgasilem komputer, pal lichu czyja jest racja najmojsza, precz z wojną polsko-polską pod flagą biało-czerwoną. Wysprzątałem kominiek, wdziałem onuce i gumofilce (idealne buty na każdą porę roku) i delikatnie kąsany mrozkiem, w samym polarze, pomaszerowałem do szopy po suche drewno. Jako że zapas deszczulek się był skończył, chwyciłem więc za starą siekierę i narąbałem całą ikejowską torbę. – Stoi i sapie, dyszy i dmucha, żar z rozgrzanego jego brzucha bucha, buch – jak gorąco! uch – jak gorąco! puff – jak gorąco! uff – jak gorąco! – rozrechotały się na mój widok kury. Kopniakiem je przegoniłem, torbę zatargałem pod ganek, a że w tak pięknych okolicznościach przyrody... I niepowtarzalnej... power wielki po-

czułem, przysiadłem, chwyciłem oburącz, ścisnąłem mocno, sapnąłem i... kibel wyrwałem, maszerując z nim do stodoły. Spokojnie! Nie ten w łazience, chi, chi, stary, który stał koło ganku i już od dawna należało go gdzieś schować.

– Lecz choćby przyszło tysiąc atletów, i każdy zjadłby tysiąc kotletów, i każdy nie wiem jak się wytężał, to nie udźwigną, taki to ciężar! – rozgdały się na mój widok kury, pozostając w bezpiecznej odległości, równej dwukrotności rzutu gumofilcem. A potem było pyszne śniadanie pod starym zegarem, naszym metronomem czasu leniwie płynącego. I druga kawa przy trzaskającym w kominku drewnie, z lekką nutką kocich pomruków. Kończę ten tekst o niczym, za oknem z nieba sypie mąką, świat odległy zniknął, ledwie widać drzewa przy drodze na Dwórzno.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

12 listopada

Co my zrobimy z tyloma kotami?

Poranne spacerowanie z Kudełkiem należy do obowiązków Wojtka, jednak dzisiaj było inaczej. Słońce zaświeciło tak pięknie, że nasza mnie straszna chęć złapać aparat i wyjść na spacer. Nie wiem co się stało, może to pierwszy śnieg, który umiejętnie zakrył błoto, może słońce, a może to, że Mimi czuje się dobrze. Odłożyłam na bok wszystkie troski ogłaszając dzień bez zmartwień. Nawet fakt, że nasi pierwsi goście zmienili zdanie i nie przyjechali, nie zasmucił mnie.

Kiedy wychodzimy z domu Nołnejm czeka już na schodach. Kiedy Wojtek kupił dom, dostał kota w pakiecie. Bo kot niczyj, podwórkowy, starsza pani nie zabrała go do miasta. Został, bo co mieliśmy zrobić? Na początku sądziliśmy, że ma chorą skórę, bo w okolicach karku nie miał sierści. Kot został odrobaczony, Woj-

tek nadał mu imię i tak pozostał z nami na tej warmińskiej wsi, mimo że nie mieszka z nami w domu. Chodzi z nami na spacer, tak jak pies pilnuje się nogi, a potem wraca do miseczki, która czeka na niego na ganku.

Spacerując z kotem i psem zastanawiałam się skąd ta miłość do kotów. Przecież ja wolę psy. Najpierw była Franciszka, zabrana z obwodnicy trójmiejskiej, później dołączył do niej Kiler przywieziony z Elbląga. Hana została znaleziona na działkach. No i teraz księżniczka Mimi. I co my zrobimy z tyloma kotami – powtarza Wojtek. – Nie wiem – odpowiadam. Dom bez kotów jest jakiś niepełny. Może to one powodują, że dzisiejszy dzień stał się trochę weselszy.



13 listopada

O rozpasaniu

Rozpasałem się i to podwójnie. Nie mylić z rozpasłem, jedna mała literka „a” w środku, a różnica znaczeniowa ogromna. Ale do rzeczy. Pierwsze rozpasanie jest wybacalne, bo niczym złym nie grozi, wręcz przeciwnie, jest wskazane, choć może w mniejszych dawkach. Myślę o rozpasaniu waniennym. Codzienna kąpielka w gorącej wodzie, coby – idealne wytłumaczenie – wygrzać stare kości. Zwłaszcza gdy za oknem mroźna noc polarna. Nie ma wtedy nic miłszego niż zanurzyć się po czubek głowy we wrzątku. Niebo gwiazdziste nade mną (jako że wanna przy oknie stoi) i prawo moralne we mnie. Prawo moralne do kąpieli, znaczy się.

Niestety przyjemność psuje smok zielony, co to w sąsiedniej komnacie pomieszkuje i wielce jest pazerny. W połowie ablucji budzi się wygłodniały, ogniem w komin pluje, paszczę rozwiera i zachłannie pożera worek pelletu za workiem. A ja w myślach sumuje, 13 + 13 + 13 and so on, bo po tyle jeden worek chodzi.

Drugie rozpasanie kosztowało mnie znacznie więcej niż parę worków pelletu. A taki czułem się już wolny powolny, niczym nieskrępowany. Za górką nawet myśl przez łepetynę przeleciała,

a może by skończyć z rozpasaniem? Przypasać się, ograniczyć, skrępować. Lecz za późno. Za starym, nieczynnym górowieckim dworcem wyskoczył zza garażu wyodblaskowany, wyniebieszczony, machając radośnie świecącą pałeczką niczym mieczem Jedi. Zamarkowałem przypasanie, ale widząc szeroki uśmiech na jego młodzieńczej twarzy, odpuściłem.

– Widziałem! Widziałem! – krzyczały jego roześmiane sokole oczy. Grzecznie się przedstawił, o dokumenty poprosił, rozpasanie wytknął, balonik pod nos podetknął, chuchać kazał i karę wedle taryfy wyrecytował. Och, gdzie te czasy, bardzo dawne czasy – kiedy mego pałeczkarza na świecie jeszcze nie było – gdy człowiek wzbijał się na wyżyny dialektyki erystycznej. No i przypłaciłem rozpasanie zubożeniem o złotych sto, a moje dziewicze od bardzo wielu lat (bodajże dziesięciu) konto skalało się dwoma punktami karnymi. No cóż, *Nulla poena sine culpa*.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

14 listopada

Złe i dobre wieści

Zacząć od dobrych czy złych wiadomości? Zawsze zaczynam od złych. Jedna z moich kur, moja ulubienica, zaginęła. Nie wiemy jak to się stało. Rano była, wieczorem kiedy zamykailiśmy kurnik już jej nie było. Lubiłam Balbinę. Podczas posiłku ponownie wrócił temat psa na podwórku, który odstraszyłby ewentualną dziką zwierzynę. Ten temat co jakiś czas wraca, bo ja nie potrafię go rozwiązać, coś mi zgrzyta, coś mi nie pasuje. Wojtek jako racjonalista nie widzi większego problemu. – Albo nie masz kur i psa na podwórku, albo chowasz kury i masz psa, który je pilnuje.

No niby proste, ale dla mnie nie aż takie oczywiste. Kiedy mieszkałam w mieście, serce moje krwawiło kiedy widziałam łań-

cuchowego psa na podwórzu. Bo mu zimno. Bo na uwięzi. No i jak to, Kudełek na kanapie, a inny pies na dworze? Pies puszczone luzem to też nie jest dobre rozwiązanie, bo teren nieogrodzony, a o ogrodzeniu, z uwagi na finanse, możemy sobie pomarzyć. Więc gdzie jest złoty środek?

Teraz dobre wiadomości. Mimi jest już w domu po zabiegu. Macica została usunięta. Jest jeszcze bardzo słaba, ale idzie ku dobru. W środę dostanie zastrzyk. Jutro pierwszy posiłek. Cieszymy się z Wojtkiem, że jesteście już po, że zdążyliśmy ją uratować. Druga dobra wiadomość. Wczorajsza wizyta była bardzo udana, aż nie chciało się od nich wychodzić. Chciałabym bardzo, żeby nie skończyło to się na rewizycie u nas. U naszych nowych znajomych poruszaliśmy temat kotów.



16 listopada

Krótkie i ciemne dni rozpięte między wschodem i zachodem słońca

Coś uszła ze mnie cała energia. Sflaczałem jak przedziurawiony balon. Trudno wykrzesać choć trochę energii. Bo listopad czas marny? Bo słońca brak i wieje tak, że komin zamienia się w fujarkę? Taki cug, że wciąga polana w górę. Przedwczoraj niebo zapłonęło krwawo nad Paprocinem o zachodzie. Łuna biła jakby od wielkiego pożaru. Już chciałem na 112 dzwonić, lecz tak szybko jak się pojawiła tak zgasła. Gdy z psem wyszedłem, tylko dogasająca złota pożoga gasła za sylwetkami drzew. Niedługo potem zza górowieckiego lasu wypłynął na nieboskłon wielki, czerwony, poplamiony balon. Wznosił się i stawał coraz bielszy i jaśniejszy, jakby chciał dorównać listopadowemu słońcu, którym się żywił.

Poszedłem sprawdzić czy aby zamknąłem kury. Mimo że to noc, było niesamowicie jasno. Jakaś tajemnicza siła zawładnęła mną i kazała wspiąć się na górkę, po zeszlonej mrozem, chrząszczącej pod stopami trawie. Sta na szczycie i rozejrzałem się wkoło. Ocean pagórków skąpany był w spływającej z nieba

zimnej, lunatycznej bieli. Parę słabych świateł w oddali było dowodem na to, że ta ziemia nie całkiem jest wyludniona. Od strony siedliska Lasotów zawył pies, potem zawtórował mu drugi, od strony Dwórzna, a może to były wilki. Rok 2016 był to dziwny rok – napisze po latach kronikarz – w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Wczoraj północny wiatr sypał lodowatymi igłami. Zima kasała. Dzisiaj ociepliło się, przestało wiać, białość spłynęła, wypełzło błoto. Trudno przejść, a co dopiero przejechać autem. Oł, zachciało się mieszczuchowi sielskiej wsi.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

16 listopada

A pamiętasz miły jak...

Nastały dni zimne, pełne hulającego wiatru i deszczu. Białych puch, który tak ostatnio cieszył, znikł odkrywając błoto na podwórku. Wyręcam Wojtka z porannych spacerów z psem. Jego niebieska wysłużona kurtka jest podszyta wiatrem, dziurawa po bokach. Nie dalej jak wczoraj, podczas poobiedniej herbaty próbowałam go przekonać, że powinien pojechać do Lidzbarka Warmińskiego i zająć do sklepu dla panów o słusznej posturze.

– Nie możemy sobie na to pozwolić – odpowiedział – trzeba kupić pralkę. Nowa pralka została w starym mieszkaniu u syna. Nie potrafiłam jej mu zabrać.

Poranek nasz codzienny. Zaparzam kawę w ulubionym kubku. Karmię koty, które kręcą się pod nogami, sprzątam cztery kuwety. Zostawiam niedopitą kawę i ubieram kurtkę, troszkę na mnie za dużą. Syn ją kiedyś dostał do pracy od swojego brata. Tu pasuje idealnie, jest ciepła, nie przepuszcza wiatru. Gumofilce, idealne buty na błoto. Otwieram kurnik. Najpierw wychodzą Śnieżka i Balbina, potem następne cztery. Na końcu kogut Edward. Przez

chwilę na nie patrzę i idziemy dalej drogą, która prowadzi do ruin domu Krzywców. Kiedy patrzę na nie, przypominają mi się słowa starszej pani: „to dobra kobieta była, on był zły”.

Jaka była prawda, tego już nigdy się nie dowiemy. Namawiam Wojtkę, żebyśmy pojechali do starszej pani i spisali ich historię, może umieściłby ją w książce. Bardzo często o niej rozmawiamy. Jeszcze nie przyszedł na nią czas. Może jak wyjdziemy z kłopotów finansowych? Nie sądziłam, że kredyt będzie tak ogromnym obciążeniem psychicznym dla Wojtka. To mnie martwi.

Wracamy ze spaceru. Koty cieszą się na powrót Kudełka. Podskakują ocierając się o niego, obwąchują mokre łapy. Po chwili wszystko wraca do normy. Księżniczka Mimi kładzie się do kartoniku, który miał być spalony. Franciszka wskakuje do dużego kartonu, Kiler kładzie się z Haną na oparciu fotela. Dopijam zimną kawę. Ot, zwykły poranek, a może niezwykły?

– Znalazłem pralkę za 300 zł, dzisiaj pan ją przywiezie – mówi Wojtek. Cieszę się a zarazem martwię, bo ma stanąć w kotłowni, a tam narzędzia Adamowe i brak podłączenia. A sam Adam? Co poniedziałek obiecuje, że przyjedzie i nie przyjeżdża, bo inna budowa. Straciłam serce do niego. Dlaczego o tym piszę? Za kilka lat nie będzie pamiętać się o emocjach, za kilka lat będzie inaczej się to wspominało. „A pamiętasz miły jak przywiózł nam pan pralkę, jak bardzo się nią cieszyliśmy? Pierwsze pranie...”



19 listopada

Statek obcych

Biały obelisk pojawił się na górze dziękczynnej rankiem pierwszego lipca. Momentalnie otoczyły go mrówki, które stwierdziły po dłuższej deliberacji, że jest to statek obcych. Paru mrówczych śmiałków, którzy odważyli się wpełznąć do środka, stwierdziło że jest tam wielka, pusta komnata pachnąca jedzeniem. Wierzące stwierdziły, iż jest to dar od Boga i lada moment ów wielki, sięgający nieba biały obelisk zapełni się darami. Rzuciły się więc do

modłów dziękczynnych, wychwalając pod niebiosa Pana wszelkiego stworzenia. I nie pomyliły się. Wewnętrzna komnata zapełniła się jadłem wszelakim, ale droga do niej była niełatwa. Wiele sióstr poległo, nie mogąc w ciemnościach znaleźć drogi powrotnej, w dodatku mróz tam panował okrutny, zwłaszcza w dolnej, odkrytej później komnacie.

Wiarę w nadprzyrodzone pochodzenie białego obelisku zachwiało odkrycie, iż opiekują się nim sięgający chmur giganci. Zwłaszcza jeden z nich, najpotężniejszy, ważący chyba z milion mrówczych ton, często wokół obelisku krążył. Każdy jego krok wywoływał trzęsienie ziemi. Siostry, które nieopatrznie znalazły się na jego drodze ginęły wgniecione głęboko w ziemię.

Religijne udowadniały, że są to anioły Pana i im też należy składać cześć. Ateistki i agnostyczki (niech wyginie ich plemię!) twierdziły zaś, iż to właśnie obcy, którzy wylądowali białym statkiem, aczkolwiek nie umiały wytłumaczyć jak się w nim zmieścili, zwłaszcza ten największy. Nie wiedziały mrówki, iż to Jurek Koparka podarował nowym władcom siedliska swoją starą lodówkę, co też wielce ich uradowało, bo jako uchodźcy z wielkiego miasta nie mieli prawie nic. A każdą zarobioną złotówkę pakowali w remont starego domu pod bocianem.

23 listopada

Dworkowe życie

– Wiedziecie dworkowe życie – stwierdził znajomy z Gdańska, gdy opowiedziałem mu jak się tu żyje. Coś w tym jest. Czas płynie tutaj powoli, własnym, niczym nie przyspieszanym rytmem. Budzę się wcześnie, trochę przed piątą, za oknem ciemno choć oko wykol. Parzę kawę, sępiony przez wygłodniałe przez noc koty. Jakiś kęsek dostaje co najwyżej księżniczka Mimi, do niedawna koci szkieletor. Reszta musi poczekać. Siorbię słodzoną kofeinę, weruję żurnal, obskakuję fejsa, a potem pracuję do siódmej. W międzyczasie wstaje dzień, słońce wyskakuje zza górki, o ile nie skryje go szara kotara. Trochę po siódmej sprzątam kominek i rozpa-

lam. Lubię potem posiedzieć chwilę na starej kanapie i popatrzeć w drewno pożerane przez rozbisurmaniony ogień.

Tuż przed ósmą pora na wypuszczenie i nakarmienie kur i spacer z psem, który już od godziny daje znaki, że zawiązał sobie na supełek ;-). Gania radośnie na tych swoich trzech łapach, a ja człapię w gumofilcach, sycząc co chwila, bo parę dni temu skręciłem sobie kostkę i jeszcze mnie trzyma.

Pracuję jeszcze trochę i po dziewiątej jem śniadanie pod starym zegarem, przy bukowym stole, powoli, rozmawiając, bo nigdzie nie śpieszno, i to jest dobre. Kawa o jedenastej, tym razem rozpuszczalna, gdy dużo pracy to pita przy komputerze.

I nadchodzi piętnasta, dość pracy, pora zjeść obiad i odpocząć. Najmilsza pora dnia, herbata miętowa zakąszana zakazanym antydepresantem z działu cukierniczego w górowieckiej Biedrze, bądź Polo.

Z pół od strony Paprocina spływa zimna mgła, a za nią nadpełza ciemność, poprzedzona czasem pięknym czerwonożółtym rozbłyskiem gasnącego słońca. I jest ciemno, ogień trzaska w kominku, rozmawiamy albo milczymy. Czytamy, a koty harcują.

Bywa też, że wpadają goście, albo my idziemy w gości, tak jak dzisiaj, do nowo poznanych osadników z Dwórzna. Uraczyli nas niesamowitym sushi własnej roboty, i jak my się teraz zrewanżujemy? Za parę dni też idziemy w gości, a w niedzielę goście zawitają do nas. Wizyty, rewizyty, życie dworkowe Anno Domini 2016 na skraju świata.

22 listopada

Oby wystarczyło cierpliwości i sił

Dzisiaj będzie o dużych i mniejszych radościach, a tych nazbierało się troszkę. – Oj zaraz będziesz płakać – powiedział Wojtek wchodząc do pokoju z paczką.

Spodziewałam się paczki, bo Ania zwana Panterą poprosiła mnie o nowy adres. Wszystkie rzeczy bardzo mi się spodobały, ale dwie w szczególności. Szlafrok, który ubieram każdego ranka i piję w nim kawę. Jest bardzo długi, taki bardziej do poleżenia, i bardzo ciepły. Wojtek czasem go podkłada, przykrywając się podczas picia popołudniowej miętowej herbaty. Trzy anioły, które były kropłą, ale nie goryczy.

W zeszłym tygodniu odwiedzili nas nowi znajomi. W prezencie dostaliśmy koszyk jabłek i do powieszenia, malowane na sklejce dwa przytulone anioły. Nie wiem skąd Asia wiedziała, że lubię anioły, w każdym razie przyfrunął do mnie kolejny anioł. Zaczęłam dla nich szukać miejsca. Przykładałam do ściany i nigdzie mi nie pasowały.

Jedna ze starych ścian pomiędzy salonem a jadalnią nie została wytynkowana. Jakiś czas temu Wojtek rzucił myśl, że może obłożymy ją starymi deskami. – Będziesz miała swoją namiastkę Podlasia – powiedział.

Temat zamarł na chwilę. I kiedy nazbierało się aniołów, pomyślałam sobie, że może powinny zawisnąć na drewnianej ścianie. Przytargałam grube deski ze stodoły, dołożyliśmy do ściany i zaczęłam wiercić dziurę w brzuchu Wojtka.

A wiecie jak facetom trudno zabrać się do pracy, a to nie ma łat, a to nie ma odpowiednich gwoździ. Obiecał w sobotę. Sobota minęła. W niedzielę spuchła Wojtkowi kostka, zaczął kuleć. Prace zostały wstrzymane. Wczoraj coś tam zostało dokupione, co pozwoli stabilnie przymocować łaty do ściany. No jest nadzieja na tę sobotę.

Jakiś czas temu Wojtek ściągnął mi film *Dzika jak natura*.

– Obejrzyj, na pewno Ci się spodoba – zachęcał. Zabierałam się do niego jak do jeża. W końcu pewnego wieczora, leżąc już w sypialni, obejrzałam go. Prawdziwa historia prawdziwej kobiety, która sięgnęła po marzenia, a jej marzeniem było stworzenie ogrodu. Piękny inspirujący film, który bardzo pobudził mnie do działania. Trochę to potrwa, ale stworzę takie miejsce.

Małymi kroczkami zaczęłam likwidować rzeczy, które bardzo mi przeszkadzają. Na pierwszy ogień poszło błoto na podwórku. Własnymi rękami, grabiami i łopatą częściowo je usunęłam. Wielki kawał ziemi przykryłam folią budowlaną, przeleży przez rok, a później posadzę tam sad. Wojtek się ze mnie śmieje, że gdybym urodziła się w latach pięćdziesiątych zostałąbym przodowniczką pracy.

I wiecie co wam jeszcze powiem, jestem z siebie dumna, a zdarza mi się to bardzo rzadko. – Stworzyliście miejsce z klimatem – powiedziały dwie pary, które niedawno nas odwiedzały. Usiadłam w fotelu, popatrzyłam na jadalnię połączoną z niedokończoną kuchnią. Wojtka pieniądze poszły na zakup domu, kredyt na remont, na wnętrza poszło tak naprawdę niewiele pieniędzy.

To myśmy to stworzyli, za niewielkie pieniądze. Tak, to mi dało skrzydeł, zainspirowało do dalszego działania. Kiedyś tu będzie pięknie, za kilka lat, oby wystarczyło mi cierpliwości i siły do tworzenia.



24 listopada

Księżniczka RuRu

Wskakuje na mnie przeważnie wtedy kiedy pracuję. Najpierw mnie ugniata, ciamka polar, tak jakby szukała cycka. To koci od-ruch sierocy, tak jak ssanie kciuka u niektórych dzieci. Matka ją porzuciła, skazała na śmierć gdy miała parę tygodni, widocznie wiedzioną kocim instynktem uznała, że nie zdąży jej odchowić przed zimą, mała urodziła się we wrześniu. Uratowaliśmy ją, wykarmiliśmy butelką ze smoczkiem, wychuchaliśmy, wyrosła na

dorodną kocicę. Gdy już mnie ugniecie i wyciamka rozkłada się na mojej piersi szerokiej i robi maślane oczy, mruczając miłosne wyznania. – Pieść mnie, drap mnie, za uchem, o tu, o tak, i jeszcze tu, i tam – wymrukuje. I pracuj tu dalej człowieku! Bo przecież nie przegonisz, nie złamiesz kociego serca.

A dlaczego RuRu? Na początku została nazwana Hana. Gdy ją coś ucieszy, zaciekawia, wydaje odgłos brzmiący jak „rururu”, no i już tak przylgnęło do niej. Długo te nasze karesy nie trwają, no chyba, że zdąży przysnąć, bo wystarczy, że zabrzęczy mucha, coś gdzieś chrobotnie, zaskrzypi i już zrywa się w te pędy. Skacze pod sufit, wdrapuje się wyżej niż Mount Everest. ADHD w kocim wydaniu.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

24 listopada

Asia i Patryk

Trzeba było wyprowadzić się na wieś, żeby skosztować sushi i spróbować jeść pałeczkami :) Trzeba było wyprowadzić się na wieś, żeby spowolnić i zrozumieć co ważne i istotne w życiu. Trzeba było wyprowadzić się na wieś, żeby poukładać w swojej głowie jak szufladach szafy.

A teraz będzie o nowych znajomych. Myślę sobie, że świat jest jednak bardzo mały. Wojtek czytywał bloga Patryka. Kiedy mieszkaliśmy w stodole i dopadł nas kryzys Wojtek znalazł ich agroturystykę. Tylko moje skąpstwo nie pozwoliło nam zadzwonić wtedy do nich.

Latem jeden z Wojtka kolegów jadąc z drugiego krańca naszej wsi zrobił zdjęcie ich koniom i umieścił na fb. Od nitki do kłębka, i Asia zostawiła Wojtkowi wiadomość na fb. I tak to się zaczęło. Pamiętacie zapewne jak po pierwszej wizycie pisałam, że nie chciałabym, aby skończyło się na rewizycie. No i się nie skoń-

czyło. Zostaliśmy zaproszeni na sushi. Sushi, które jadłam po raz pierwszy w życiu, wykonane przez nich samodzielnie, bardzo mi smakowało. A imbir krojony w wiórki w zalewie przygotowanej przez gospodynię – pyszny! Asia uwielbia tę potrawę, jak sama powiedziała jada ją wszędzie, gdzie to jest możliwe, a podobno najlepsze sushi jest w Sopocie. Nie nauczyłam się jeść patyczkami, ale przy ich stole to nie było nic zdrożnego. Jadłam palcami mając przy tym ogromną frajdę. A na deser był ananas.

Jeszcze nie wiem co w nich takiego jest, ale nie czuję się przy nich skrępowana. Nie stresują mnie wizyty u nich. A jacy oni są? Inteligentni, z ogromnym poczuciem humoru. Jest w nich też dużo pokory do ziemi. Tą cechę wypracowała w sobie również Beata z Pupek. Nie wiem, może kiedy i ja pomieszkam tu dłużej, osiągnę taką harmonię i spokój duszy. Ogromnie się cieszę, że mieszkamy na dwóch krańcach wsi, że zawsze mogę do nich podjechać chociażby po ekologiczne ziemniaki.

No tak zupełnie zapomniałam. Ten aniołek na desce, który otrzymaliśmy od nich, jest własnoręcznie namalowany przez Asię. Jeszcze nie mogę go powiesić, bo nie ma ściany. Kiedy będzie? Tego nie wiedzą najstarsi górale. Wojtek pracuje, a jak pracuje, nie można mu przeszkadzać. Będzie kasa, będzie na ratę i z tego trzeba się cieszyć :-). Następnym razem będzie o moich poczynaniach porządkowych i wizjach zagospodarowania terenu.

25 listopada

Zdjęcie

– Zrobiłem zdjęcie w stylu, który lubisz – powiedział Wojtek kilka dni temu. Jego zdjęcie przypomniało mi o naszych podróżach tych bliższych i dalszych. Kiedy mijaliśmy domy nigdy nie zastanawiałam się skąd ludzie na to wzięli pieniądze, nie zastanawiałam się nad tym czy chciałabym tam mieszkać. Ciekawiło mnie czy ludzie, którzy tam mieszkają, są szczęśliwi.

– Wiem, wiem o czym myślisz, na pewno są szczęśliwi – żartował Wojtek kiedy widział mnie zamyśloną z przyklejonym nosem do bocznej szyby. Nie wiem dlaczego właśnie to zdjęcie wywo-

łało u mnie tyle refleksji. Jeszcze kilka lat temu podobne domy sprzątałam. Wtedy, wychodząc z domu prawnika czy biznesmena nawet do głowy by mi nie przyszło, że kiedyś sama zamieszkam na wsi w starym domu. Kto by pomyślał, że wszystko tak szybko się potoczy. I tu powinnam napisać coś w stylu „trzeba wierzyć, że marzenia się spełniają”. Ja nie wierzyłam. Dlatego nie mogę tak napisać. Tak, powoli zaczynam być tu szczęśliwa. Lubię ten swój rytm dnia, coraz spokojniejszy.



28 listopada

Duło

Wczoraj duło tak, że zapewne zabrakło gołych bab w Pucku. Komin zamienił się w rurę od odkurzacza, nie nadążałem z wrzucaniem drewna. Ledwo co wrzuciłem polano, to ono płonące sru do góry, kominem do nieba. Za oknem smolistą czernź rozcinały meteoryty śnieżynek. Budziłem się parę razy w nocy sprawdzając czy mam jeszcze dach nad głową. Ale stary dom pod bocianem, ze swoimi grubymi na pół metra ścianami z pruskiej cegły, nie takie wichury znosił podczas swojego długiego życia.

Szarym rankiem poszedłem sprawdzić czy droga jest jeszcze przejezdna, w oczy mógłby zajrzeć głód, bo zapasów raczej nie za wiele. Nie byłoby nawet czym kopać tunelu, bo łopata śniegowa jest dopiero na liście rzeczy do kupienia. Na szczęście co nawiało to wywiało. Po śniadaniu, robiąc w kieracie, w oczy me uderzyło nagle słońce, które rozerwało zasłonę chmur. Jednocześnie wiatr zdmuchnął puch jaki zebrał się na dachu ganku i w powietrzu roziskrzył się miliard diamencików, i jeszcze, jak na zawołanie, z głośników rozległo się owe słynne łup-łup-łup na perkusji w wykonaniu Philla Colinsa w jego boskim utworze *In the Air Tonight*. No toż dreszcz taki przeleciał mi po karku, w tak pięknych okolicznościach przyrody... I niepowtarzalnej.

O siedemnastej, długo po tym jak zgasły ostatnie promienie słońca, poszedłem z psem na spacer. Przyświecam sobie komórko-

wą latarnią, bo ciemność okrutna. W dali tylko świecą się maszty górowieckie, parę sąsiedzkich, rozrzuconych po pagórkach siedlisk. Pod nogami chrobotał zmrożony śnieg. Ale na niebie coś nie do opisanego, i niestety nie do uwiecznienia moją zorką. W idealnie czarnej tkaninie ktoś zrobił miliardy miliardów otworków, różnej wielkości. Uniosłem moje małe światełko do nieba i pomachałem krzycząc: hop! hop! Tutaj jestem! Przybywajcie w pokoju! Niestety, niebo pozostało głuche i żadne E.T. nie spłynęło z nieba. No cóż, może czerwcową krótką nocą coś wygniotą w zbożu u sąsiada, chi, chi.

29 listopada

Gonna Fly now!

Paaaaaanie! Paaanowie! Proszę o uwaaaaagę! Oto oni! Już są! Oklaski proszę!!! W lewym narożniku, w białoszarym futrze, Rocky Nołnejm, w prawym zaś jego przeciwnik, powiedziałbym nawet śmiertelny wróg, RedCat The Lynx, w futrze koloru rdzy! Tak! Dzisiaj jest ten dzień! Dzień, który zapamiętają państwo do końca świata, dzień w którym rozstrzygnie się kto jest mistrzem.

Spójrzcie państwo na Nołnejma, który ma szansę dzisiaj sięgnąć po złoty pas, czyż jest to do uwierzenia? On, do niedawna jeszcze takie chuchro, który na sam widok RedCata zwiewał gdzie pieprz rośnie? Dzisiaj chce pogonić kota Lynxowi!

Ależ jak on się zmienił! Pamiętają go państwo jeszcze parę miesięcy temu? Worek kości. A dzisiaj! Piękne lśniące futro, i te grające pod nim zwały mięśni. Ten kark, te łapska uzbrojone w stalowe pazury! Jaką ciężką pracę wykonał Nołnejm przez ostatnie miesiące, przejść z kategorii papierowej do ciężkiej, jest wyzwaniem nie lada!

I stoją teraz oto przed sobą, warczą groźnie, sapia, futra zjeżone, w słońcu lśnią ostre pazury! I zwarli się! Co za emocje! Co za emocje! Nic nie widać, który górą? Tańczyły dwa tajgery, / Jeden duży, drugi mały. / Jak ten duży zaczął krążyć, / To ten mały nie mógł zdążyć. Lecz co paczą oczy me? Nołnejm górą? Przygniótł Lynxa całą swą superciężką masą do ziemi, aż tamten

cienko zapiszczał, jak niemowlę! Czy państwo w to uwierzą?? KO! KO! Nokaut! 1... 2... 3... 4... 5... 10! Miiiiiiiiistrz! Mamy nowego mistrzaaaaaa! Panie, panowie! Kto by się tego spodziewał? Wygrał! Zwyciężył Rocky Nołnejm! Gorące brawa! Gorące brawa!

– Gonna fly now, flying high now, gonna fly, fly, fly... – śpiewają czirliderki kury na cześć nowego mistrza!

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

29 listopada

Moje przetwory

Co dała mi ziemia oprócz ciężkiej pracy? Ponad 300 słoików przeróżnych przetworów. Jestem jej za to bardzo wdzięczna. Czy coś się zmieniło po tym sezonie? Tak, bardzo dużo. Wiem, że nie będę sadziła ziemniaków, kukurydzy i jeszcze wielu innych rzeczy. Ziemniaki zjadła stonka, mimo że zbierałam ją co wieczór. Kukurydza miała niewielkie kolby. W przyszłym roku chciałabym posadzić więcej dyni, kabaczków, cukinii i ogórków.

Bardzo spodobało mi się przetwarzanie warzyw. Na pewno (jeśli obrodzą) zrobię zielone pomidory. Z cukinii i kabaczków oprócz sałatek do obiadu mam zamiar zrobić więcej dżemów. Robiłam je w różnych konfiguracjach: z galaretką, z pomarańczą z cukrem żelującym. Smakuje nam również keczup z cukinii. Na pewno zrobię cukinię o smaku ananasa. Mieć własne warzywa, i robić z nich własne przetwory, to jedna z piękniejszych rzeczy, którą można robić na wsi. Jednak wszystko musi mieć pewne granice rozsądku. Ja nie zachowałam tych granic. Bo u mnie jak pracować to na maksa. Tak też było gdy pracowałam zawodowo.

Pierwszy sezon tak mnie zmęczył, że miałam dość. Mam tylko jedną parę rąk. Nic się nie stanie jak kupię z dobrego źródła ziemniaki. Nic się nie stanie jeśli czegoś mi zabraknie. Ten czas mogę wykorzystać zupełnie inaczej, chociażby na dłubaniu palcem w bucie.

We dwoje jest łatwiej

- Wojtku, Wojtku! – wołam głośno.
- Co? – odpowiada z łazienki.
- Potańczymy? Dzisiaj Andrzejki.
- W Andrzejki się nie tańczy, tylko wróży.
- To powróżymy sobie? – prawie krzyczę, bo właśnie Wojtek dolewa ciepłej wody do wanny.
- Powiedz stop – odpowiada Wojtek.
- Dziwię się trochę, ale krzyczę stop.
- Będziesz szczęśliwa, zdrowa i bogata, już ci powróżyłem.
- Tak właśnie czasami z sobą rozmawiamy. Oby się spełniła jego wróżba :-)

Dzień który mija był dobrym dniem, takim zwykłym, bez spinania się, że coś tam, że z czymś nie zdążyłam. Dzień wyznaczony posiłkami. Przed dziewiątą śniadanie, przed piętnastą obiad. Minął gdzieś pomiędzy rozmowami telefonicznymi z Gabrysią, siostrą i bratem. Jutro czeka mnie podróż, jadę do Gdańska załatwić sprawy urzędowe. Jadę z samego rana, bo nie lubię jeździć kiedy się ściemnia. Wykorzystam ten czas na buszowanie po tanich sklepach, a wieczorem na rozmowy z synem. Może będzie mi dane poznać tą wyjątkową Anię.





Grudzień

1 grudnia

Mglisto, plumkająco na oceanie mgieł

Kwadrans na ósmą słońce przez chwilę błysnęło mi w oczy przez szparę między horyzontem a szarą, wiszącą nisko kołdrą z chmur. Potem z nieba spłynęła zimna, biała mgła i wymazała świat odległy. Siedlisko jest jak wyspa na oceanie mgieł. Parę metrów za granicą hacjendy jest już tylko biel nieprzenikniona. Popijam kawę, patrzę w okno z mego pracowniczego fotela i próbuję zabrać się do pracy. Z głośników plumka youtubowej proveniencji s(e)akso(n)a muza. Niosą ją bity po niewidzialnej nitce LTE, więc świat odległy jeszcze istnieje. Dzisiaj Robinson jest sam, Piętaszek wsiadł w czółno i zmierza do odległego miasta nad zatoką zimnego morza. Z czego bardzo niepokieszony jest trójnogi pies. Delegacja kotów przysłała z postulatem nie do odrzucenia, abym w końcu raczył napalić w kominku, bo robi się zimno jak w psiarni, a w kociarni ma być ciepło i już. No dobra, koniec laby, kofeina w żyłę wbita, praca czyni wolnym...

3 grudnia

Psychodelicznie

Zamilkłem na parę dni. Zanurzyłem głęboko w pracę. Podciągnąłem tyły, wylizałem finansowe rany, goją się, to dobrze. Dobrze, że jest robota, bo czyni ona wolnym i radosnym, ale horyzont zdarzeń blizutki, na wyciągnięcie ręki. To czasem martwi. Wczoraj świat zewnętrzny zabielił się symbolicznie. Poszedłem na spacer z trójnogim psem w stronę siedliska Andrzejów. W powietrzu

unosila się zimna mgła, rozświetlana od góry przez słońce, barwiąca się na subtelny odcień różu. Psychodelicznie. Na zakręcie koło starej dzikiej gruszy ktoś zawołał z daleka „cześć Wojtek”, zamachałem ręką. To była żona Andrzeja. Nie byłem więc sam na planecie Ziemia.

Dzisiejszej nocy sypnęło mocniej. Słońce rozprawiło się z materią chmur i natangijski ocean rozbłysł kłującą w oczy bielą. Rozładowaliśmy czołno Piętaszka, przytargaliśmy parę worków pelletu i dwie taczki drewna z obory. Starczy na kolejny tydzień grzania. Zjedliśmy śniadanie pod starym zegarem, wyczyściłem zielonego smoka (muszę o tym napisać więcej) i powiosłowałem czołnem drogą do miasteczka. Zawitałem do warmińskiej piekarni po trzy – jak to określiła pani ekspedientka – ściachane bochny chleba i babkę cytrynową, dla gości, którzy wpadną po południu.

4 grudnia

Gumofilce

O Gumofilce, buty wiejskie moje, ile was trzeba cenić ten się tylko dowie, kto choć raz miał was na nogach...

Dawno, dawno temu, w moim poprzednim życiu, kiedy byłem jeszcze mieszczuchem, bawił mnie fakt, że na wsi chodzi się cały rok w jednych butach – gumofilcach. Dwa lata temu, późną jesienią, kiedy byłem zobaczyć siedlisko na sprzedaż w okolicach Jeziora, zobaczyłem w sieni wiejskiego domu sprzedających, ustawione w rzędzie gumofilce, z sześć par, od najmniejszych do największych. I tak oto ja, technokrata, rzeźbiarz bitowy drugiej klasy, chodzę na co dzień w gumofilcach, bo muszę to teraz przyznać, bijąc się w piersi, nie masz lepszych butów niż gumofilce!

Łatwo się je wkłada, sięgają pod kolana, można w nich łązić po błocie, mokrej od rosy trawie, a także brnąć w śniegu. Są ciepłe i nieprzemakalne, o dziwo w największe upały nie pocą się w nich stopy. Jadąc do miasteczka zakładałam co prawda normalne buty, ale zastanawiam się czy jest sens.

Wczorajsi goście dopisali, było miło i sympatycznie, tym bardziej, że przynieśli butelczynę kazikówki. Mieszkańcy Górowa

i okolic doskonale wiedzą cóż owa kazikówka jest, a raczej była, bo producent, Pan Kazik Master Distiller, poszedł w dyby. Podobnież nawet w hotelu sejmowym gościła, chi, chi. Po czterech kielonkach trunku ognistego piszący te słowa łącno w sen zapadł, i noc syberyjską, pod ciepłą puchową kołdrą do samiuśkiego rana przechrapał. Rano, świeżutki niczym skowronek, bez żadnego bólu głowy – co dowodzi biegłości Pana Kazika w pędzeniu wody ogniastej – był wstał i wydrążył śnieżną łopatą tunel do auta i obory.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

4 grudnia

Czas odpoczynku

Przyszła dwa dni temu, niepostrzeżenie. O poranku otworzyłam oczy, a za oknem było biało i puchowo. Lubię zimę, szczególnie teraz, kiedy nie muszę rano wstawać do pracy, nie muszę w pośpiechu odśnieżać auta i martwić się zapali czy nie. Niepokoić się czy zdążę. Zima to dobry czas na odpoczynek, planowanie i „nicnierobienie”. A tym „nicnierobieniem” jest patrzenie w kominek na ogień. Jednak, żeby nastąpiło nic nie robienie, najpierw musi być robienie. A więc w sobotę przywieźliśmy z obory parę taczek drewna i pelletu. Wystarczy na tydzień. Zapas jedzenia mamy na jakiś tydzień, może dwa.

Życie na wsi jest zupełnie inne od tego w mieście, ma się nijak do moich wspomnień z dzieciństwa, a jednak nie zamieniłabym go z powrotem na życie w mieście. Nie wiem, może kiedy już będę bardzo stara, kiedy nie będę miała sił, może wtedy przeprowadzę się ponownie.



Stara czarna szafa

U progu lata przywiozłem z Gdańska nie pierwszej młodości szafę, która stała w piwnicy w moim poprzednim domu. Trafiła do dawnego chlewa. Rozbiórka poszła dość łatwo, ale ciężko było mi się zebrać, aby ją w końcu złożyć. Przez dłuższy czas dobrą wymówką było to, że w całym rozgardiaszu remontowym wcięło śrubki. Ale niedawno śrubki się odnalazły, wymówka się skończyła. Nie pomogły tłumaczenia, że jest stara, podniszczona, że pewnikiem robale w tym chlewiku ją zżarły, a wilgoć dokonała reszty. Wczoraj Piętaszek zaczął ostentacyjnie znosić wszystkie elementy zawalając nimi totalnie sień. Cóż było robić. Przerwałem pracę, zakasałem rękawy i uzbrojony w ostre narzędzia przystąpiłem do montażu. W życiu złożyłem setki mebli. Na początku, kiedy byłem piękny i młody, a zarazem dufny w swoje meblarskie umiejętności, olewałem instrukcje – kto w końcu czyta instrukcje? – i niestety okazywało się po złożeniu mebla, że coś tam zostało bardzo istotnego i trzeba wracać do początku. Bo składanie mebli, nawet z instrukcją, przypomina grę planszową, w której rzuca się kostką i posuwa „n” kratek w przód lub wraca w tył, gdy wdepnęło się w niefortowne pole, albo czeka parę kolejek patrząc ze smutkiem jak inni cię wyprzedzają. Składanie mebli bez instrukcji to już wyzwanie nie łąda, równoważne ganianiu zygzakami po polu minowym z okrzykiem banzai ;-)

Z ciężkim bagażem doświadczeń, sapiąc i stękając – lata już nie te, z tego pięknego i młodego, tylko „i” zostało, i to w dodatku bez kropeczki – składałem więc tą koszmarną szafę. To że brakowało 2 centymetrów aby skręcić się szkielet (wypaczyła się od wilgoci) to pikuś. Parę uderzeń siekierką i było cacy. Ale czemu jedne zawiasy są grube a drugie cienkie? Hmm... A te cienkie są na 3 śrubki, a grube na cztery? Hmm widocznie w fabryce się coś pomylili, kręćmy dalej! A do tego wszystkiego te cholernie złośliwe śrubki, każda wyposażona w parę szybkich odnóży. Zgięty w kształt litery es, z czołem sperlonym, próbujesz wkręcić je w miejsce dostępne wyłącznie liliputom, a spadają na glebę i zmykają na tych nóżkach

w stronę przeciwną niż myślisz. Czasem kilometr dalej. Mocuję ostatnie, trzecie drzwi. A szafa do mnie: stanąłeś na polu karnym, pomyliłeś zawiasy, a specjalnie w fabryce zrobili 3 otworki a nie 4, i tu mają być cienkie a nie grube zawiasy. Wracasz osiem pól do tyłu ha ha ha! – Nasmater! – zakląłem jak mój śp. dziadek Mieczysław. No i tak minęło mi parę godzin (a szacowałem, że zajmie mi tylko godzinę) na zabawie w puzzle szafowe. Ale stoi i zniknęły foliowe, uchodźcze toboły, i to jest dobre.

Z DZIENNIKA PIĘTASZKA

11 grudnia

Coraz bliżej świąt

Nie pisałam, bo działo się u nas dużo. Na początku tygodnia przyjechał nasz majster Adam, żeby dokończyć wszystko to, za co miał zapłacone. Nie ukrywam, ucieszyłam się na jego widok. Mimo wielu zgrzytów, w dalszym ciągu uważam, że jest człowiekiem nad wyraz pracowitym. Wiecie jak to jest z wykończeniami, niby tu przykleić parę kafelków w łazience, niby dokończyć podłogę w kotłowni, niby przyciąć parę cegiełek. Niby nic wielkiego, a zszedł cały tydzień, a kurzu i pyłu od cięcia było wszędzie pełno. Podobno do zakończenia będą potrzebne jeszcze trzy dni. Ma być w poniedziałek, ale czy będzie? Zobaczymy. On wie, że na moje urodziny bardzo chciałabym mieć stan taki, na jaki się umawialiśmy.

Wizyta Adama zmobilizowała nas samych do działania. Wojtek złożył szafę, która zupełnie nie pasuje do łóżek z palet. Jednak gdy miałam do wyboru przechowywać nadal rzeczy w workach od śmieci lub czarną szafę, wybrałam szafę. Dzięki niej pozbyliśmy się tych uchodźczych tobołów :-). Kiedyś jak będziemy bogaci, kupimy sobie nową. Łóżko z palet otrzymało zagłówek z materaca i teraz wygląda cudnie. Tego łóżka nie chcę wymieniać na żadne inne.

W czwartek przyjechali Paweł z Arkiem zakładać alarm. Założenie go było małą kością niezgody. Moim zdaniem alarm nie był nam potrzebny, a wydane pieniądze można było przeznaczyć na zupełnie coś innego. Dla Wojtka był niezbędny, dla jego spokoju. W ten sam czwartek, kiedy panowie pracowali, wybrałyśmy się z Asią do Bartoszyca na wielkie buszowanie po sklepach. To był fajny dzień nie tylko z uwagi na zakup pięknych zasłon za 8 zł. Asia to ciepła i bardzo wrażliwa osoba, mocno doświadczona przez życie. Nasza wyprawa po mieście zakończyła się w „Róży Wiatrów” zupą gulaszową. Od wyjazdu Honoraty do Londynu brakowało mi takiej osoby do przysłowiowych ploteczek, wspólnych zakupów.

W sobotni poranek Wojtek pojechał do Gdańska na spotkania z dwoma klientami. Wykorzystując moment, że nie mam ogranicznika, który nagania mnie do odpoczynku, zabrałam się za porządkowanie kotłowni, łazienki i sieni. I tak zleciało do godziny 20.00, a dzisiaj leżę z ogromnym bólem głowy :-). Takie są skutki przepracowania.

Ponieważ sieni nie udało nam się zrobić, postanowiłam powiesić tam przykrycia, ba, nawet zawiesiłam obrazy. Więc walczyłam wczoraj z młotkiem i stałam na chyboczącej drabinie, pełna strachu, że zaraz z niej spadnę. I takim oto sposobem kolejny tydzień za nami, a my coraz bliżej Świąt.

18 grudnia

Stworzyliśmy to miejsce

Przedwczoraj stanęłam przed drewnianą ścianą, moją namiastką ukochanego Podlasia, w dłoni trzymałam małe gwoźdźki i młotek. Pierwszy zawisł anioł otrzymany od Mamalinki, kiedy pojechałam na Podlasie po Kudełkę. Drugi anioł, namalowany przez Mnemo, przyszedł pocztą jak jeszcze mieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu. Trzeciego dostałam od Asi, która mieszka na drugim krańcu naszej wsi. Potem zawisły anioły od Pantery, a na końcu anioł od Wojtka. Kiedy go wieszałam zaszkliły mi się oczy. – Kiedyś do tego anioła będzie dom – powiedział wtedy.

Nie brałam jego słów poważnie. Mogę teraz spokojnie napisać: uważaj o czym marzysz, bo marzenia mogą się spełnić i co wtedy?

Ale zanim powiesiłam anioły była praca, praca i jeszcze raz praca. Adam przyjeżdżał i wyjeżdżał. I te jego powroty uświadomiły mi, że to nie jest tak jak myślałam do tej pory remontując mieszkanie. Jak się mieszka w domu, to jest się w stałym remoncie i zawsze jest coś nieskończone. Trzeba jedynie się z tym pogodzić :-)

A co jest nie zrobione? Nie są pomalowane ściany, nie ma kafli w sypialni, sień nie jest otynkowana i nie ma położonych kafli na podłodze. Nie jest zamontowany prysznic. Tak, nie ukrywam, jestem z nas zadowolona. Pisałam już wcześniej, że wszystkie pieniądze poszły na remont, na wnętrza pozostało niewiele. Nie mogliśmy sobie pozwolić na meble z katalogu. Moje zasłony kosztowały 8 złotych sztuka. Ale mimo tego wszystkiego, siedząc teraz w fotelu i patrząc na drewnianą ścianę, uśmiecham się sama do siebie. Tak, stworzyliśmy to miejsce, gdzie nikt na nikogo nie krzyczy. Gdzie o poranku pije się kawę, a po obiedzie herbatę. Gdzie wspólnie je się posiłki, planując i dalej marząc, słuchając jak zegar miarowo wybija czas.

19 grudnia

Łazienka

Łazienka dla nas zawsze była ważna. Wojtek lubi w wannie czytać i rozmyślać, rozwiązywać problemy. Ja zawsze coś w niej zmywałam. Fizyczne zmęczenie, kiedy przez kilka lat sprzątałam apartamenty i prywatne domy, potem stres związany z pracą w przychodni.

W miejscu łazienki powstała kotłownia, w której stoi pralka i zielony smok. Tak na piec mówi Wojtek. W miejscu kuchni powstała łazienka. Do łazienki wchodzi się przez stare drzwi, które latem przez cały dzień szlifowałam z zielonej farby. Lubię takie połączenia starego i nowego. Dlatego też duża umywalka i stare nogi od maszyny. Wojtek dał mi wolną rękę w sprawie łazienki, a ja doskonale wiedziałam jaka ona ma być – duża, biała i sterylna. Białe-czarne kafelki na podłodze są najzwyklejsze. Bez połysku, ale też nie antypoślizgowe.

Gdy sprzątałam apartamenty, łazienki zawsze były najbardziej pracochłonne. Wszystkie lśniące i chropowate kafle są trudne

w utrzymaniu czystości. Pięknie wyglądają, ale ja już nie chcę tyle czasu poświęcać na sprzątanie. Za drzwiami powstanie prysznic, mamy kupiony już panel, ale z jego montażem nam się nie śpieszy.

Czerwony nie jest moim ulubionym kolorem, ale kiedy leżałam w wannie patrząc na jedyną moją fanaberię, Pierotta i jego czerwone usta, postanowiłam dodać odrobinę koloru. Stąd też czerwone zasłonki na oknie i na drzwiach prowadzących do kłowni. Zasłonki są z mojego rodzinnego domu.



20 grudnia

Czerń absolutna

Obowiązek wieczornego spacerowania z psem spada na mnie, choć dzisiaj byłem także rano, bo Piętaszek ma urodziny. Wychodzimy zwykle koło piątej. Od dawna o tej porze jest już ciemno. Ubieram starą niebieską kapotę, wdziewam gumofilce, na czerwona bejsbolówkę zakładam czołówkę. Zanurzamy się w ciemność, trójnogi pies, kot Nołnejm i ja. W pierwszej kolejności zamykam kurnik. Kury zaparkowane na grzędach, poprzytulane do siebie, od godziny są już w trybie standby. Zamykam włącz, zabezpieczam kołkiem i brnę przez gumno w stronę jarzących się w ciemności dwóch par oczu. Dzisiaj świat zewnętrzny pożarła mgła. Kilkaście metrów za wielką topolą na granicy siedliska zawinęła się czasoprzestrzeń. Mocne ostrze czołówek grzęzło w czarnej wacie. Nie było widać świateł Górowa, znikło siedlisko Andrzeja i jego sąsiadów.

Zgaśliem latarkę. Czerń i cisza absolutna. Utraciłem ciało, nie widziałem ani rąk, ani nóg. Zawisłem w ciemności nieprzeniknionej. Kiedy oczy przywykły, zobaczyłem słabiotką łunę od strony mojego siedliska. Latarnia morska na horyzoncie. Tam jest mój dom na skraju świata. Zapaliłem latarkę. Trójnogi pies i kot odechnęły z ulgą. Głupie zabawy robi sobie ten człowiek, pomyślały. A ja zastanawiałem się czy bez latarki dałbym radę wrócić, czy też wołałbym „hop! hop! SOS!” licząc, że mnie ktoś usłyszy. Radiostacja przenośna została w domu w ładowarce.

Wielki staw

Nie kleiły się mi dzisiaj bity, oj nie kleiły. Ledwie com jednego docisnął, to drugi odpadał, a cała konstrukcja wirtualna, ów ścieg poleceń tajemnych, ciąg zakłęb dżawaskryptowych zgrzytał, chrobotał, sypał bitami na lewo i prawo, groził zawaleniem i pogrzebaniem partacza. Zmęczenie materiału? Wypalenie doszczętne mózgowicy? A może świadomość, że święta tuż-tuż, czas odpoczynku, spotkań, kolędowania, słodkiego obżarstwa, którego zapowiedzią są snujące się po domu pod bocianem miłe zapachy.

Rzuciłem w kąt kielnię cyfrową, założyłem na grzbiet kapotę, nieodzwonne gumofilce, i gwizdnąłem na trójnogiego psa, który spojrzał na mnie zdumiony, no bo była dopiero czternasta. I powędrowaliśmy polami wokół wielkiego stawu, który leży na działce sąsiada. To miejsce nazywało się przed wojną Gr. Teich, czyli Wielki Staw. Niewiele z niego pozostało, kilkanaście porozrzucanych pośród pagórków oczek wodnych, stawików i ze dwa większe stawy, takie jak ten leżący w sąsiedztwie. Zapewne w czasach prehistorycznych było to wielkie rozlewisko, ciągnące się do lasu okalającego Landsberg, czyli Górowo. Na niemieckiej mapie z 1936 roku nie ma już śladu po Wielkim Stawie, topografia jest taka sama jak dzisiaj, tylko siedlisk znacznie więcej, w moim bezpośrednim sąsiedztwie naliczyłem pięć, które zniknęły. Na mapie Schroettera z lat 1796–1802 wielki staw jest naniesiony i jest znacznie większy od górowskiego Stawu Garncarskiego.

Nie ukrywam, lubię studiować stare mapy, porównywać je z dzisiejszymi. W marcu tego roku napisałem:

Nie dojeżdżając do Landsbergu (Górowo Iławieckie), na wysokości ostatniego zakrętu, trochę ponad kilometr nim droga z Mehlsack (Pieniężno) przecina tory kolejowe, należy skrócić na wysokości majątku Schultzen w prawo, na Papperten (Paprocina).

Tysiąc i dwieście metrów dalej, po minięciu paru majątków, gdy po lewej stronie będzie już widać Großer Teich (Wielki Staw) trzeba skrócić w lewo, w pełną odnogę. Drugie zabudowania po lewej, dom na wzgórzu, oto cel naszej podróży.

Kto tam mieszkał, tego nie wiem. Niewiele udało mi się odczytać z czarno-białej, starej niemieckiej mapy Messtischblätter, w skali 1 : 25 000. Anonimowy kartograf oznaczył na niej z niemiecką precyzją każdy szczegół terenu, lecz w pajęczynie poziomicy nie mógł – no bo jakże – zawrzeć losów tych, co tu mieszkali przed laty.

Może dowiemy się czegoś od starszej pani, ostatniej mieszkanki warmińskiego domu, która rok temu pożegnała męża. A może czerwcową nocą, nie mogąc zasnąć, usłyszemy jak dom szepcze nam historię tych, którzy go zbudowali, żyli tu szczęśliwie, aż musieli odejść. Odwdzięczy się nam za drugą młodość, którą chcemy mu dać.

Hmm... miało być o spacerze wokół stawu w ten najkrótszy dzień roku, a wyszło o Wielkim Stawie.

27 grudnia

Miasteczko na skraju świata

Kiedy ktoś mnie pyta gdzie leży nasze siedlisko, odpowiadam, że tuż koło Górowa Iławeckiego. Mało kto wie gdzie ono leży. Dwadzieścia kilometrów na północ od Lidzbarka Warmińskiego, podpowiadam, północna Warmia, niedaleko od Bartoszyc.

– Jezu miły, toż tam diabeł mówi dobranoc – skwitował jeden ze znajomych.

– To tylko niecałe dwie godziny jazdy z Gdańska – odpowiedziałem – ileż to razy wracałeś w korku z pracy prawie dwie godziny, ha?

Niby blisko a daleko, na skraju świata, i to jest dobre. Tego szukałem, za tym tęskniłem, o tym marzyłem, zwłaszcza wtedy, gdy z pianą na ustach, obłąkanym wzrokiem, warczałem na świat hałaśliwy, tłoczny, rozpedzony do prędkości nadświatłowej.

Górowo leży w innej galaktyce. Stanowi wraz z otaczającymi ją wioskami, siedliskami miniwszeczświat, odległy, peryferyjny, i dzięki temu normalny. Zawsze fascynowały mnie takie miniwszeczświaty, społeczności żyjące własnym rytmem, nie skażone gangreną alienacji charakterystycznej dla dużych miast.

Tu prawie każdy każdego zna, ludzie mówią sobie dzień dobry na ulicy, w sklepach. Nikt na nikogo się nie wścieka, bo za wolno

jedzie, albo bo przystanął żeby wypuścić pasażera. Korki? Kolejki? Pośpiech? A co to takiego?

Miasteczko jest senne, zwłaszcza w letnie, upalne dni. Niewielu dociera tu turystów, i szkoda. Zabytków nie ma co prawda tak wiele, jak w pobliskim Lidzbarku, ale ma ono w sobie niesamowity klimat. Genius Loci. Może sprawia to położenie na wzgórzu, nad Garncarskim Stawem, średniowieczny układ ulic, nie zniszczone podczas wojny kamieniczki.

Latem przyjeżdżaliśmy na rynek, kupowaliśmy w lodziarni na rogu lody śmietankowe i siadaliśmy na ławeczce pod lipą, koło ratusza, i było tak jak w jednej ze scen z filmu *Sztuczki*, w której główna bohaterka mówi „Zawsze coś się dzieje, czujesz jak ziemia drży”. Słysząc łopot spłoszonych gołębi, ulicę przebiega pies, starszuszka idzie z wnuczką, ktoś kogoś pozdrawia. A najcudowniejsze było to, że nasza sekunda trwała waszą minutę, albo nawet kwadrans. Bo tutaj czas płynie sto razy wolniej, albo płynie normalnie, a tam, w Gdańsku, Warszawie, czy w innym mieście doszczętnie zwariował.

28 grudnia

Krzywcowie

W poranek pierwszego dnia świąt poszedłem na spacer z trójnogim psem i kotem Nołnejmem – zawsze łązi z nami na spacer – w stronę siedliska Krzywców. Światło było ostre boczne, kontrastowe, rzeźbiące. Piękne światelko do zdjęć, jak mówią fotoamatorzy, do których się zaliczam. Wyciągnąłem więc moją komórkową zorkę i zacząłem uwieczniać piękne okoliczności przyrody.

Doszlismy do leżącego na zakręcie zrujnowanego siedliska Krzywców. Latem przechodziłem tędy wiele razy, ale nie mając maczety nie zapuszczałem się w chaszcze. Teraz wtarałbałem się w gumofilcach odważnie, aby zrobić parę ujęć romantycznych ruin i landszaftu dookólnego. Nic nie pozostało po domu Krzywców, tylko sterta cegieł, zbutwiałe deski i belki. Podobno jeszcze kilkanaście lat temu ten dom stał i był w dobrym stanie, a był to naprawdę piękny dom. Opuszczony przez ostatnich mieszkańców

szybko popadł w ruinę. Ktoś ukradł okna, dach zaczął przeciekać i śmiertelna dla warmińskich domów z pruskiej cegły łączonej wapienno-glinianą zaprawą wilgoć szybko dokonała zagłady.

Od starszej pani, poprzedniej właścicielki mojego siedliska dowiedziałem się, że przed wojną Jan Krzywiec zarządzał wielkim folwarkiem na Litwie. Do Polski przyjechali tuż po wojnie, bo podobno groziła mu tam śmierć. Mieszkali jakiś czas z Niemcami. U góry, na poddaszu mieszkał młody chłopak, Niemiec, który potem został księdzem. Co dwa lata przyjeżdżał i odwiedzał starszą panią. Być może pojawi się ponownie, o ile jeszcze żyje. Zofia Krzywiec była dziedziczką, mieszkała w pałacach, a mimo to przystosowała się do życia na gospodarstwie, które głównie leżało na jej głowie. Bo on, jak opowiedziała starsza pani, mało co w pole wychodził, do pracy ludzi najmowali. Strasznie o niego dbała. Kiedy zimą trzeba było odwieźć mleko do Górowa, sama szykowała sianie, konia zaprzęgała, targała ciężkie kany z mlekiem, on wychodził z domu, siadał, a ona mu nogi kozuchem okrywała, lejce w ręce wkładała. – On był taki wredny, niedostępny – opowiada starsza pani. – Jak spojrzał na człowieka, to mrówki po karku przechodziły. Wielki był z niego Pan, do roboty nie miał głowy, jeździł do Górowa po gazety. Telewizora nie mieli, mówił, że radio sobie kupi, ale nie kupił. Dzieci nie mieli. Mówił, że jak będzie chciał mieć dzieci to sobie gipsowych narobi. Nie narobił. Zmarł w 1975, a ona dziesięć lat po nim w 1985. Rodzina starszej pani opiekuje się ich grobem na Górowieckim cmentarzu.

Ileż takich ludzkich historii jest wkoło, ileż opuszczonych, często zrujnowanych siedlisk. W pobliżu mojego naliczyłem cztery. Mieszkali w nich ludzie, żyli swoimi radościami i smutkami, snuli plany, rodziły im się dzieci, dorastały, a oni starzeli się aż nadchodził ich czas. I pozostały tylko stare zdjęcia, blaknące wspomnienia, albo prawie nic, jak po Krzywcach.

Nasze Święta

Od przedwczoraj zabieram się za spisanie wspomnień o pierwszych świętach spędzonych w domu pod bocianem. Piszę zdanie, zamyślam się, by po chwili jednym ruchem palca skasować to co napisałam.

Jesteśmy społeczeństwem mocno podzielonym, na tych z Pis-u i na tych gorszego sortu, na tych lubiących święta i tych, którzy ich nie lubią. Przez wiele lat gdzieś w okresie przedświątecznym czułam nostalgię za tamtymi świętami w domu z czerwonej cegły. Spotykaliśmy się wtedy wszyscy. Rodzice i rodzeństwo ze swoimi połówkami. Lata mijały, a ja gdzieś w podświadomości liczyłam na to, że może kiedyś znowu zasiądziemy razem przy wigilijnym stole. Dopiero w tym roku nagle ta nadzieja wyparowała. I to wyparowanie stało się dla mnie zbawienne.

W czwartek nastawiłam cicho kuchenne radio, w którym rozmawiano na temat świąt. Mamy za duże oczekiwania co do nich, powiedziała jedna pani. Sporadycznie się spotykamy, wybieramy komunikację sms-ową zamiast rozmowy, na co dzień kłócimy się, a potem nagle w święta szukamy magii sadzając ciocię Krysę przy wujku Zdziśku, którzy od lat kłócą się o majątek. Gotujemy za dużo, ubieramy choinkę zgodnie z trendami, przeczesując wcześniej galerie handlowe, a potem w dzień Wigilii jesteśmy tak zmęczeni, że już nic nam się nie chce. Czy o takie Święta nam chodzi?

Gotowanie rozpoczęłam w czwartek. Zrezygnowałam z lepienia pierogów, bez nich święta też mogą się odbyć. Skupiłam się na potrawach, które lubią moi panowie. W czwartek pojechaliśmy razem do sklepu i wybraliśmy wspólny prezent. A były to cztery garnki i czajnik elektryczny. Pierwszy pieczony chleb w piekarniku wylądował u kur. Nieudaną próbę obróciłam w żart, w końcu kury też mają święta i chcą zjeść coś dobrego. Mimo że w lodówce zabrakło miejsca i część potraw znalazła się w chłodnej sieni, nie czułam ogromnego zmęczenia przygotowując je. Raczej było to

miłe zmęczenie, które mieszało się z radością. W końcu nie gotowałam dużo, dla ludzi których nie Kocham.

W samą Wigilię Wojtek poszedł po choinkę. W tym roku była nietypowa. Zawisała u powały czubkiem do dołu. Jest to prastary słowiański zwyczaj. Ubieranie jej sprawiło nam taką dziecięcą radość. A potem przyjechał mój syn i nastał czas wspólnych przygotowań. Tradycyjnie pokroił sałatkę jarzynową, ja w międzyczasie smażyłam ryby. Wspólnie przygotowaliśmy stół. Po wigilijnej kolacji zasiedliśmy na kanapie z kubkami herbaty i pysznym makowcem japońskim, który sama upiekłam. Śpiewaliśmy kolędy.

A pierwszy dzień świąt? Po wspólnym nieśpiesznym śniadaniu przestawialiśmy meble w sypialni. Tak moi kochani, dobrze przeczytaliście. Paletowe łóżka przestawiliśmy na inną ścianę, czarną szafę postawiliśmy na środku sypialni, tym samym za szafą stworzyliśmy pracownię Wojtka. Po południu wybrałam się z synem na przejażdżkę jego nowym autem. Porobiliśmy telefonem parę śmiesznych zdjęć, robiąc buziaczki i maślane oczy. To były pierwsze takie zdjęcia.

W drugi dzień świąt, zaraz po śniadaniu, pakowałam dziecku jedzenie do słoiczków i wtedy poleciały łzy. Nie, nie płakałam z powodu jego wyjazdu. I znowu historia zatoczyła koło, kiedyś moja mama pakowała mi takie prowiantowe słoiki, teraz ja to robiłam. Z tego nostalgicznego nastroju wyrwał mnie przyjaciel Wojtka, który przyjechał na obiad ze swoją partnerką. To było piękne radosne popołudnie spędzone na rozmowach o życiu.

Dzień po świętach, albo jak kto woli w trzeci dzień świąt, pojechaliśmy na drugi koniec naszej wsi do naszych nowych znajomych – Asi i Patryka. To nie była męczarnia siedzenia przy stole. Było wprost cudnie. Czy mieliście kiedyś takie wrażenie, że znacie kogoś krótko, a wydaje wam się jakbyście znali ich całe swoje życie? Tak właśnie jest z Asią. Przy jej stole mogłabym z nią siedzieć godzinami.

Jakie były te moje święta? Nie potrafię ich opisać. Dzisiaj zastanawiam się dlaczego były tak wyjątkowe i piękne, tak rodzinne i ciepłe. Czy to zasługa Wojtka czy syna? A może moja? Moi kochani, nie w potrawach, nie w choinkach jest magia świąt. Magię dają ludzie i zwierzęta, z którymi obcujemy.

Opowieść o domu

Urodziłam się w Gdańsku nad brzegiem zimnego morza. Wojtek, który lubi grzebać w historii, pomógł mi ustalić koleje losu ludzi, którzy kiedyś tam mieszkali. I tak powstała opowieść o domu z czerwonej cegły.

Na początku marca 1945 roku, kiedy pomimo zapewnień władzy, było więcej niż pewne, że Festung Danzig ulegnie wschodniej nawałnicy, Pan Julius Gerlitzki, właściciel domu z czerwonej cegły, podjął wraz z żoną decyzję o ucieczce do rodziny pod Bremą.

Skromny dobytek spakowali do paru tekturowych walizek, które złożyli na pożyczonym od stolarza Makowskiego drewnianym wózku. Na górę położyli wielki toboł z pościelą i obrusami, które pani Gerlitzki, de domo Kaniewska, wniosła w posagu.

Pan Julius, tak jakby wyjeżdżał na urlop, co zdarzało mu się bardzo rzadko, albo na święta do rodziny w Dirschau, starannie sprawdził czy wszystkie okna zostały zamknięte, i po raz ostatni omiół wzrokiem puste mieszkanie, w którym spędził ostatnie trzydzieści lat życia. Jego żona Maria czekała obok, płacząc cicho, wycierała oczy białą chusteczką. Z pozostałymi mieszkańcami pożegnali się wczoraj, zresztą niewielu ich pozostało.

Szewe Górką jeszcze przed nowym rokiem udał się do swojej rodziny w Karthaus, Pan Hallman podobno zginął w 43, Nikolajewski i Niemzick już na samym początku wojny trafili do Stuthoffu, skąd nie wrócili. Na miejscu pozostał jedynie piekarz Rathay Alfons i stara wdowa Augustyna Mielewczyk, która zapowiedziała, że skoro tu się urodziła, to i tutaj umrze, i tak też się stało parę tygodni później.

Dom z czerwonej cegły długo patrzył swoimi oknami za niknącymi w oddali właścicielami. Powoli milkł stukot drewnianych kółek wózka na bruku Grauer Węg. Z oddali słychać było odgłosy podobne do nadchodzącej nawałnicy, basowe dudnienie, lecz to nie matka natura była ich autorem.

Pewnego dnia przez spokojną do tej pory oruńską uliczkę przetoczyły się z łoskotem czołgi z czerwoną gwiazdą na wieżyczkach, a towarzyszący im żołdacy, wymachując groźnie pepesami, rozbiegli się po okolicznych domach szukając wroga i zegarków. Parę dni później wiejący wiatr przyniósł zapach spalenizny i śmierci. Dom z czerwonej cegły ocalał.

Któregoś kwietniowego dnia, kiedy wiosna nieśmiało zawitała do spalonego miasta, Grauer Weg zmieniła nazwę na ulicę Przy Torze, co brzmiało może mniej poetycznie, ale lepiej oddawało charakter ulicy. Mury domu z czerwonej cegły co rusz drżały od przejeżdżających towarowych pociągów, które wywoziły najpierw na wschód niemieckie maszyny i dobra, a potem gotycką cegłę potrzebną do odbudowy stolicy kraju, w którym leżał teraz Gdańsk.

Dom długo pozostawał pusty. Czekał na nowych mieszkańców, lecz repatrianci ze wschodu woleli wybierać bogatsze domy oraz mieszkania w Oliwie i we Wrzeszczu. Plądrowali go szabrownicy, rozwalając drzwi, tłukąc szyby i rozrzucając na wszystkie strony to, co starannie poukładane w szafach pozostawiła pani Maria, a nie przedstawiało dla nich większej wartości. W pokoju zajmowanym dawniej przez wdowę Mielewczyk, która nie chcąc oddać pamiątki po mężu, szwajcarskiego zegarka firmy Doxa, zginęła z ręki czerwonoarmisty o mongolskich rysach twarzy, ktoś urządził sobie toaletę.

Dopiero u progu lata do domu z czerwonej cegły wprowadzili się pierwsi lokatorzy. Dom poczuł się szczęśliwy. Nie ma bowiem nic gorszego dla budynku jak pozostawać niezamieszkanym, służąc jedynie za schronienie przygodnym włóczęgom, którzy mogą nie daj Boże zaproszyć ogień.

Nowi mieszkańcy posługiwali się innym językiem, bardziej miękkim i szeleszczącym, zaciągali po wschodniemu. Większość z nich przybyła bowiem z Kresów, przeważnie z okolic Wilna. Ich dobytek był ubożuchny. Ostrożnie wyjmowali go z pocerowanych plecaków i związanych sznurkiem starych, kartonowych walizek, i układali w szafach, podziwiając solidność dębowych mebli.

Dom nie musiał uczyć się nowego języka, bo domy czytają w ludzkich myślach, a te wyrażone są w uniwersalnym języku emocji. Literę, które składają się na alfabet to radość, smutek, żal, obawa, zazdrość i nadzieja. Dom niczym radar chłonął myśli przybyszów i zapisywał je w swoich ścianach. Nie bez kozery mówi się, że gdyby mury umiały mówić, to opowiedziałyby najpiękniejsze historie.

A myśli nowych mieszkańców niczym nie różniły się od tego, co krążyło w głowach państwa Gerlitzki, szewca Górki, pana Hallmana, robotników portowych Nikolajewskiego i Niemzicka czy starej wdowy Augustyny Mielewczyk.

Jedząc, ubierając się, piorąc, sprząając, ucząc czy zasypiając, zastanawiali się czy starczy im do pierwszego, za co kupią nowe ubrania i buty dla dzieci,

skąd wezmą węgiel aby zimą się ogrzać, jak uda im się ściągnąć na klasówce, lub jak wyznać pierwszą miłość. Dom poczuł się znowu szczęśliwy i spełniony.

Mijały lata, cegła straciła pierwotną barwę. Pociemniała od smoła i dymu pociągów. Dom niczym żywa istota starzał się wraz ze swoimi mieszkańcami. Kolejne pokolenie ganiało po małym podwórku, grało w gumę albo noża, zwisalo z trzepaka, zbiegało po drewnianych schodach. W 1958 roku na parterze zamieszkał mój tata ze swoją pierwszą żoną i moim rodzeństwem. Kilka lat później zawitałam tam ja.

Ludzie mieszkający w domu z czerwonej cegły stworzyli wspólnotę, której trudno szukać wśród ludzi mieszkających w dzisiejszych blokach. Nie namawiani przez nikogo, tak jak się to kiedyś mówiło, w czynie społecznym, uprzątnęli podwórko, wyrwali chwasty, posadzili drzewa i kwiaty. Skonstruowali drewniany płotek, aby wążające się psy nie zniszczyły zieleni.

Mama sadziła maciejkę, piwonie i floksy. Rosły dwa bzy, jarzębina i choinka. Pani Borowska posadziła herbaciane róże, a ceglami odgrodziła skrawek ziemi gdzie zagościły bratki, prymulki i żonkile. Kiedy zakwitły róże pozwalała mi zerwać parę gałązek. W moim pokoju pachniały wtedy świeże kwiaty.

W ciepłe dni domownicy przesiadywali popołudniami na wyniesionych z domu krzesłach i kuchennych stołkach. Rozmawiali, żyli swoimi kłopotami, pożyczali sobie do pierwszego pieniądza, a zimą, gdy mróz ściał kałuże przed wejściem, to pomimo protestów dzieci, posypywali ją popiołem.

Dom z czerwonej cegły z ukontentowaniem chłonał odgłosy codziennego, spokojnego życia. Krzyki i radosne śmiechy dzieci, matki wołające na obiad, odgłosy trzepania dywanu, łopot skrzydeł podrywających się do lotu gołębi pana Przybyszewskiego, które zataczały koło ponad dachami pobliskich domów i siadały z powrotem na gołębnik gruchocząc jak najęte. Do tego wszystkiego stukot przejeżdżających nieopodal pociągów i mormorando aut. Niestety, dobre dni domu z czerwonej cegły powoli zmierzały ku końcowi. Któregoś lipcowego dnia 2001 roku ulica zamieniła się w górską rzekę. Hektolitry wody wlewały się przez drzwi i po chwili piwnica zamieniła się w basen. – Tonę! – pomyślał zrozpaczony.

Na szczęście powódź nie okazała się tak tragiczna w skutkach, jak w przypadku innych domów w Gdańsku. Dom przetrwał, ale wilgotne ściany zaczął toczyć grzyb. Nocami, gdy wszyscy spali, dom w cichym milczeniu znosił przenikający jego fundamenty i ceglane ściany ból. – Mam reumatyzm – myślał zasmucony.

Czuł się staro, choć wcale nie był taki wiekowy, w mieście było mnóstwo znacznie starszych od niego budynków. Wyglądały olśniewająco. Świeciły nowymi fasadami, błyszcząły oknami prosto z fabryki, a ich dachy ubrane w jasnoczerwoną dachówkę opierały się największym nawalnicom. Dbano o nie, o dom zaś nie miał kto.

Jego pierwsi właściciele już dawno temu zmarli gdzieś w Niemczech, a ich potomkowie, oglądając stare zdjęcia w kolorze sepii nie zastanawiali się co dzieje się z owym pięknym uwiecznionym w tle domem. Nowi mieszkańcy, w ramach swoich skromnych środków, próbowali naprawiać to, co nadgryzł ząb czasu, lecz właściciel (miasto) wolął niestety budować kolejne pomniki niż zatroszczyć się o swoją własność.

Część lokatorów odeszła lub zmarła. Mieszkania szewca Górki, pana Hallmana, robotników portowych Nikolajewskiego i Niemzicka czy starej wdowy Augustyny Mielewczyk stały puste. W domu z czerwonej cegły z pierwotnych lokatorów, tych co zamieszkali tutaj po wojnie, już nikt nie żyje.

Umarła pani Dąbrowska, która miała stragan z owocami i warzywami na hali w Gdańsku. Wyprowadziła się i też wkrótce potem zmarła pani Konieczek. Zasnęła na wieki pani Borowska, która była portierką, odeszli Szymańscy, Ugierewiczowie, Minkiewiczowie, Puławscy i Zieliński, który nigdzie nie pracował, o którym mówiło się, że żył na kredyt.

Nie było już komu dbać o herbaciane róże, nikt już nie siał maciejki, piwonii i floksów. W ciepłe dni nie przesiadywał nikt na przyniesionych z domu krzesłach. Nikt od nikogo nie pożyczał cukru ani maki. Nie wiadomo co stało się z gołębiami pana Przybyszewskiego. Jakiś wandal urządził czubek choinki. Drewniany płotek przewrócił się ze starości i nie było komu go naprawić. Podwórko zmieniło się w ugor.

Dom zrozumiał, że jego dni są policzone, a ponieważ budynki nie mogą umrzeć same z siebie, tak jak człowiek, musiał więc cierpliwie czekać na śmierć, którą zada mu któregoś ranka buldożer, bo na następną wojnę raczej się nie zapowiadało.

Być może na deskach kreslarskich, albo raczej na szybkich komputerach, urbaniści kresląc śmiało wizję nowoczesnego miasta nad zatoką zimnego morza, jednym kliknięciem myszy przypieczętowali los domu z czerwonej cegły, bo stał w miejscu, w którym zaplanowali szeroką na co najmniej cztery pasy arterię. Mieszkańcy metropolii pomkną nią do pobliskiego wielkiego węzła przesiadkowego, któremu nadano sympatyczną nazwę „Czerwony Most”.

Czy uda nam się dowiedzieć i odtworzyć historię domu pod bocianem? Domu, w którym próbujemy ułożyć sobie życie od nowa? Spisać choć część jego historii? Na razie wiemy tak niewiele. Po wojnie zamieszkał tu Osiński. W 1966 roku dom kupiła starsza pani z mężem. Tu urodziła troje dzieci, dwóch synów i córkę. Do tej pory mamy bardzo dobry kontakt z synem starszej pani i jego żoną. Podczas ostatniej ich wizyty otrzymaliśmy piękne lustro, które wisi w łazience. To lustro jest jedyną rzeczą, która podoba się mojemu synowi. Nie mam do niego o to żalu, inne pokolenie inne gusta.

Jeszcze latem, kiedy mieszkaliśmy razem ze starszą panią, siadałam z nią w kuchni i piłyśmy kawę rozmawiając o starych dziejach.

– Była pani tu szczęśliwa? – zapytałam, kiedy pokazywała mi album ze starymi zdjęciami.

– Tak, bardzo – odpowiedziała.

– A co panią urzekło w tym miejscu?

– Kafelki położone w kuchni i sieni, były co prawda mocno zniszczone, bo Osiński rąbał w domu drewno, ale dalej piękne.

– Nie było tu nic – mówiła dalej – wszystkie te drzewa posadziliśmy z mężem. Ciężko pracowaliśmy, dokupując latami ziemię. Zimą było tak zimno, że kiedy wymyłam podłogę, zrobiła się z niej ślizgawka.

– Boże! – pomyślałam, ta kobieta radziła sobie z 30 hektarami, a ja nie potrafię ogarnąć hektarowego skrawka, który pozostał po tej wielkiej gospodarce. Z perspektywy czasu, kiedy emocje i zmęczenie minęło, z wielkim sentymentem wracam do rozmów przy kuchennym stole przykrytym ceratą.

Czasami milczyłyśmy patrząc w kuchenne okno, z którego było widać bocianie gniazdo. Wiosną, starsza pani z utęsknieniem czekała na ich przylot.

– Najpierw przylatuje jeden. Poprawia gniazdo, a gdzieś po tygodniu przylatuje jego partnerka. Kiedy już przyleciały, starsza pani wykonywała telefon do córki i syna, mówiąc im o tej radosnej nowinie.

Kafelki, o których mówiła starsza pani, Adam – nasz budowniczy – umiejętnie ściągnął z podłogi. Leżą teraz spokojnie w komórcie i czekają na swój czas. Może zostaną położone na werandzie.

Czy my będziemy tu szczęśliwi? Przecież szczęście to nie jest coś, co przekazuje się z pokolenia na pokolenie. Szczęście nie jest nam też dane na zawsze.

30 grudnia

Refleksje

Przedostatni dzień starego roku skłania do refleksji. Wczoraj leżąc już w łóżku czytałam książkę Agnieszki Maciąg, której fragment zacytuje: „Uważajcie o czym marzycie, bo marzenia mogą się spełnić”. Po raz pierwszy napisałam o marzeniu zamieszkania na wsi chyba w 2011 roku. Teraz kiedy siadam w fotelu i patrzę na to co zrobiliśmy, trudno mi jest uwierzyć, że wszystko tak się potoczyło. Troszkę tak jak w amerykańskim filmie.

Zaczęło się od tego, że straciłam pracę w jednej z największych firm w Polsce, w której przepracowałam dobre kilkanaście lat. Aby mieć za co żyć, nie mogąc znaleźć stałej pracy, zaczęłam sprzątać domy i apartamenty. Było mi ciężko nie tylko fizycznie. Potem była praca w przychodni, którą bardzo lubiłam.

Nie żałuję tamtego okresu, bo wszystko jest po coś. Tamten czas nauczył mnie pokory, pokazał że nie wszystko co się świeci jest złotem.

Ten rok, mimo ogromnego sukcesu, nie był dla nas wcale łatwy. Początek to ekscytujące szukanie domu. Mnie wspominam tamten czas, przeszukiwania ogłoszeń, tworzenia mapy z kryteriami. Doskonale pamiętam te sobotnie poranki, kiedy pakowałam do koszyka wiklinowego bułki i łakocie na podróż. A potem wsiadaliśmy w auto i jechaliśmy śpiewając, żartując i tak po prostu ciesząc się. Za każdym razem myśleliśmy, że dom ze zdjęcia będzie nasz. Wracaliśmy zmęczeni i lekko zniechęceni, a po kilku dniach Wojtek wracał do poszukiwań.

Kiedy już go znaleźliśmy, Wojtek musiał mnie do niego przekonać. Później był remont. Ten czas nie był dla nas łatwy, nie tylko z uwagi na niewygody i pracę fizyczną. Był również sprawdzianem nas samych. Latem, Beata podczas rozmowy telefonicznej powiedziała, że niejeden związek rozpadł się podczas budowy domu.

Dawno temu mój znajomy skwitował to jednym zdaniem „żeby sprawdzić czy wspólnie da się radę żyć, należy przeżyć dwa tygodnie w małym pomieszczeniu”, np. na jachcie. Ja dzisiaj dodałabym, że jeśli wspólnie przeżyjesz remont domu od podstaw, to żyć będziesz długo i szczęśliwie.

Osiemdziesiąt dni w namiocie, przy niesprzyjającej pogodzie. Bez łazienki, kuchni, pralki i wielu innych takich normalnych rzeczy, na które nie zwraca się uwagi kiedy mieszka się w mieszkaniu. Ze swoimi przyzwyczajeniami z poprzedniego związku. Nie było łatwo, dużo w tym wszystkim było mojej winy. Nie potrafię poprosić o pomoc. Będę pracowała od rana do wieczora, a potem po kilku dniach, kiedy jestem zmęczona do granic, wybuchnę. Staram się to zmienić.

Najgorszy remont za nami, odpoczęłam, porozmawiałam sama ze sobą. Teraz wspólnie uczymy się żyć, pracować i to jest piękne. Końcówka roku to stan, który mnie samą przestraszył. No jest ten dom, marzenie się spełniło i co dalej? Pozostać tak bez marzeń? Bez planów? A co ze mną? Troszkę to trwało, zanim swoje rozedrganie wyciszyłam.

A tak naprawdę, moi kochani, to dom wcale nie jest nasz. Dom jest naszych kotów i psa, a my to tylko spłacamy kredyt.

Obojętnie w jakim wieku jesteście, nie przestawajcie marzyć, planować. Nawet wtedy, kiedy te marzenia będą wydawały się nierealne. Nie przestawajcie. Moje plany na dzisiaj też są nierealne, ale wierzę, że kiedyś je zrealizuję. Agnieszka Maciąg w swojej książce wspomniała, że precyzyjnie zapisywała swoje marzenia w dzienniku, który prowadziła, lub na karteczkach. Słyszałam już o takiej mocy sprawczej. Spróbujcie.



Sylwester po japońsku

W południowo-zachodniej Oceanii, na Oceanie Spokojnym, 13 911 km od siedliska leżą Wyspy Salomona. Wyobraźcie to sobie – lazurowy ciepły ocean, fale pieszczące roziskrzony słońcem drobnoziarnisty piasek, kołyszące się lekko zielone wiechcie palm, kolorowe papugi, skąpo odziane czekoladowe nadobne dziewoje... no dobra, starczy, zapędziłem się. Tam to właśnie postanowiliśmy, wraz z naszymi znajomymi z drugiego końca wsi, Patrykiem i Asią, spędzić sylwestra. Wybór podyktowany był tym, że na Wyspach Salomona wita się nowy rok o naszej godzinie czternastej, dziesięć godzin wcześniej niż w Polsce. Mogliśmy więc poimprezować, wrócić, i tak jak Panbóczek przykazał o 21 polskiego czasu zameldować się w łózkach, już w nowym roku. Rano zaś wstać i, wyspani, zająć się haziastwem.

Nie, nie, nie, żaden ponaddzwiękowy prywatny odrzutowiec nie czekał na nas na pobliskim lotnisku. Nie mam też startrekowego urządzenia do teleportacji, ale usilnie nad tym pracuję. Wszystko odbyło się wirtualnie, umówiliśmy się po prostu we czwórkę, że nowy rok będziemy witać o czternastej, wraz z mieszkańcami tropikalnych Wysp Salomona. Słońce gnało na zachód – niektórzy twierdzą, że to ziemia się obraca – mieszkańcy kolejnych stref czasowych witali nowy rok, a nam się tak fajnie gadało i konsumowało, że tuż przed czternastą postanowiliśmy fetować 2017 wraz z mieszkańcami Australii o piętnastej.

Niestety, znowu za szybko nam ta piętnasta na zegarze nastąpiła, więc wylądowaliśmy w wygodnych fotelach, z ciastem i schłodzonym szampanem w Tokio, i tamże, o szesnastej, złożyliśmy sobie życzenia, które brzmiały tak: 幸せな新年 2017. W końcu to data umowna, nieprawdaż?

**ORDNUNG IST DES HAUSES
ZIERDE**



Tamtego mokrego lata, kiedy wyprowadziła się ostatnia mieszkanka, stary dom zyskał pewność, że nadchodzi jego kres. Nie wierzył bocianowi, z którym rozmawiał nocami, że to nie koniec, że na pewno odzyska dawną świetność, że ci nowi, którzy pojawili się tutaj wczesną wiosną, dadzą mu nowe życie.

Bocian, stojąc na jednej nodze na kalenicy, bo w gnieździe nie było już dla niego miejsca – młode bocianki miały lada moment zacząć naukę latania – tłumaczył, że każde gniazdo się reperuje, a stary dom jest niczym innym jak ludzkim gniazdem, zaniedbanym co prawda, ale które wcześniej czy później człowiek musi naprawić.

Stary dom przytakiwał grzecznościowo, ale w gruncie rzeczy nie wierzył. Miał już ponad osiemdziesiąt lat, i mimo że wyglądał jeszcze w miarę dobrze, czuł jak wilgoć przenika przez jego fundamenty, wsiąka w mury, zżera powoli cegły. Drżał przy każdym większym porywie wiatru, bojąc się, że obluzowane dachówki mogą spaść, odslaniając wrażliwe wnętrze.

Czasami wspominał tamten szczęśliwy czas, gdy w jego wnętrzu zamieszkali ludzie o rękach nawykłych do ciężkiej pracy. Chronił ich przed zimmem i upałem, cieszył się wraz z nimi gdy pojawiły się im dzieci. Nocami – trochę się tego wstydził – podglądał ich sny. Śnili o spokoju, dostatku, bezpieczeństwie, tak jak by przeczuwali, że gdzieś zza horyzontu nadchodzi nawałnica.

I tak też się stało u progu wiosny 1945 roku, jego przerażeni mieszkańcy w pośpiechu spakowali swój dobytek i uciekli na zachód. Długo patrzył za nimi smutnymi oknami, gdy ciągnęli wózek ze swoim skromnym dobytkiem drogą na Landsberg, a z oddali dochodziły groźne grzmoty, huki i rumory, tak jakby nadciągała burza, ale tym razem to ludzie byli sprawcami.

Czas, który potem nastał, nie był łatwy. Ci co w nim zamieszkali nie dbali o niego, tak jakby czuli, że są tu tymczasowo, że lada moment przyjdzie im wracać skąd przyszli, na wschód. Szybko zniszczeniu uległy porządne dębowe meble, zamalowano białą

farbą kupione z takim wyrzeczeniem tapety w kwiatki ze znanej fabryki w Allenstein. Stary gospodarz rąbał drewno na podłódze w kuchni, nie bacząc na to, że pękają piękne, czerwone sześciokątne kafle.

Wiele lat później, gdy czuł się już przedwcześnie podstarzały, zaniedbany, w jego progi wprowadziła się nowa rodzina. Mimo iż mówili tym samym szeleszczącym językiem, zadbali o niego w ramach swoich skromnych możliwości. Naprawili piec, przebudowali kuchnię, zbudowali skromną łazienkę, wytapetowali pokoje, dobudowali ganek, elewację pomalowali na ciepły, słoneczny kolor. Dzień następował po dniu, słońce wstawało i chowało się za horyzontem, dzieci dorastały, dom czuł się na powrót szczęśliwy. Służył wiernie ludziom dając im schronienie. Po pierwszych właścicielach – czasem zastanawiał się jak potoczyły się ich losy – pozostał tylko napis nad piecem kuchennym „Ordnung ist des Hauses Zierde”.

Wiosną, jak co roku wracał bocian, co niezmiennie radowało właścicieli, cieszył się też stary dom, bo lubił nocne pogawędki z czerwodziobym ptakiem. I nie miało znaczenia, iż był to kolejny potomek ptaka, który zasiedlił gniazdo na słupie, zbudowane przez pierwszych mieszkańców. Pamięć bocianów przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, słowami, które dla ludzi brzmią jak klekot.

Któregoś lata zemdlął stary gospodarz, zabrało go pogotowie, stary dom przeczuwał, że nie zobaczy go już więcej, i tak też się stało. Dzieci gospodarza już dawno dorosły, wyfrunęły niczym młode bociany z gniazda, pozakładały własne rodziny. W domu pozostała tylko stara kobieta, która z coraz większym trudem mogła dbać o obojście, miała w końcu prawie tyle samo lat co on.

Rozpalała codziennie w piecu kuchennym, karmiła drób, psy i koty, w ciepłe dni przesiadywała na ganku spoglądając smutnie w dal, zimowe długie wieczory spędzała patrząc w migoczące kolorowe pudło, którego stary dom zupełnie nie pojmował.

Starą kobietę odwiedzały dzieci i wnuki, i to były szczęśliwe chwile. W pokojach znowu było słychać radosne ludzkie głosy, a zwłaszcza – to co uszczęśliwiała najbardziej stary dom – śmiech dzieci. Czuł się na powrót potrzebny.

Podczas jednej z wizyt zasmucił się bardzo, gdyż usłyszał rozmowę o tym, że siedlisko trzeba sprzedać, że nie warto go remontować, że kupi się starszej pani mieszkanie w pobliskim Landsbergu, który od dawna nazywał się Górowo Iławeckie.

I skończył się czas spokoju. Pojawili się ludzie z warkoczającymi groźnie maszynami i zaczęli odśłaniać jego fundamenty. Przeciągali dziwne, karbowane żółte rury, które zasypywali żwirem i piaskiem. Początkowo bardzo się tego bał, drżały jego mury, a jedna ze ścian, tam gdzie wilgoć poczyniła największe spustoszenie, pokryła się siecią groźnych spleśni.

– Zawalę się, zawalę się – szeptał przerażony. Mężczyzna o imieniu Adam szybko jednak temu zaradził, zabetonował wyrwę w fundamencie, dom poczuł, iż ponownie stoi pewnie na gruncie. Powoli ustępowała tak groźna woda, odprowadzana daleko żółtymi rurami. I to było dobre. Stary dom spojrzał z wdzięcznością na mężczyznę, a ten delikatnie klepnął obolałą ścianę.

– Postoisz jeszcze bracie długie lata – powiedział cicho, a dom po raz pierwszy poczuł się spokojny o swoją przyszłość. Wyczuł w tym pracowitym człowieku te same uczucia, jakie emanowały od budowniczych, którzy dawno temu go zbudowali.

Nie bał się gdy boleśnie ryło jego stropy i mury. Nawet ucieszył go fakt, że zniknęła dzieląca dwa pokoje ściana. – Będę miał teraz piękne przestronne wnętrza – chwalił się bocianowi, a ten odpowiadał – a nie mówiłem?

Z podsłuchanych rozmów Adama z nowymi właścicielami dowiedział się gdzie stanie nowa kuchnia, gdzie będzie salon z pomarańczowym piecem, przebudowanym na kominek, gdzie stanie właściwy piec, który dobrze ogrzeje jego wnętrza.

– Dobra zmiana, dobra zmiana – powtarzał uradowany, nie wiedząc, bo skąd miałby wiedzieć, nie interesował się bowiem polityką, iż słowa te w kraju ludzi o szeleszczącym języku budzą aktualnie ambiwalentne, a nawet wrogie uczucia. A najbardziej cieszył go fakt, iż stary napis, „Ordnung ist des Hauses Zierde” zawieszony ponownie nad odbudowanym piecem kuchennym bo, mimo groźnego brzmienia, wyrażał to, co bliskie każdemu: porządek jest domu ozdobą.

Młode bociany wyleciały po raz pierwszy z gniazda na przełomie lipca i sierpnia. Już wcześniej ostro ćwiczyły przy każdym naj-

mniejszym porywie wiatru, unosząc się nawet półtora metra ponad rodzime gniazdo. Aż o świcie jedno z nich zdecydowało się zrobić ten pierwszy krok i pokonało przepaść dzielącą gniazdo od starej stodoły. Stary dom tego nie widział, bo drzemał zmęczony po dniu, kiedy to Adam boleśnie rył jego wnętrze. Wiedział, że to co robi mu człowiek jest dla niego dobre, niemniej znosił to z wielkim trudem, miał już bowiem swoje lata.

Z jednej strony cieszył się wraz z rodzicami bocianiątek, wielkie to w końcu dla nich święto, ów dziewiczy lot, ale z drugiej strony czuł smutek, gdyż wiedział, w końcu tak było co roku, że lada moment zobaczy po raz ostatni bocianią rodzinę, która uda się w długą i bardzo niebezpieczną podróż. Obawiał się też, że po raz ostatni widzi bociana, gdyż ten miał już swoje lata, i było więcej niż pewne, że następnej wiosny zastąpi go w gnieździe syn albo krewny.

– Lato się przełamało – szeptał stary dom. Dni stawały się bowiem coraz krótsze, poranki wilgotniejsze, pola pokryły się złotem, a pobliskie jarzębiny czerwienią. Świerszcze zaś nocami odgrywały nieskończone koncerty, przeczuwając, że nieuchronnie nadchodzi czas chłodu i głodu.

Nastaly dni sierpniowe. Ekipa Adama zakończyła tymczasowo pracę nad wnętrzem starego domu, które stało się zadziwiająco przestronne, zwłaszcza teraz gdy pozostały tylko stare belki stropowe, które co prawda miały wspierać nowy strop, ale póki co dom poczuł się niczym katedra.

Którejś nocy pojawili się goście, duchy dawnych budowniczych. Stary dom bardzo się ucieszył i serdecznie ich witał. Chodzili po nowych wnętrzach, kontemplowali nieznane im elektryczne narzędzia, oceniali jakość pracy jaką wykonał do tej pory, nieświadomy tego, bo śpiący w swojej przyczepie, Adam. Z podziwem kiwali głowami, chwalać jego mistrzowską pracę.

Wielce zdumieli się na dawnym strychu widząc, że stare zniszczone deski zostały zastąpione przez dziwną tkaninę, która odtąd miała chronić wnętrze domu przed złośliwym deszczem, który mógł wnikać pod nowe dachówki. Dotykali białych przewodów, którymi, po pokryciu ich tynkiem, miał lada moment popłynąć ożywczy prąd. Z niedowierzaniem brali w ręce szare kanalizacyjne rury wykonane z nieznanego im lekkiego materiału.

A potem, wraz ze starym domem i bocianem, prawie do świtu, wspominali dawne czasy, jakże inne od obecnych, kiedy to ludzie żyli wolniej, bliżej siebie, ciesząc się i dziękując opatrności za to co zostało im dane. Znikli nim pierwszy promień słońca przebił się przez drzewa pobliskiego lasu, lecz obiecali wrócić, by zobaczyć jak będzie wyglądać nowy stary dom.

I nastały dni wrześniowe, słoneczne i ciepłe, jakże odmienne od sierpniowych, mokrych i zimnych. Stary dom ciężko znosił monsunowe deszcze. Co prawda owa dziwna tkanina, którą go pokryto, skutecznie chroniła od wody, odetchnął jednak z ulgą gdy Adam pokrył jego dach nową ceramiczną dachówką. Trochę mu było żal, kiedy starą dachówką utwardzono drogę, w końcu chroniła go ponad osiemdziesiąt lat, bał się, że w jej miejsce położona zostanie blacho-dachówka, albo nie daj Boże zwykła blacha. Nowe pokrycie prezentowało się wybornie, stara obora i stodoła spoglądały z zazdrością, dom zaś żałował, że nie ma już bociana, choć – do czego nie chciał się przyznać – obawiał się jaka będzie jego reakcja, gdy stojącego na kalenicy ptaka najdzie ochota na wypróżnienie się.

Wielkie zmiany zaszły we wnętrzu. Adam usunął wraz z ekipą stare, przeżarte przez wilgoć i robale drewniane podłogi, odsłaniając ziemię, na której przed wieloma laty postawiono dom.

– Bez żartów panowie – wyszeptał stary dom – mam mieć teraz klepisko??

Ekipa sprawnie rozłożyła folię, a na nią grubą warstwę styropianu, którą z kolei pokryła srebrzystą folią w kratkę. Stary dom patrzył zdumiony, i gdyby miał głowę, to kręciłby nią na boki. A jeszcze bardziej zdziwił się gdy Adam zaczął prząść pajęczynę z białych rurek. Z podsłuchanych rozmów dowiedział się, że owymi rurkami popłynie ciepła woda ogrzewając mile jego wnętrze, Adam nazywał to ogrzewaniem podłogowym.

– Oj zdziwią się dawni budowniczowie, gdy następnym razem zawitają, świat się zmienia, w końcu to 21. wiek, zmieniam się i ja, staję się nowoczesny – pomyślał z dumą.

Stare deski z dachu nie zostały spalone. Każda została wyczyszczona wirującymi z oszałamiającą prędkością stalowymi szczotkami, przycięta w delikatne fale, a następnie umieszczona na belkach

stropowych. Ludzie rozłożyli na nie folię, styropian, i pokryli esami floresami plastikowych rurek.

– Czyżby moje poddasze miało być również podgrzewane? – zdumiał się stary dom – to nowość!

Parę dni później inna ekipa sprawnie pokryła rurki warstwą zbrojonego betonu. Stary dom z powrotem miał podłogi i stropy. Niestety, roboty stanęły, ekipa, która miała pokryć na powrót ściany tynkiem, zwodziła długo, aż w końcu odwołała swój przyjazd. Wywołało to wielką nerwowość u Adama i nowych właścicieli, bowiem dalsze prace mogły być kontynuowane dopiero po wykonaniu tynków.

Dnia siódmego października, o godzinie piętnastej minut pięć, stary dom poczuł, że wraca do życia. Miesiąc wrzesień spędził w uśpieniu, w bolesnym oczekiwaniu, aż ludzie skończą pastwić się nad jego wnętrzem, nie pamiętał więc kiedy, po wielu perypetiach, otynkowano nagie ceglane ściany. Drzemał śniąc o latach minionych. Wspominał pierwszych mieszkańców, którzy długo się nim nie nacieszyli, bo źli ludzie posiali wiatr i zebrali burzę. Stary dom pamiętał, jakby to było wczoraj, tamten styczniowy dzień 1945 roku, kiedy widział ich po raz ostatni, ciągnących wózek ze skromnym dobytkiem, drogą na Landsberg.

Siódmego października 2016 roku w porze obiadowej, stary dom poczuł zapach gotowanych ziemniaków i mielonego mięsa z warzywami. Gospodyni po raz pierwszy przygotowała obiad w nowej kuchni. – A więc na powrót żyję – stary dom westchnął uradowany.

Nie było już pieca węglowego, zastąpiła go błyszcząca nowością płyta gazowa, tym niemniej, zgodnie z obietnicą, zawisał nad nią, zdjęty ostrożnie znad starego pieca, napis „Ordnung ist des Hauses Zierde”. Adam osadził też w nowych kaflach pięć starych mosiężnych haczyków, które pierwsza gospodyni kupiła w pobliskim Landsbergu wiosną 1936 roku.

Dom, w półśnie, przeczuwał, że jego przemiana powoli dobiega końca. Pod koniec września rozpalono po raz pierwszy ogień w kominku. Poczuł jak miłe ciepło płynie nowym smukłym kominem. Była najwyższa pora, bo nastały dni zimne, wietrzne i mo-

kre. Drzewa obsypały się złotem, pola zbrązowiły, horyzont skrył się za kotarą utkana z mgieł i deszczów.

Nowa kuchnia zbudowana została w innym miejscu, w dawnym pokoju starszej pani, który połączony został z sąsiadującym. W miejscu dawnej kuchni powstała łazienka, stara łazienka zaś stała się kotłownią. Zagracone do niedawna poddasze przekształciło się w wielki loft, w którym docelowo miała zostać wydzielona łazienka i pracownia nowego właściciela.

– Takie zmiany, takie zmiany – stary dom ciągle nie mógł uwierzyć w to, co z nim zrobiono. – Czy bocian na wiosnę, gdy słońce na powrót ogrzeje wymarznąętą ziemię, trafi do gniazda? Mam zupełnie nowy dach, nowe dwa kominy, może to go zmylić i nie trafi – zamartwiał się. – Zniknąć miała też stara, drewniana, chyląca się na pole stodoła, jak więc on pozna to miejsce? Jak trafi do rodzinnego gniazda?

W dniu, w którym odrodziło się słońce, parę dni przed świętem, które ludzie zwali kiedyś Szczodrymi Godami, a teraz Bożym Narodzeniem, stary dom dostał za pośrednictwem sieci Matki Ziemi wiadomość od Bociana, że wszystko u nich dobrze, młode bocianiątka podrosły i powoli zbierają się do powrotu. Stary dom natychmiast odpisał, że bardzo się cieszy i nie może się już doczekać spotkania, bo ma tak wiele do opowiedzenia.

Gwoli wyjaśnienia sieć Matki Ziemi tworzą splątane ze sobą korzenie bilionów drzew i innych roślin, które przekazują sobie nawzajem wszelkie informacje. Wasz prymitywny druciano-szkłany Internet, który wykorzystujecie przeważnie do rozrywki albo zafatuwania cyberśmieciami waszych umysłów, jest jak syrenka przy bentley'u, w porównaniu do tego, co stworzyła przez miliardy lat Matka Ziemia.

W starym domu nastał czas spokoju. Skończył się długi, trwający od początku lata remont. No może nie tyle skończył, bo do dokończenia została sień i parę szczegółów w łazience, kuchni i salonie, ale zostało to odłożone do wiosny.

Stary dom był bardzo szczęśliwy, codziennie rano, budząc się wraz ze swoimi nowymi mieszkańcami, nie mógł się nadziwić, jak piękny i przytulny jest teraz w środku. Wielki zielony smok,

pożerając worek za workiem drewnianej karmy, miło ogrzewał jego wnętrze. Nowy dach wraz z rynnami chronił wrażliwe ściany od zabójczej wilgoci.

Nadchodził świąteczny czas, po domu rozchodziły się miłe zapachy szykowanych na święta potraw. Gospodyni udekorowała świątecznymi ozdobami wnętrze, brakowało jeszcze drzewka, pachnącego lasem świerku, które w tym czasie zawsze gościło w starym domu. Z podsłuchanych rozmów stary dom dowiedział się, że niestety go nie będzie, bo zostałoby zmasakrowane przez cztery koty. Zamiast niego miała zawisnąć na belce pod sufitem, zgodnie z prastarym słowiańskim zwyczajem, podłóżniczka. Staremu domowi początkowo trochę smutno było z tego powodu, ale pomyślał sobie, że koniec końców na to samo wychodzi. Wspomnił tamto Boże Narodzenie 1936 roku, kiedy był bardzo młodym, ledwo co ukończonym domem. Podobnie jak teraz, młoda gospodyni krzątała się w kuchni, zaś gospodarz wraz z trójką małych dzieci dekorował przyniesioną z lasu choinkę, nucąc pod nosem:

*O Tannenbaum, o Tannenbaum,
Wie grün sind deine Blätter!
Du grünst nicht nur zur Sommerzeit,
Nicht auch im Winter, wenn es schneit.
O Tannenbaum, o Tannenbaum,
Wie grün sind deine Blätter!*

Za oknem zaś z nieba opadały cicho duże śnieżynki, pokrywając uśpioną ziemię grubą białą kołdrą.

Stary czy nowy?

Kupić stary dom czy zbudować nowy? Oto jest pytanie. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że taniej jest coś wyremontować niż wznieść od nowa. Niestety tak wcale być nie musi. Parafrazując Forresta Gump'a: Remont starego domu jest jak pudełko czekoladek – nigdy nie wiesz, co ci się trafi.

W dzisiejszych czasach postawienie domu nie stanowi żadnego problemu, materiały budowlane są powszechnie dostępne, wystarczy zapłacić, i to co potrzebujemy zostanie bezzwłocznie dostarczone na plac budowy, z pocałowaniem w rękę. Sklepy i markety budowlane pełne towaru, można zamawiać przez Internet. Przez ostatnie lata znacznie rozwinęły się technologie budowlane, wiele elementów jest jak klocki lego. Na przykład postawienie komina systemowego trwa dzień, a kiedyś murowanie zajmowało parę dni.

Wszystko zależy od tego w jakim stanie jest dom, który chce się kupić. Jeżeli jest to ruina, a tego często niestety nie widać na pierwszy rzut oka, zwłaszcza gdy oceniający (kupiec) nie jest fachowcem, to lepiej ją rozebrać i w jej miejscu postawić dom od nowa, w oparciu o nowoczesne materiały i technologie, i wcale ten dom nie musi wyglądać nowocześnie. Można zbudować go z pustaka, a na zewnątrz oblicować starą, ciętą na płytki cegłą. Wykańczając wewnątrz można użyć odzyskanych z rozbiórki materiałów, cegieł, kamieni, desek i belek.

Remontując stary dom, zwłaszcza gdy z przyczyn finansowych robi się to etapami, należy spodziewać się sporej dawki emocji, oraz wpadnięcia w niezłe tarapaty finansowe. Internet pełen jest relacji (fora i blogi) ludzi, którzy kupili piękne stare domy, a potem okazało się, że prawie wszystko jest do wymiany, i koniec końców wydali więcej niż gdyby postawili coś od nowa.

Stare domy mają duszę, zwłaszcza gdy jest to dom odziedziczony po rodzicach, dziadkach czy innym członku rodziny. Dom,

w którym spędziło się dzieciństwo, albo przynajmniej letnie wakacje. Wtedy serce ma więcej do powiedzenia niż rozum.

Dlaczego więc kupiliśmy stary dom? Bo niestety nie stać nas było na zbudowanie nowego, a zamarzyło się nam klimatyczne siedlisko na końcu świata, z domem z duszą. Trochę mało w tym rozumie, a znacznie więcej serca, wiem to teraz, po tym jak skończył się remont. Zbudowanie czegoś nowego, tu gdzie teraz mieszkamy, kosztowałoby nas prawie dwa razy tyle. Śmiało mogę stwierdzić, że mamy stary nowy dom z duszą, położony na hektarowej działce, w pięknym otoczeniu, za cenę kawalerki w dużym mieście. Oczywiście trzeba będzie jeszcze trochę włożyć pieniędzy w wykończenie, ale zrobimy to z czasem. Zaplanowany budżet został przekroczony jedynie o 25%, remont zaś potrwał cztery miesiące zamiast trzech, a to tylko dlatego, że mieliśmy w miarę dobrą bazę startową.

Jeśli zdecydowałeś się kupić stary dom, to absolutnie i bezwzględnie jego stan musi zostać oceniony przez doświadczonego w takich remontach fachowca. My mieliśmy szczęście poznać Adama, który miał do czynienia z niejednym warmińskim starszakiem. Oceniał nasz dom dokładnie. Wiedzieliśmy na co się porywamy.

Postaram się przekazać wam moje doświadczenia zebrane podczas ostatnich paru miesięcy. Podkreślam, nie jestem żadnym guru, nigdy nie zajmowałem się budowlanką. Traktujcie to co napiszę poniżej jak luźne uwagi. Moje doświadczenia będę opierał na warmińskim domu, zwanym potocznie warmiakiem. Jest to dom bardzo powszechny na terenie Warmii. Praktycznie wszystkie one są do siebie bardzo podobne, ten sam wymiar (10 x 14 metra) i układ pomieszczeń. Taka sama technologia budowy.

Ocena stanu

Fundamenty

Domy warmińskie stoją na dość płytkim fundamencie (około metra, chyba że jest podpiwniczony) zbudowanym z wielkich polnych kamieni, spojenych cementem. Dopóki nic nie dzieje się wkoło fundament ten jest dość stabilny. Jeżeli jednak widać, że się „rozjeżdża”, wypadają z niego kamienie, ktoś próbował go łątać, wzmacniać opaską betonową, należy zmykać ile sił w nogach.

Piwnica

Większość warmiaków posiada pod częścią domu piwnicę. Jest ona niewysoka, tylko pigmeje nie będą musiały schylać głowy. Wynika to z tego, że poziom wód gruntowych jest tu wysoki, a poza tym przeznaczona ona była głównie na przechowywanie płodów rolnych, przeważnie ziemniaków. Piwnica przeważnie złożona była z dwóch pomieszczeń, małego pod sienią i większego pod jednym pokojem. Jeśli myślicie o ich zlikwidowaniu, to warto zostawić chociaż to mniejsze jako idealne miejsce na przetwory i wino. Cały rok panuje tu stała, chłodna temperatura.

Woda w piwnicy, zwłaszcza jesienią bądź wiosną, nie jest wielkim problemem, te domy nie miały drenażu, ale warto ją usunąć tworząc opaskę drenażową wokół domu, lub po prostu wykopać małą studzienkę na środku, z wbudowaną pompą z pływakiem. Można zastanowić się nad pogłębieniem piwnicy, ale wtedy trzeba koniecznie wzmocnić od środka fundamenty.

Dach

Dach jest najważniejszym elementem w całej układance jaką stanowi warmiak. Lejąca się przez nieszczelny dach do środka woda w ciągu paru lat doprowadzi do zawalenia się domu, a to dlatego, że murowano je łącząc cegły zaprawą wapienno-glinianą.

Wieżba dachowa musi być zdrowa, nie zżarta przez korniki, jeśli widać, że ktoś już ją sztukował np. nabijając z dwóch stron deski do krokwi, uciekamy gdzie pieprz rośnie. Warto zadać sobie trud i obejrzeć większość belek, wbijając w nie jakiś ostry szpi-kulec. Jeśli wchodzi jak w masło, a na nas sypie się pył, to nie mamy czego szukać. Jeśli cała więźba jest zdrowa to na pewno trzeba się liczyć z tym, że zewnętrzne, najbardziej narażone na warunki atmosferyczne krokwie będą do wymiany. Do wymiany też będzie, z dużym prawdopodobieństwem, dachówka, aczkolwiek są tacy, którzy tylko ją czyszczą. Dachówka na naszym domu, po ponad osiemdziesięciu latach smagania przez słońce, deszcze i w-chry nadawała się tylko na utwardzenie drogi. Nowe dachówki z podwójnym zamkiem są znacznie szczelniejsze od starych ho-lenderek. Warto więc zainwestować.

Kominy

Tu nie ma co deliberować, na 100% są do wymiany, zwłaszcza jeśli chcemy zagospodarować poddasze. Stare zajmują dużo miej-sca, są nieszczelne, a zgromadzona w nich przez lata sadza grozi pożarem. Notabene o przeglądzie i czyszczeniu kominów (w tym nowych) trzeba koniecznie pamiętać, przynajmniej raz do roku. Palić należy koniecznie czystym, suchym, sezonowanym drewnem liściastym – dębem, grabem, bukiem, olchą bądź brzozą. Broń Boże sosną czy innym drzewem iglastym. Palenie peletem też może być niebezpieczne, bo producenci dodają do niego domiesz-ki klejowe, które osadzają się w kominie.

Mury

Warmiaki murowano z dużej cegły pruskiej, tak zwanej ce-gły zamkowej. Krzyżowo wiązany mur ma grubość około 45 cm.

Miejscami, wmurowywano niewypaloną cegłę. Wiąże to zaprawa cementowo-gliniana, którą można wydłubywać palcem. Jakim prawem to stoi, długo się głowiłem. Statyka – odpowiedział kumpel architekt. Stoi ale do czasu, dopóki stabilny jest fundament, a przez dziury w dachu nie leje się woda. Warto więc obejrzeć dokładnie mury. Mniejsze spękania, zwłaszcza w narożnikach można przełknąć, ale w przypadku większych należy się dobrze zastanowić. Nasz przyjaciel Arek co prawda twierdzi, że wszystko da się połączyć korzystając z kotew chemicznych, klamer. Tak uczynił u siebie, a – jak mówi – nocami przez pęknięcia u niego widać było gwiazdy. Usłyszałem opinię, że na fundamencie z polnych kamieni warmiaki osiadają w tempie 8–10 cm na 100 lat, więc muszą sobie trochę popękać.

Stare domy nie mają czegoś, co ma każdy nowo wybudowany dom – wieńca, czyli opaski ze zbrojonego betonu zapobiegającej rozjeżdżaniu się ścian. Zrobienie jej bez zdejmowania całego dachu (straszne koszty) jest możliwe, ale trudne. Warto jednak o tym pomyśleć.

Stolarka okienna

Jeśli stara, skrzynkowa, to nie ma co jej oglądać, tylko dopisać wymianę do budżetu. Jeśli poprzedni właściciel wymienił, to poważnie też będzie do wymiany, bo są to najtańsze plastikowe okna, hermetyczne do bólu. Polecam okna drewniane z systemem do rozszczelnienia.

Drzwi wewnętrzne

Jeżeli są w koszmarnym stanie, to niestety do wymiany. My zdecydowaliśmy się opalić nasze z miliona warstw olejnej farby, i zaolejować. Drzwi są co prawda niskie i wysocy walą głową w futryny, ale z czasem człowiek mimowolnie schyla głowę.

Podłogi

Podłogi w domach warmińskich są zbudowane z grubych desek leżących na legarach. Legary leżą sobie bez żadnej izolacji na

piasku. Po latach w wielu miejscach, zwłaszcza w narożnikach, taka podłoga jest pozapadana. Legary są przeżarte, a pomiędzy nimi spoczywają tysiące dobrze zachowanych mysich i szczurzych szkieletów – można by wkładać je w szklane gablotki i sprzedawać szkołom. Nawet jeśli podłoga wygląda ładnie, leżą na niej panele albo udające je gumoleum, musicie liczyć się z tym, że to wszystko trzeba wywalić, odizolować folią, ocieplić 15 cm styropianu, wylać wylewkę, ewentualnie z ogrzewaniem podłogowym. Jako pokrycie sugeruję płytki (w przypadku ogrzewania podłogowego konieczne) – łatwo jest utrzymać czystość, zwłaszcza gdy ma się w domu horde futrzanych braci mniejszych. W czasie tanecznej imprezy panie w szpilkach nie porobią dziur.

Stropy

Na strop w warmiaku składają się grube belki stropowe. Nabite są na nie po bokach kantówki, na których leżą grube dechy. Następnie warstwa śmiecia (plewy, stare ziarna, trupki myszy) i kostki z niewypalanej gliny, tzw. polepa. Od spodu, sufit wisi na przybitych do belek cienkich listewkach, do których przymocowane są maty trzcinowe, pokryte tynkiem. Wszystko to do wyrzucenia. A co w zamian? Proponuję strop rustykalny. Na belki kładziemy wyczyszczone deski z poszycia dachowego (wyglądają bosko!), na to folia budowlana, 10 cm styropianu i wylewka z włóknem szklanym. Można też dać na deski, dwie warstwy na krzyż płyty OSB 15 mm. Musi jednak wtedy być ocieplony dach.

Przed montażem stropu trzeba koniecznie ocenić stan belek, bo część z nich może być doszczętnie zjedzona przez korniki, zwłaszcza tam gdzie wpuszczone były one w ścianę. Tam gdzie belka drewniana styka się z murem, należy odizolować ją od strony muru papą i najlepiej też zakonserwować.

Instalacje

Instalacje wodna i elektryczna do wymiany, zawsze i wszędzie. Kanalizacja do zbudowania od nowa, przeważnie z nowym zbiornikiem, bo na wsi stosuje się w tym temacie różne dziwne wynalazki,

np. szambo z kręgów cementowych albo połączonych tysiąclitrowych zbiorników, tzw. mauzerów. W przypadku naszego domu, ścieki z kuchni trafiały do oddalonej o 1,5 metra od domu studni chłonnej, w efekcie czego dom siadł w tym miejscu i tym samym spękał narożnik. Kanalizacja z łazienki była nieszczelna, przez parę lat ścieki sączyły się pod fundament rozmiękczając grunt. Wiążąca kamienie glina zamieniła się w masło, w efekcie czego omal nie zawaliła się ściana szczytowa.

Ogrzewanie

Ogrzewanie to temat rzeka. W naszym domu stały piece kaflowe, trzy w pokojach i jeden kuchenny. Zostały zlikwidowane i teraz wiem, pomimo zainstalowania ogrzewania podłogowego, że był to błąd. Trzeba było zostawić choć jeden w sypialni. W salonie połączonym z jadalnią i kuchnią jest kominek, i dzięki niemu jest tam bardzo przyjemnie. Nie ma lepszego telewizora niż żywy ogień za szybą. Po paru miesiącach zimy doszedłem do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem jest piec c.o., najlepiej na pellet bo czysto, ekologicznie i prawie bezobsługowo, a do tego pieco-kominek, czyli mocno obudowany kominek, tak aby całe ciepło nie uciekało w komin. Grzejniki czy podłogówka? Osobiście wolę podłogówkę, zwłaszcza że podłoga jest wyłożona kafłami, są one miło ciepłe i można chodzić na bosaka.

Ocieplenie

Jedni twierdzą, że starych domów warmińskich nie powinno się ocieplać, wręcz to odradzają. Według nich okładając dom szczelnie styropianem zamienia się go w słoik. Wilgoć ze ścian nie ma jak wydostać się na zewnątrz, w efekcie tego mury zaczynają pękać. Pewnie jest w tym dużo racji, bowiem zawarta w zaprawie glina (a jest jej dużo) jest naturalnym regulatorem wilgoci, stąd popularność od niedawna glinianych tynków, dzięki którym we wnętrzach panuje zdrowy mikroklimat. Jeżeli więc ocieplać, to robić to z głową. Najlepiej zrobić to za pomocą płyt z wełny, która przepuszcza wilgoć, ale niestety działa też trochę jak gąbka i jeżeli nie będzie

zapewnionej wentylacji, to zamoknie i przestanie izolować. Jeżeli styropian, to koniecznie ryflowany, ewentualnie klejony na grube kleksy, tak aby między nim a murem powstała szczelina wentylacyjna. Koniecznie też zakończony, bo mocniejszy wiatr potrafi oderwać go od ściany, zwłaszcza w narożnikach.

Ja stoję na stanowisku, po pierwszym zimnym sezonie, że ocieplać nie warto. Koszta nigdy się nie zwrócą. Mur jest wystarczająco gruby, tak że nawet przy ostrych mrozach (bywało poniżej -20) w domu jest ciepło, a opał idzie co najwyżej o 30% więcej.

Tynki wewnętrzne

Koniecznie cementowo-wapienne! Dzięki nim ściana oddycha, są naturalne. Tynki gipsowe nie nadają się do starych domów, bo ściany są niestety nierówne i siadają (patrz fundament), stąd mniejsze i większe spękania, którymi nie należy się za bardzo przejmować, tylko zaszpachlować masą akrylową. Poza tym czasami może wystąpić wilgoć, którą cement zniesie z pokorą, zaś gips momentalnie odpadnie. Gruby tynk cementowo-wapienny wzmacnia ścianę, co ma niebagatelne znaczenie.

To już jest koniec

Jestem jedną z licznych osób które próbowały namówić Wojtkę do napisania książki. Pewnego zimowego popołudnia, Wojtek wszedł do salonu i tak po prostu stwierdził, że wykorzysta parę moich tekstów w swojej książce. Byłam zaskoczona, ale nie wypadało odmówić, skoro sama namawiałam go do wydania książki. Teraz gdy mam napisać końcowe zdanie jestem pełna obaw, jak książka zostanie odebrana? Jak wspomniałam na początku nie jest to żadne dzieło literackie. Może kiedyś, Wojtek nabierze wiatr w żagle i napisze dzieło swojego życia.

Gdyby ktoś dzisiaj zapytał, czy żałuję swojego miastowego życia, odpowiedziałabym: Nie, nie żałuję. Kiedy powstawały zapiski z budowy byłam zmęczona, ale nigdy nie chcieliśmy wracać do miasta. Czy jestem tu szczęśliwa? Tak, bo szczęście to „ciepła dłoń”, to bliiski człowiek, który czeka na ciebie, kiedy przychodzisz po ciężkim dniu z ogrodu. Siada przy tobie w kuchni, i słucha cię z uwagą. To człowiek, który pozwoli ci chodzić w swoich koszulach, który nie śmieje się z ciebie kiedy płaczesz oglądając film. Ktoś kto czyta ci książki i opowiada o artykule, który wzburzył go przy porannej kawie, a ty, mimo że polityka wcale cię nie interesuje, słuchasz go, bo dla niego to ważne.

Na koniec podziękowania

Wojtkowi i synowi za to, że są. Beacie i Arkowi z Pupek, za to że trwali przy mnie w tym trudnym dla mnie czasie jakim był remont. Mieszkańcom Górowa, których spotykam podczas robienia zakupów oraz Dwórzna, których udało nam się poznać. Andrzejowi i Zenobii, Ewie i Wojtkowi, Joannie i Patrykowi, Januszowi i Heidi. Dziękuję, za tak miłe przyjęcie na wsi.



Spis treści

Na początku jest marzenie	7
A jak to było z Piętaszkiem?	11
Rozum czy serce?	17
Szukanie	23
Luty–marzec	25
Ukorzenianie	43
Kwiecień–czerwiec	45
81 dni koło domu	61
Czerwiec–lipiec	63
Sierpień	75
Wrzesień	95
Osadnictwo	111
Październik	119
Listopad	135
Grudzień	165
Ordnung ist des Hauses Zierde	187
Stary czy nowy?	197
Ocena stanu	199
To już jest koniec	205

Ark. wyd. 9. Ark. druk. 13. Papier druk.
offsetowy 80 g. Okładka karton powleka-
ny 250 g. Druk B3PROJECT